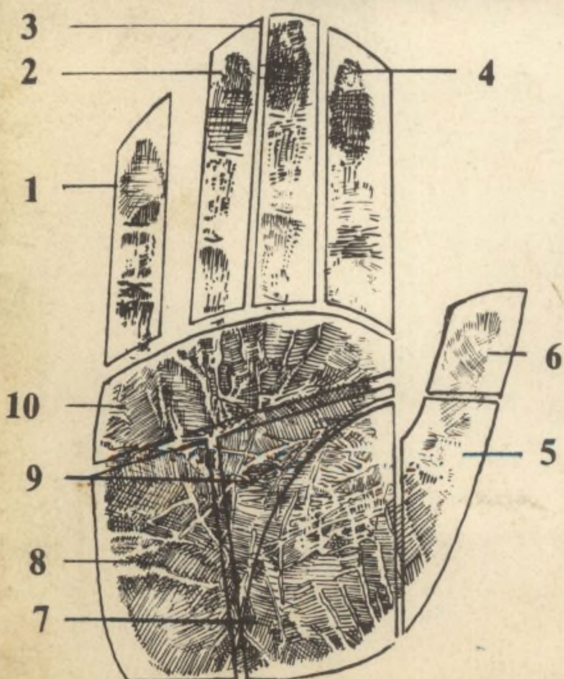
fif

FIKCJE I FAKTY

Chiromancja



Edgar Allan Poe

Maska Czerwonego Moru

Frederick Forsyth

Niewypał

Michalina Wisłocka

Kalejdoskop seksu



FiF
FIKCJE I FAKTY

Na listy naszych Czytelników czekaliśmy z nieukrywaną niecierpliwością. Miały one bowiem odpowiedzieć na pytanie czy wysiłek zespołu tworzącego „Fikcje i Fakty", czy nasze pomysły i propozycje spotkają się z przychylnym przyjęciem?

I oto pierwsze opinie, uwagi, pochwały i krytyka.

„Brawo – pisze pani Janina Czerwińska z Opola – że przypomnieliście, iż król Jan, którego, jak paru innych wielkich ludzi usiłowano nam obrzydzić, miał ludzkie cechy i był prawdziwym mężczyzną".

„Czy godzi się przy okazji Wielkiej Rocznicy – zapytuje pan Władysław Waliś z Poznania – wyciągać na światło dzienne osobiste sprawy bohatera narodowego? Są wszak granice, poza które nikomu wykraczać nie wolno." Kto by przypuszczał, że tekst Tadeusza Boya Żeleńskiego po tylu latach wywoła jeszcze różnice zdań i wzbudzi dyskusję? Choćby na temat „granic poza, które nikomu wykraczać nie wolno". Czyż prawda nie jest w tym przypadku jedynym kryterium uprawniającym do publikacji?

Historia myśli ludzkiej dostarcza aż nadto przykładów świadczących o tym, że prędzej czy później klęskę ponoszą ci co usiłują prawdę ukryć pod korcem. Zwłaszcza we współczesnym świecie niczego ukryć już nie można. Musimy zatem oswoić się z prawdą choćby nas raziła i była z takich czy innych względów niewygodna.

Dwie licealistki z Gliwic panie Bożena i Małgosia (dlaczego tylko imiona?) dziękują za „Mściwego karła" Z. Krasińskiego. „Jesteśmy w klasie maturalnej – czytam w liście – a nie wiedziałyśmy, że Krasiński pisał takie fajne opowiadania. Drukujcie więcej podobnych ciekawostek". Czy możemy odmówić licealistkom?

Prawdziwe cięgi dostały nam się za wydrukowanie horoskopów. Pan S. K. z Gdańska (nazwisko i dokładny adres tylko do wiadomości „Fikcji i Faktów") poddał nas druzgocącej krytyce, za to, że obok Voltera drukujemy horoskopy. Autor listu zarzuca FiF „szerzenie ciemnoty i zabobonu". Karci nas za odejście „od naukowych norm pojmowania życia".

„W dobie sputników – pisze z oburzeniem – przeszczepów serca, cybernetyki i atomu mamicie ludzi bzdurnymi horoskopami." Jako żywo skąd mieliśmy wiedzieć, że zabawa w horoskop jest sprzeczna z „naukowymi normami pojmowania życia? Gdyby zgodzić się z rozumowaniem p. S. K. z Gdańska to szachy, brydż, taniec, gry towarzyskie np. ciuciubabka nie mieszczą się w „normach naukowych". Problem życia zgodnie z wytycznymi nauki nie jest dzisiejszej daty. Już Michał Bałucki (1837–1901) ze sceptycyzmem odnosił się do naukowych norm w życiu codziennym. „My teraz wszystko robimy dla jakiejś idei – pisał – traktujemy każdą rzecz poważnie, ze stanowiska naukowego. Objadamy się z mikroskopem w ręku i podręcznikiem chemii organicznej w kieszeni; upijamy się analizując zawartość i składniki płynów, które wlewamy w siebie, tańczymy ze świadomością celów, dla których tańczymy; śpimy, oddychamy ściśle według zasad higieny, słowem, żyjemy na serio, umiejętnie". Słowem, jak roboty bez radości, wzruszeń, przyjemności.

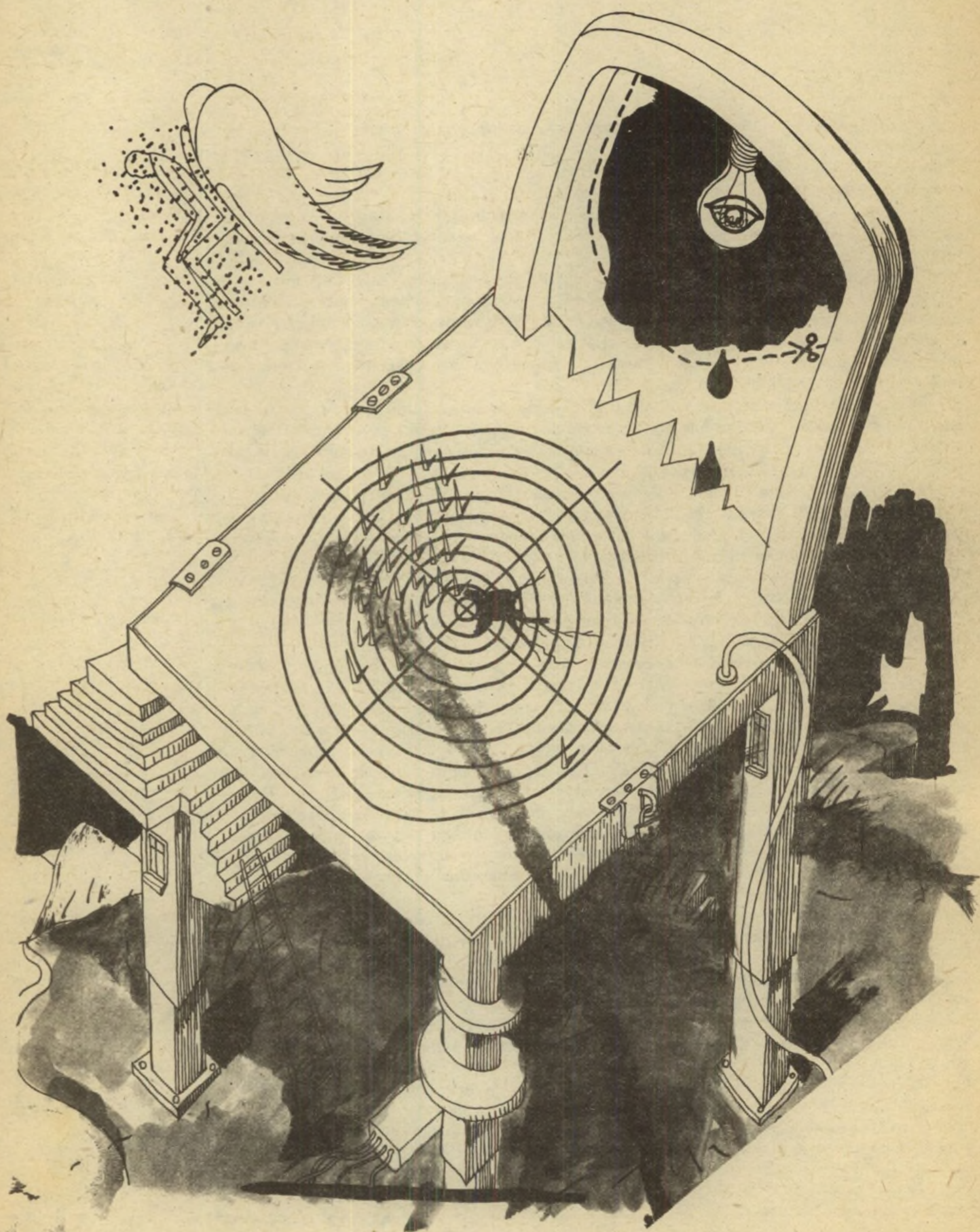
Pewien uczony hołdował zasadzie, że o wszystkim należy wątpić. Wątpię tedy, czy naukowe normy życia pana S. K. zaakceptują nasi Czytelnicy, którzy przytulają się w tańcu, grają w karty i warcaby, kochają się, stoją w kolejkach i cieszą się gdy uda im się kupić ładną parę butów, czy dobrą książkę. Co zaś do horoskopów, wróżb i przepowiedni są one potrzebne choćby dlatego, że jak dobre bajki mają w sobie odrobinę nadziei i tajemniczości.

„Z przyjemnością przeczytałam „Fikcje i Fakty" – pisze pani Danuta Łuczak z Kalisza – ciekawa i różnorodna lektura. Oba zeszyty wypożyczyły koleżanki, ponieważ przegapiły „FiF" w kiosku".

Czytelnicy wytknęli nam wiele potknięć, wzięliśmy sobie do serca słowa krytyki i obiecujemy poprawę.

Wszystkim, którzy znaleźli czas by do nas napisać serdecznie dziękujemy za listy.

Redaktor



Waldemar Łysiak

Rozstrzelane krzesła

Piasek kolejnych cyklów jest ten sam niezmiennie,
a jego historia nie mierzy się granicami; tak więc, pod twymi dobrymi lub złymi losami,
nie do zranienia wieczność podziwia sama siebie.
Jorge Luis Borges Zegar piaskowy

Z Brestu przecinałem Bretanię w dół, ku Wandei. Małe miasteczka wymierające w porze poobiedniej sjesty, zgarbione ze starości wsie, zapach zamkowych sklepień, smutne pensjonaty, w których mogłyby się dziać fabuły Agaty Christie, nie kończący się rząd drzew flankujących pobocza szosy i śmigających do tyłu, białe czepce z koronek na głowach kobiet, menhiry, stada baranów bez pasterzy, senne kościółki przytulone do sennych krajobrazów... Biegłem ku plaży na Noirmoutier.

Im bliżej byłem, tym większa ogarniała mnie gorączka. Zatrzymywałem się czasami w jakimś muzeum, w ruinach opactwa lub przed tajemniczym krzyżem na wierzchołku wzgórza, lecz myślą byłem daleko. Próbowałem wyłączyć to przyśpieszenie przy Tańcu śmierci w Karnaskleden, na śladach Abelarda w St-Gildas-de-Rhuys i w Nantes – udawało mi się na krótko. Miałem przed sobą około 450 kilometrów i jeden widok przed oczami – piaszczyste wybrzeże w Noirmoutier. Przenocowałem w Vannes, po raz drugi w Cholet – śniła mi się egzekucja szuanów. Chcąc osiągnąć Cholet, musiałem lekko zboczyć z trasy, ale było to konieczne, gdyż Cholet to jakby daleki przedpokój wyspy – jest tam muzeum pełne pamiątek po szuanach i po d'Élbéem. Tu można zobaczyć ikonografię i detale szuańskiej epopei, a na Noirmoutier nic nie ma, tylko ta plaża... Nie Cholet jednak z całym komiksem eksponatów, ale pusta plaża była moją tęsknotą, bo któreż muzeum jest wyższe od muzeum wyobraźni? To moje miało tylko jeden eksponat, krzesło d'Elbéego. Czasem coś tak zaczadzi zmysły, że nie uspokoisz się, póki nie zobaczysz. Pasmo piachu, z którego krew wyparowała, gdy nie było jeszcze dziadka mego dziadka. Niepokoje, skąd się to bierze w człowieku, takie zauroczenie.

Może to jest atawizm kontemplowania szubienic? Odkąd znamy historię, ludzie pielgrzymowali do miejsc straceń. Trwa to do dzisiaj, a we Francji las przykładów. I czy w tym jest strach skazańca, czy okrucieństwo skazującego? Niewinność kata, czy – najgorsza ze wszystkich – radosna obojętność gawiedzi? Głód czegoś? W starych kronikach francuskich można przeczytać historię o tym, jak Robert Diabeł, przeziębiwszy się podczas pobytu w Paryżu, poprosił księdza z parafii Świętej Genowefy o jakąś leczącą relikwię. Niegłupi ksiądz dał mu kocią kość, co kronikarze niesłusznie poczytali za zły dowcip. Ale ta mądrość nie wyszła mu na zdrowie, albowiem normandzki książę nie cenił sztuki leczenia sugestią, nie wspominając już o braku elementarnego poczucia humoru, i kiedy rzecz wyszła na jaw, powiesił duchownego na portalu opactwa. Przez następnych sto lat z okładem tłumy wędrowały do Świętej Genowefy, by obejrzeć żelazną obrączkę pod portalem, do której ludzie księcia przywiązali sznur.

Conciergerie nie miałoby żadnych szans w pojedynku z innymi turystycznymi atrakcjami Paryża, gdyby nie było „przedsionkiem gilotyny". W zamku Blois jest tyle pięknych rzeczy, ile komnat, lecz wszyscy pędzą najpierw do tej, w której 23 grudnia 1588 roku „komandosi" Henryka III (i zapewne Chicota) wykonali sztyletami wyrok na Gwizjuszu. Przez zamek Amboise historia przewalała się jak szalona, lecz to, co reklamuje się w nim najskuteczniej, to „balkon wisielców" – żelazna balustrada, na której Gwizjusze powiesili w roku 1660 hugonockich spiskowców, a której każdy turysta musi dotknąć. Pogłaskać. Fantastyczny biznes, nie tylko turystyczny. W RFN sprzedaje się superzabawkę, dla malutkich: zbiorową szubienicę z czterema lalkami-wisielcami, które – gdy dziecię wykona wyrok – kołyszą się, a trafione elektrycznym kulomiotem drgają w przedśmiertelnych konwulsjach. Dawniej w Siedmiogrodzie oswajano dzieci ze śmiercią, każąc im całować stopy zmarłych, dzisiaj oswaja się dzieci z egzekucją. Przoduje telewizja. Egzekucja brzmi jak egzotyka, egzotyka brzmi jak forsa.

Pierwsza zrozumiała to Mme Tussaud, przyjaciółka cesarzowej Józefiny, rzeźbiąca w czasie Terroru głowy spadające z gilotyny. Zanim umarła, zdążyła urządzić w piwnicy swego londyńskiego panopticum arcydochodowy „chamber of horrors", pełen autentycznych cel, średniowiecznych narzędzi tortur, trójwymiarowych egzekucji Marii Stuart etc. Jej następcy zużyli sporo wosku i pieniędzy na aktualizację, pojawiły się takie rarytasy jak autentyczna wanna, jedna z trzech, w których G. J. Smith utopił swoje trzy połowice, czy krzesło elektryczne lub z komory gazowej, na którym posadzono jakiegoś wielkiego „killera", może Chessmana, nie pamiętam. Przed nim właśnie stają tłumy. Fascynacja gwałtowną śmiercią na siedząco.

We mnie też. Ale zupełnie, zupełnie inna. Nie interesują mnie krzesła zadające śmierć, które zresztą nie są wynalazkiem XX wieku, bo Średniowiecze wymyśliło „konfesjonał sądowy" (fotel, którego każdy fragment był obity sterczącymi gwoździami), ale te, które zostają skazane i umierają wraz z ludźmi. Krzesła, które towarzyszą w śmierci.

Niektóre kultury Wschodu długo nie znały krzesła. Kultura europejska uczyniła zeń potrzebę fizjologiczną. To nie krzesła wynaleziono dla stołu, lecz odwrotnie, tak jak nie wynaleziono podniebienia dla ciastka z kremem. W obrębie tej kultury psom stawia się pomniki, bo wierne do śmierci, czemu nie krzesłom, których wierności po skonanie nic nie można zarzucić? Bo to martwe przedmioty? Hola! – nie ma, z naszą wiedzą siedzącą na inwalidzkim wózku decydować, co martwe, a co żyje! Do niedawna sądziliśmy, że rośliny nie myślą i nie czują.

Naukowcom znana jest ciekawa teoria ludów malajskich i polinezyjskich, według której w całym wszechświecie, w

organizmach ludzkich i w przedmiotach, znajduje się „mana" – coś, co po naszemu można nazwać mocą lub energią. Jej główne skupiska mają się znajdować w ciałach przywódców i w sprzętach, których owi „liderzy" używają. Pokrywa się to z hipotezami uczonych europejskich i amerykańskich na temat cech wodzowskich zakodowanych w genach niektórych ludzi oraz z badaniami broni i innych przedmiotów należących do szamanów i wodzów plemiennych w Oceanii – przedmioty te często są swego rodzaju „kondensatorami energii", której emanację można fotografować aparatami Kirliana.

Życie jest jawnym sekretem i może lepiej wierzyć w krasnoludki niż w prąd elektryczny, bo to nie odziera egzystencji z poezji. Do średniowiecznego wyobrażenia o świecie dodawaliśmy kolejne wymiary, aż po czasoprzestrzeń, wciąż nie mogąc dotrzeć do tego, który jest może najbardziej zapładniający – do irracjonalizmu. Apostoł racjonalnej myśli, Kartezjusz (jego dzieło w Japonii byłoby encyklopedią humoru) nauczył Europę nie zauważać, jak ten najwznioślejszy z wymiarów rozwala kolejne gmachy ziemskich prawd. Prawdą jest, że przedmioty żyją, jeśli nie, to oznacza, że i my jesteśmy martwi. Durrell, ten sam Durrell, który wspomniał w Clei o grupie azjatyckich antropologów przybyłych do Europy, by studiować nasze obyczaje i poglądy („Po trzech tygodniach żaden z tych uczonych już nie żył. Wszyscy umarli z niepohamowanego śmiechu"), napisał również, że „prawda jest niezależna od faktów, nie martwi się, jeśli dowody jej zaprzeczają". Strzeżmy się wtedy mniemać, że w świecie istnieją dwa rodzaje tworów – zupełnie żywe i zupełnie martwe, i że tylko tym pierwszym przypisane jest cierpienie, innym zaś obojętne statystowanie i użyteczność. Krzesła żyją naszym życiem i – bywa – konają naszą śmiercią. Krzesło d'Elbéego jest dowodem.

Metafizyka krzeseł. Badacz, który w przyszłości zechce się w nią zagłębić, w samej Francji znajdzie dziesiątki obiektów swych studiów. Porozrzucane po muzeach, pałacach i prywatnych kolekcjach, mówią o swoich związkach z ludźmi, o swoim przemożnym na istoty żyjące wpływie. Któż więc tworzy zjawiska, Kartezjusz? Królowie modelują charaktery foteli tronowych, czy też bardziej trony kształtują świadomość tych, którzy do nich dążą, i osobowości królów? Fotel z plecionkowym oparciem, na którym Napoleon spędzał w Longwood długie ostatnie godziny, wysiadując koniec Empire'u. Majestatyczny fotel, w którym Ludwik XVIII przyjmował rewie wojska z balkonu pałacu Tuileries, negliżując tym swą zniewieściałość (żołnierze klęli na ten widok). Wyposażony w ruchomy blat i w skrzyneczkę z przyborami fotel Voltaire'a w Muzeum Carnavalet, współtwórca arcydzieł. I krzesła śmierci. Drewniany, o wielkich napędzanych korbami i przekładniami kołach fotel inwalidzki (również w Carnavalet) członka terrorystycznego triumwiratu (Robespierre, Saint-Just, Couthon) Couthona; na tym fotelu paralityk, który mścił się za swój los, karmiąc setkami zdrowych ludzi gilotynę, pojechał w końcu jak na łyżce w jej nienasyconą gębę. Setki foteli do obejrzenia i zbadania. Nie świadków – współwinnych historii. Nie opowiadają o życiu swych właścicieli, opowiadają o swoich przeżyciach.

Ileż mają do opowiedzenia krzesła i fotele naszego globu! To krzesło, które król perski, Kambyzes, pokrył skórą zgładzonego za sprzedajność sędziego i kazał siadywać na nim obejmującemu urząd po ojcu synowi łapownika, by było wieczną przestrogą. Było. Czyż nie wspomniałem o przemożnym wpływie krzeseł na ludzkie działania?

Fotel wielkiego korsarza, „psa morskiego" królowej Elżbiety, Francisa Drake'a, który można oglądać w Buckland Abbey. Zbudowany z drewna po okręcie „Goldem Hind", na którym Drake opłynął kulę ziemską przed 400 laty – pamięta każdą kroplę krwi wylaną podczas tego wiekopomnego rejsu.

Albo krzesło Szekspira, które stało w alkowie rodzinnego domu mistrza, w Stratfordzie nad Avonem i które księżna Izabela Czartoryska nabyła podczas podróży po Anglii i Szkocji. Napisała o tym tak: „Na tym krześle przed tym kominkiem siadywał zawsze Szekspir, w moim urojeniu widziałam przed sobą Julię i Romea, Mirandę, Desdemonę, Hamleta i Ofelię... Właścicielka domu, nie bardzo majętna, oświadczyła nam, że oprócz przywiązania które ma do tej pamiątki... ma z tego wielki zysk, każdy bowiem, kto jej dom odwiedza, drogo płaci za najmniejsze ułamki i drzazgi odłupane z krzesła, które potem oprawiają w pierścionki i medaliony."

Metafizyka krzeseł, cóż za temat! Że to jest temat niegodny dramatu? Otchłań herezji w podobnym mniemaniu. Wszystko, co żyje, godne jest dramatu, a dla mnie przedmioty żyją. Nie ma takiej rzeczy, na której nie można by rozpiąć epopei. Absolutnie żadnej, nawet książka telefoniczna i nocnik mogą służyć temu celowi. Oczywiście nie każda książka i nie każdy nocnik. Śmiejecie się? Spójrzcie na starą szwedzką książkę telefoniczną, w której sąsiadują ze sobą:

„Bernaab Olaf – piekarz
Bernadotte Gustaw – król".

Gustaw V chodził do kin publicznych, jeździł tramwajami i każdy obywatel mógł do niego dzwonić. Potem porównajcie z tą książką inne telespisy epoki. A gdyby tak opisać historię srebrnego nocnika, który w roku 1974 został ofiarowany przez pułk huzarów brytyjskich Armii Renu księżniczce Annie? Nocnik ten jest symbolem wspomnianej jednostki od roku 1813, kiedy to stał się trofeum zdobytym w Hiszpanii na uciekającym Józefie Bonaparte. Przeszedł on z pułkiem dziesiątki kampanii i w potrzebie huzarzy dostawali furii bojowej widząc, że jest zagrożony przez wroga. Strzeżono go jak pułkowego sztandaru, a może staranniej, i zgodnie ze zwyczajem pułkowym w czasie świąt armijnych oficerowie pułku pili szampana z tego „pucharu". Nocnik-symbol, czyż to nie temat! Temat na farsę, być może, ale wreszcie czegóż nie da się sprowadzić do farsy na tym szampańskim świecie, który jest tak okrutny – jak powiedział Wilde – że wprost nie sposób traktować go na serio? Krzesła moich fascynacji to są właśnie krzesła potraktowane okrutnie, i to bardzo. Rozstrzelano je.

Rozstrzelane nie znaczy zastrzelone. Zastrzelone krzesło znajdziecie w Deadwood (Południowa Dakota). W roku 1876 jeden z najlepszych „gunfighterów" w dziejach Dzikiego Zachodu, deadwoodzki szeryf, James Butler Hickok, rozsławiony przez literaturę i kino jako Wild Bill Hickok, grał w „saloonie" swego ostatniego pokera. Na stole leżało 300 dolarów, Hickok dostał fulla z ręki i otworzył grę. W tym momencie podszedł doń z tyłu notoryczny bandyta Mc Call i wpakował zawartość bębenka w oparcie krzesła. Kule przeszły na wylot. Tak się wtedy robiło w tamtych stronach, był to również rodzaj pokera. Zabijało się, by być „facetem, który zabił Browna", a potem znowu, by przelicytować tę chwałę i stać się „facetem, który zabił faceta, który zabił Browna!". I tak dalej. Do dzisiaj pokerzyści amerykańscy nazywają fulla, którego miał wtedy Hickok (trzy asy plus dwie ósemki) „fullem śmierci", a turyści ze wszystkich stanów zjeżdżają do Deadwood, by oglądać podziurawione jak sito i uefektownione plamami z czerwonej farby „krzesło śmierci". To jest właśnie zastrzelone krzesło. Krzesła rozstrzelane zostały postawione przed plutonami egzekucyjnymi. W tym różnica.



„Egzekucja d'Elbéego" (obraz Blanta)

Krzesło dla rozstrzeliwanego nie było łaskawym gestem. Miało pohańbić, zwłaszcza żołnierza, który za honor ma umierać na stojąco. Ofiarowywano je lub zmuszano do niego, przywiązując. Marszałek Murat, rozstrzeliwany przez Burbonów 13 października 1815 roku, odsunął krzesło z pogardą. Nie każdemu było to dane.

Dwa rozstrzelane krzesła wryły mi się w pamięć najmocniej. Pierwsze i ostatnie z tych wszystkich, których historie poznałem. Nie dlatego, że stanowią klamrę spinającą ten epizod moich ścieżek, przez przypadek – po prostu są najciekawsze.

Pierwszy raz zetknąłem się z tym we Włoszech, stąpając po śladach ostatniej drogi Ciano. W rzymskim Palazzo Venezia, w Castelvecchio, na poligonie San Zeno. To była droga do krzesła rozstrzelanego przez człowieka, zabitego zanim rozstrzelano skazańca. Wielki, pasjonujący poker. Kończące go krzesło, jedno z pięciu rozstrzelanych równocześnie, sprawiło, że zapragnąłem poznać każdą odzywkę i licytację tej gry.

Wejście do Pałacu Weneckiego, sobota 24 lipca 1943 roku godzina 17. Jeden po drugim wchodzą do wielkiej sali posiedzeń hierarchowie Italii, elita władzy – członkowie Wielkiej Rady Faszystowskiej Fronda, którą część z nich utworzyła niedawno (ci przed przyjściem wyspowiadali się i spisali testamenty), zamierza po raz pierwszy powiedzieć wodzowi: Nie! Jej przywódca, Dino Grandi, ma ze sobą przygotowane na kilku stronicach przemówienie – to są karty, którymi zagra otwarcie. W kieszeni munduru ma ukryty granat – jest to as atutowy na wypadek, gdyby Duce chciał wezwać swą milicję.

Godzina 17.10. Na salę wchodzi Benito Mussolini. Pozbawiony zwykłej buty, zmizerniały, zżerany przez wrzód żołądka. Po kilku minutach rozpoczyna przemówienie. Mówi źle. Często przerywa, gubi wątek, myli się. Stara się zamaskować tragiczną sytuację na frontach i skarży się na słabość ducha armii. Przez dwie bite godziny. Kończy pytaniem: co robić, walczyć dalej czy kapitulować?

Godzina 19 z minutami. Wrzask dyskusji. Wreszcie cisza. Śmiertelna. Bo oto wstaje Grandi i zaczyna mówić, jak nikt do tej pory nie ośmielił się mówić o Mussolinim i do Mussoliniego. Każde jego słowo dźga jak sztylet. Duce, półprzytomny z gniewu, ma wrażenie, że to zły sen. Inni kulą się w siedzeniach, na zewnątrz waruje straż, a wewnątrz czai się śmierć. Grandi nazywa Mussoliniego zdrajcą i twierdzi, że sto tysięcy włoskich matek przeklina dyktatora jęcząc: „Mussolini zabił mego syna!" Duce rozdziera gardło:

– Nieee! To nieprawda!!!

Ale Grandi nie daje się wybić z rytmu i nie przerywając zadaje kolejne ciosy, coraz bardziej obelżywe. Na koniec stawia wniosek o votum nieufności dla szefa państwa. Gwałtowna dyskusja.

Minęła północ. Jeszcze przez dwie godziny obrońcy Duce i jego krytycy skaczą sobie do oczu. Atmosfera staje się coraz cięższa i pełna nienawiści. Duce nie zabiera głosu, milczy i obserwuje ten teatr rozszalałych lalek, które walczą o niego. O godzinie 2.30 jakby się ocknął ze snu, przerywa kłótnię i nakazuje sekretarzowi generalnemu partii, Scorzy, poddać wniosek o votum nieufności pod głosowanie. Wszystkie karty zostały rozdane. Rozpoczyna się licytacja. Mussolini jest przekonany, że starzy towarzysze ze świętego marszu nie poprą Grandiego i że z jego zięciem i zarazem zastępcą na czele przegłosują bandę zdrajców. Scorza zrywa się z krzesła i ryczy:

– Głosuję przeciw wnioskowi!

I natychmiast pyta:

– Suardo?

– Wstrzymuję się od głosu.

– De Bono?

– Głosuję za wnioskiem.
– De Vécchi?
– Za.
– Grandi?
– Za.

Idzie to błyskawicznie. Gdzieś pośrodku jest Ciano. Duce wpatruje się w zięcia z nadzieją, lecz Ciano bez wahania mówi:

– Jestem za wnioskiem.

Scorza oblicza głosy. Dziewiętnastu hierarchów opowiedziało się za wnioskiem, siedmiu przeciw, Suardo wstrzymał się od głosu. Za drzwiami straż. Grandi wkłada prawą rękę do kieszeni z granatem.

Słychać ciężki oddech Duce.

Dwudziesty piąty lipca 1943 roku, godzina 2.45 nad ranem. Duce wstaje, zbiera swoje papiery i przez chwilę wpatruje się w twarz zięcia. Potem idzie w kierunku drzwi, odwraca się i mówi cicho:

– Spowodowaliście kryzys rządu. Zabiliście faszyzm. Ogłaszam posiedzenie za zamknięte.

Na przełomie 1943/1944 roku poker rozpoczęty w Rzymie wchodzi w stadium finalne – rozpoczyna się rewanż w ostatnim bastionie Mussoliniego, w Republice Socjalnej w Salo. Z tym, że teraz przy stoliku jest nieco ciaśniej, pojawił się trzeci partner, Niemcy. O życie Ciano, który sam oddał się Mussoliniemu w ręce i został ciśnięty do lochu, walczą Kaltenbrunner i Himmler. Nie chodzi im o człowieka, lecz o jego dziennik, zawierający straszliwe oskarżenia pod adresem Ribbentropa. Szef SD na Europę Południową, Höttl, mówi do Kaltenbrunnera:

– Za życie tego politycznie skończonego faceta możemy mieć jego dziennik.

To znaczy: możemy przetrącić Ribbentropowi kręgosłup. Ciano, znając wszystkie gangi III Rzeszy, postawił na zwalczającą grupę Ribbentropa koalicję K-H. Źle postawił, ale poker ma to do siebie, że nie sposób wszystkiego przewidzieć.

Rozpoczyna się misterna licytacja, którą ze strony niemieckiej prowadzi najpiękniejsza agentka SS, Hildegarda Beetz, spędzająca całe godziny w celi Ciano. W chwili gdy targ jest już dobity (w zamian za dziennik Ciano zostanie wywieziony na Węgry), powiadomiony o wszystkim Ribbentrop donosi Hitlerowi o „planowanej ucieczce zdrajcy". Dosłownie w ostatniej chwili. Rozwścieczony führer nakazuje Kaltenbrunnerowi wstrzymać akcję. Szatański dziennik przestał być asem, stał się blotką. W tym momencie hrabia Galeazzo Ciano zrozumiał, że przegra tego pokera o życie.

Reszta, proces i wyrok, są ostatnim rozdaniem i licytacją w widno, a wszystkie figury znajdują się w ręku Duce – on rozdaje. Wiadomo zaś, że dobry szuler rozdaje, co zechce. Licytacja trwa od 8 do 10 stycznia w fortecy Castelvecchio nad Adygą. Ciano tłumaczy sędziom, że nie chciał obalenia faszyzmu, a tylko jego reformy. Równie dobrze mógłby recytować abecadło. Z sześciu sądzonych eks-hierarchów, pięciu wraz z nim skazanych zostaje na śmierć. Dla wykonania wyroku przewożą ich na podmiejski poligon San Zeno i sadzają na krzesła, tyłem do plutonu egzekucyjnego, by bardziej upokorzyć. Ale Ciano nie daje się upokorzyć, zna historię Włoch, pamięta gest Murata z zamku Pizzo. W chwili gdy pada komenda: ognia! zrywa się i odwraca twarzą do luf. Salwa. Czterech skazańców pada, lecz wstrząśnięci żołnierze chybili – Ciano jest tylko ranny i krzyczy z bólu lub z gniewu. Dowódca plutonu Furlotti, ponawia komendę, raz i jeszcze raz. Repetowanie i salwa za salwą, kule przeszywają martwe już krzesło, a Ciano wciąż żyje! Furlotti wstrzymuje ogień. Wyciąga z kabury pistolet i idzie w kierunku hrabiego, po czym strzela mu dwukrotnie w głowę z bezpośredniej odległości, Ciano wali się piersią na krzesło i obejmuje je jak kochankę, ręce wiotczeją, zwalnia uścisk, koniec.

Krzesła Ciano nie widziałem, krzesło d'Elbéego tak. To ono popędziło mnie do Noirmoutier. Wyspa na kształt zdeformowanego tłuczka – cienka rękojeść i masywny łeb. Do roku 1971 łączyła je z lądem zatapialna szosa Le Gois, potem wybudowano most przedłużający szosę 148. Na 57 kilometrach kwadratowych żyje tam 8 tysięcy mieszkańców podzielonych na cztery komuny. Latem przybywa minimum 150 tysięcy turystów, którzy pokrywają prawie całą wyspę jak chmara szarańczy, lasy, łąki, kilometry plaży, wszystkie osiedla: Noirmoutier-en-Île, Barbâtre, La Guériniére, L'Épine, L'Herbaudiére – maleńki porcik, pełen kolorowych łodzi rybackich i atmosfery z Melville'a oraz inne. Namioty, budki, dziesiątki campingów i setki szałasów – władze są bezradne wobec zjawiska „dzikiej turystyki", którą próbują ująć w karby organizacyjne. Tylko bagna, stanowiące jedną trzecią powierzchni wyspy, pozostały wolne. Pewnie nie na długo, osuszą je i wzniosą kompleksy hotelowe.

Przyjechałem w zły czas, w sezonie, ale nie w najgorszy, sezon kończył się, szarańcza nażarła się słońca i odfruwała, zwalniając coraz większe przestrzenie bladego piachu. Moje muzeum wyobraźni mogło zacząć funkcjonować, przenosząc obrazy walk w Wandei i egzekucję d'Elbéego.

Kontrrewolucja wandejska wybuchła w roku 1793. Ludność Wandei, bardzo przywiązana do swej religii i tradycji, nie pokochała jakobinów. Z Paryża przysyłano tu cwanych „zarządców", „komisarzy", „strażników" (w ówczesnym języku francuskim „strażnik opieczętowanych dóbr narodowych" i „złodziej" stały się synonimami) i okrutnych żołdaków, którzy panoszyli się bezceremonialnie. Nic dziwnego, że tliły się w tej prowincji zarodki buntu, które rozdmuchano w płomienie, gdy rząd wydał nienawistny dekret (23 lutego 1793) o poborze 300 tysięcy rekruta. W kilka dni cały kraj stanął w ogniu. Sztab powstańczy składał się ze zgodnie współpracujących dowódców pochodzenia chłopskiego (Stofflet, Cathélineau) i szlacheckiego (Charette, d'Elbée, Lescure, La Rochejaquelein, Bonchamps). Wszyscy oni przeszli do legendy, ich cienie żyją w ruinach zamków tej ziemi, do dzisiaj w wiejskich chatach opowiada się o nich wieczorami pachnące smolną szczapą klechdy. Tylko duch d'Elbéego nie błąka się po basztach ni krużgankach opactw, ni fortecznych bastionach. Można go odnaleźć na plaży w Noirmoutier.

Ta wojna przypomniała Francuzom, czym jest prawdziwa wojna. Dla Wandejczyków była świętą sprawą, dla jakobinów kwestią prestiżu, rewolucyjnym „być albo nie być". Berére ciskał z mównicy płomienne słowa: „Unicestwiajcie Wandeę! Każdy cios, który jej zadacie, rozlegnie się echem na najdalszych krańcach naszej ziemi! Myślcie o Wandei, tylko o Wandei!!" Obie strony prowadziły tę wojnę z okrucieństwem antycypującym hitleryzm, palono żywcem, setki jeńców stawiano nad wielkimi dołami i rozstrzeliwano bez litości. Wandejczycy chlubili się, że są bardziej ludzcy od republikanów, gdyż pozwalają skazanym spowiadać się przed śmiercią.

Naprawdę ludzki był w tym mordującym się tłumie tylko d'Elbée. Powstrzymywał rzezie. W muzeum w Cholet wisi obraz „Ojcze nasz" d'Elbéego, przedstawiający historyczną scenę z Chemilleé: powstańcy wchodzą z siekierami do stodoły, w której zamknięto tłum republikańskich jeńców, a d'Elbée blokuje drzwi własnym ciałem mówiąc: „... i odpuść



Fotel, w którym rozstrzelano d'Elbéego

nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". W takich momentach sprawdza się świętość Pater noster klepanego do bezmyślności milionami wieczorów, w milionach domów, przez miliony ust, jak w modlitewnej katarynce buddyjskiej. Jeńców uwolniono!

Maurycy Gigost d'Elbée urodził się w roku 1752. Służył w królewskiej kawalerii, potem wycofał się do swej posiadłości w La Loge-Vaugirault (Anjou), po wybuchu Rewolucji wyemigrował i powrócił do domu w roku 1792. Wiosną 1793 roku okoliczni chłopi poprosili go, by poprowadził ich przeciw republikanom. W ciągu dosłownie kilku tygodni dał się poznać jako jeden z najlepszych dowódców insurekcji, najbardziej z nich religijny i rycerski. Wskrzeszał tradycje Bayarda, m.in. pod Parthenay i Fontenay-le-Comte, gdzie został ranny. Wielbiono go i nazywano „generałem Opatrznością". Nic też dziwnego, że gdy 29 czerwca dowódca armii katolickiej, Cathélineau, został trafiony śmiertelnie w bitwie pod Nantes, nowym generalissimusem Wandei mianowano d'Elbéego. W kilka dni później udowodnił, że jest tego wart, bijąc na głowę pod Chatillon republikańską armię Westermanna.

Pasmo wandejskich sukcesów ciągnęło się jeszcze przez trzy i pół miesiąca. 17 października 13 tysięcy lepiej uzbrojonych republikanów rozgromiło pod Cholet, nad brzegami Loary, 40 tysięcy Wandejczyków, Bonchamps, Lescure i d'Elbée padli ciężko ranni. Pierwszy śmiertelnie, dwóch pozostałych zdołano wynieść z pola. Lescure wyleczył się i tego samego roku zginął w bitwie pod La Tremblaye. D'Elbéego przewieziono do Noirmoutier i ukryto.

Był to już koniec insurekcji w Wandei. Na rozkaz Komitetu Ocalenia Publicznego „piekielne kolumny" generała Turreau rżnęły w całej prowincji mężczyzn, wywoziły starców, kobiety, dzieci, bydło i trzodę, kosiły zboża i lasy, resztę paliły. Zostawała za nimi czarna ziemia. 3 stycznia 1794 roku generał Haxo zdobył Noirmoutier. Kryjówka d'Elbéego została odkryta.

Skazano go na śmierć przez rozstrzelanie. Wraz z nim jego szwagra, Duhoux d'Hauterive'a, kuzyna oraz oficera republikańskiego, Wielanda, który zaprotestował przeciw wyrokowi! Wieland był najprawdopodobniej jeńcem w stodole w Chemillé, lub po prostu dobrze sobie zapamiętał tę historię. Za tę pamięć miałby honorowe miejsce w Panteonie chwały francuskiego oręża, gdyby obowiązywały przyzwoitsze kryteria zaszeregowania do encyklopedii i podręczników. Kryterium powszechnie obowiązujące uwzględnia liczbę zabitych ludzi i wygranych bitew.

Rozstrzeliwano ich w pobliżu brzegu 9 stycznia 1794 roku. Było zimno, od morza wiał wilgotny wiatr. Trzech stało, d'Elbéego rzucono na wspaniały szeroki fotel w stylu Ludwika XV. Był zbyt ciężko ranny, by odczuć to upokorzenie. Oparł się, a fotel przytulił go szepcząc: Czemu mnie nienawidzisz? Jesteś mój, a ja należę do ciebie, ja wezmę w siebie twój ostatni ból. Niczego nie żałuj, ta ziemia jest klepsydrą cierpienia, które wraca dzień po dniu, nie ma mu końca...

Nie ma. W dzień później ścięto żonę d'Elbéego.

W muzeum w Nantes wisi Egzekucja d'Elbéego Le Blanta. Trzy trupy na piasku, jeden półleżący w fotelu, jakby spał. Pluton egzekucyjny odmaszerowuje, bezkres plaży, daleka nić morza, trzy pionowe kreski-maszty statku. Słyszy się wiatr.

Widziałem rozstrzelany fotel d'Elbéego. Kule powyszarpywały w tapicerce głębokie rany. Stoi na pięknym dywanie w haftowane lilie burbońskie, czule opłakujące go. Piasek, na którym stał 9 stycznia 1794 roku, nie był czuły ni dla niego, ni dla d'Elbéego. Piasek nie zna litości, nie współczuje, nie osądza. Natura jest od zarania doskonale obojętna wobec człowieka. Dopiero po śmierci wchłania go z powrotem w swoje łono. Krzesłom tego odmawia – to dlatego winno się im dawać satysfakcję piórem. Są mi bliskie rozstrzelane krzesła. Metafizyka drewna i tapicerki. Tylko tematy obsesyjnie przeżywane są warte sprzedania, reszta to trawa, której nie pomoże nawet opakowanie w celofan.

Było późne popołudnie i plaża pustoszała. Jakiś mężczyzna pastwił się słowami nad kobietą, klął, w końcu odszedł i mijając zamek z piasku budowany przez ich dzieci, chłopca i dziewczynkę, kopnął go z rozmachem. Kobieta, młoda i ładna, stała jak zaklęta w kamień. Trwało długo, zanim się ocknęła, podeszła wolno do piaskowej ruiny, uklękła, podniosła łopatkę i zaczęła kontynuować dzieło. Budowla rosła błyskawicznie, pojawiły się wysokie wieże, okienka, blankowania... Wreszcie podniosła się i otrzepała dłonie o spódnicę. U jej stóp wyrosła góra, gładki stożek, jak na rysunkach Szancera, a na nim stał zamek, dziwaczny jakiś, nieforemny, pełen tarasów, skomplikowanych powiązań i tuneli, rodem z bajki o średniowiecznej królewnie czekającej w oknie na zalotników. I nagle, kiedy myślałem, że już jest dobrze, kobietę zgiął szloch, nie zdołała powstrzymać ruchu ciała i zamek runął ponownie. Odchodziłem bezradny, widząc łzy, które płynęły jej po policzkach, i przypomniało mi się tych kilka zdań Saint-Exupéry'ego, najpiękniejszych w całym jego pisaniu: „Nadchodzi dzień, kiedy w dziewczynie budzi się kobieta. Marzy, by wreszcie postawić komuś piątkę. Ta piątka leży na sercu. Wtedy właśnie zjawia się jakiś głupiec. Po raz pierwszy przenikliwe oczy mylą się i stroją przybysza w piękne piórka. Jeśli głupiec mówi wiersze, dziewczyna ma go za poetę... I oddaje serce, które jest zdziczałym sadem, temu, kto lubi tylko strzyżone parki. I głupiec bierze księżniczkę w niewolę".

Jaki to ma związek z rozstrzelanymi krzesłami d'Elbéego? Żadnego. Obie te rzeczy mają związek tylko ze mną i z moim pobytem na Noirmoutier. I może jeszcze z tym, że nie bez przyczyny starożytni używali piasku do mierzenia czasu.



Scenariusz Dni Ostatecznych

Charles Taze Russell urodził się w roku 1852, zmarł w roku 1916. Przez jakiś czas był adwentystą, później założył własny miesięcznik „The Watch Tower", którego tytuł po polsku można przetłumaczyć jako „Wieża Czuwania". Russell pozostawił po sobie „Wykłady Pisma Świętego" („Studies in the Scriptures") oraz założył Międzynarodowe Stowarzyszenie Badaczy Pisma Świętego, które po jego śmierci rozbiło się na wiele różniących się od siebie odłamów.

Jednym z tych odłamów jest istniejące również w Polsce i prowadzące swą działalność legalnie Sto-

Świat został stworzony przez Boga 7 października 3761 roku przed naszą erą.

Od czasu stworzenia praojca rodu ludzkiego Adama do tragedii biblijnego króla Sedekiasza upłynąć miały równo 3522 lata. Dodać do tego trzeba jeszcze 70 lat przebywania Żydów w niewoli babilońskiej. I przedostatnia pozycja rachunku: dalsze 536 lat, jakie upłynęły do dekretu króla Cyrusa, zezwalającego Żydom na powrót do Jerozolimy. Gdy dodamy do tego jeszcze 1872 lata, otrzymamy równe 6000. Autorzy tego rachunku twierdzą, że „są to 1872 lata po urodzeniu Chrystusa", co wraz z uwzględnieniem nieznacznej pomyłki co do daty jego urodzenia (pomyłki rzędu 2 do 3 lat) dawałoby rok 1874 naszej ery. Rok ten zamykałby zatem szóste i otwierał siódme tysiąclecie ludzkości.

Najważniejszym wnioskiem, jaki „russelliści" stąd wysnuwają, to przekonanie, że w roku 1874 nastąpiło w dziejach ludzkości, wkraczającej „w siódme tysiąclecie swego istnienia", wydarzenie o charakterze przełomowym. Wydarzeniem tym miało być ponowne, niewidzialne przyjście na świat Chrystusa, tak jak to zapowiadała Biblia.

Według kalendarza żydowskiego rok 1984 jest 5745 rokiem „od stworzenia świata". Wskazywałoby to na „prawidłowość" daty 7 października 3761 roku, aczkolwiek rachunek ten nie bardzo da się pogodzić z przedstawioną tu rachubą „russellistów". Ale to już ich zmartwienie.

Andrzej Tokarczyk

WIELKA APOKALIPSA

warzyszenie Badaczy Pisma Świętego, które wydaje dwumiesięcznik „Świt Królestwa Bożego i Wtórej Obecności Jezusa Chrystusa". Skupieni wokół tego Stowarzyszenia „badacze" (nazwijmy ich: „badaczami stowarzyszonymi") są przekonani o potrzebie dosłownego, a nie symbolicznego tylko traktowania wszelkich biblijnych liczb i proroctw liczbowych. Deklarują także swą całkowitą wierność doktrynie Russella i twierdzą, że historiozofia biblijna ma wartość wtedy, gdy się ją odbiera „literalnie", to jest gdy się jest wiernym każdej jej literze, a nie przenośnie i dowolnie. Rok 1874 zapoczątkował więc scenariusz Dni Ostatecznych, którego jesteśmy świadkami i uczestnikami. Russell przewidział trafnie wybuch pierwszej wojny światowej w roku 1914. Teraz zaś następować będą dalsze zapowiadane wydarzenia. Z wyliczeń „russellistów" wynika, że oprócz wymienionych w Apokalipsie 144 000 Kapłanów-Zwycięzców wyróżnionych zostanie aż 411 840 000 tak zwanych pozafiguralnych Lewitów, spośród których 153 504 000 otrzyma *„naturę duchową"* i jako tak zwane Wielkie Grono pracować będzie *„dla dobra ludzkości"*. Wszyscy członkowie Wielkiego Grona pozostaną – tak jak Chrystus – niewidzialni dla swego otoczenia.

•

A co z resztą? Reszta, czyli 258 336 000 ludzi, pozostanie nadal na ziemi przez okres tysiąca lat, zachowując nieśmiertelność. „Russelliści" są bowiem milenarystami, wierzą w tysiącletnie rządy Chrystusa na ziemi. Po upływie tego tysiąca lat rozegrać się ma Armagedon, czyli ostateczna walka Chrystusa z Szatanem, w wyniku której zarówno Szatan, jak i wierne mu zastępy upadłych aniołów oraz grzeszników zostaną ostatecznie pokonane. Ten wielki, ostatni bój stoczony zostanie w Palestynie. Zdaniem „badaczy stowarzyszonych", zmartwychwstanie już się rozpoczęło. Począwszy od roku 1980, zdarza się niektórym ludziom, że widzą gdzieś na własne oczy niektórych zmartwychwstałych starożytnych świętych. Może to się zdarzyć w parku, na ulicy, w sklepie czy na plaży: gdziekolwiek.

Epifania „w większym zajaśnieniu"

Do nauk pastora Russella przyznają się jednak także „badacze wolni", należący do Zrzeszenia Wolnych Badaczy Pisma Świętego. W Polsce są oni skupieni wokół czasopisma „Na Straży" (nie mylić z wydawaną przez Świadków Jehowy „Strażnicą"!). Zrzeszenie to prowadzi również swą działalność legalnie i ma swe zbory głównie w Małopolsce. „Badacze wolni" kładą nacisk na niezależność i autonomiczność poszczególnych zborów: zarząd zrzeszenia jest tylko organem wykonawczym woli Walnego Zgromadzenia Członków Zborów. Pewne szczegóły różnią ich doktrynę od doktryny „badaczy stowarzyszonych". „Badacze wolni" pozostają w stałym kontakcie z Instytutem Biblijnym w Detroit, który wyłonił się wkrótce po założeniu we Francji w 1918 roku przez russellistę T. L. Freytaga odrębnego Zgromadzenia Ciała Chrystusowego.

Trzeci wreszcie kierunek w ruchu „badackim" – to „epifaniści". Istniejący również w Polsce, zwłaszcza na terenie Wielkopolski, Świecki Ruch Misyjny „Epifania" (objawienie, ukazanie się), nawiązuje zarówno do doktryny Ch. T. Russella, jak i Paula S. L. Johnsona. Johnson pozostawił po sobie 21 tomów różnego rodzaju pism, książek i wskazówek. „Epifaniści" przyjmują również rok 1874 za datę ponownego niewidzialnego przyjścia na świat Chrystusa i nazywają to „początkiem paruzji", po której nastąpić miał okres „epifanii". Epifania, w ich nazewnictwie, to jak gdyby paruzja *„w większym zajaśnieniu"*. Okres paruzji trwał 40 lat (od roku 1874) i zakończył się w roku 1914 wraz z wybuchem wojny światowej.

Na tym jednak nie koniec. W 1914 roku miał się bowiem rozpocząć okres „epifanii", który trwał do roku 1954, a więc dalsze 40 lat. Od roku 1954 mamy z kolei okres „bazylei", który trwa nadal i dobiega właśnie swego czterdziestoletniego kresu. „Bazylea" – to z kolei jak gdyby *„epifania w większym zajaśnieniu"*. Mają się w czasie jej trwania wydarzyć rzeczy najdonioślejsze.

Kołobieg dziejowy

Co to wszystko właściwie znaczy? Zwróćmy uwagę na czas trwania tych wszystkich „początków końca świata": jest to zawsze 40 lat. Epifaniści wierzą w tak zwany kołobieg dziejowy i w swej historiozofii stosują metodę rozumowania przez analogię. Oto jej przykład: Od śmierci biblijnego patriarchy Jakuba do czasu ofiarowania Jezusa upłynęło 1845 lat. Był to, wedle Johnsona, okres zwany Wiekiem Żydowskim. Kolejne 1845 lat – to Wiek Ewangelii. Zakończył się on w roku 1874, kiedy to po raz drugi, zgodnie z zapowiedziami proroków, Chrystus przyszedł w postaci niewidzialnej na ziemię. Epifaniści nazywają te dwa okresy: Wiek Żydowski i Wiek Ewangelii – okresami „równoległymi" albo „analogicznymi". Wszystko więc, co działo się w Wieku Żydowskim, musi mieć jakiś swój odpowiednik w Wieku Ewangelii. I tak na przykład czas zburzenia Jerozolimy w roku 70 n.e. odpowiada czasowi wybuchu pierwszej wojny światowej w roku 1914. Chrystus został ukrzyżowany w 33 roku życia; należało więc oczekiwać, że w 40 lat po roku 1874, czyli w roku 1914, wydarzy się coś takiego, jak w roku 70 n.e. Epifaniści powołają się także na zapowiedź *„zniszczenia kapitalizmu"* w Liście Jakuba i starają się przewidzieć, co nastąpi w najbliższej przyszłości.

Wszystko, co działo się ważnego w Wieku Żydowskim, powtarza się następnie w Wieku Ewangelii, a po jego zakończeniu – w dalszych dziejach ludzkości. Począwszy od roku 1954, czyli od nastania „bazylei", ludzkość ma zmierzać stopniowo ku swemu zjednoczeniu. Potem zostanie zrestytuowane na okres tysiąca lat Królestwo Boże na ziemi, ów *„raj utracony"* człowieka. Królestwem tym rządzić będzie niewidzialnie Jezus Chrystus, ale nie sam, lecz przy pomocy rządu światowego, który został już skompletowany.

Światowy „rząd dusz"

Według obliczeń, wyobrażeń i spekulacji „epifanistów", ten przyszły rząd światowy składa się ze 144 000 członków. Ostatni członek tego rządu został doń dokooptowany w roku 1950. Został nim właśnie Paul Johnson, który wtedy umarł. Zakończył się więc wraz z jego śmiercią wielowiekowy proces *„kompletowania niewidzialnego rządu światowego"*. W cztery lata później ludzkość wkroczyła zaś w okres „bazylei".

Co czeka jednak ludzkość dalej? Epifaniści są optymistami i wierzą, że każdy uczestnik „bazylei" otrzyma jeszcze dodatkowo sto lat próby, w trakcie których albo podporządkuje się owemu światowemu „rządowi dusz" i uzna go za rząd własny, albo go odrzuci, to jest wypowie mu posłuszeństwo. I to ma właśnie zadecydować ostatecznie o jego zbawieniu lub potępieniu. A Szatan? Szatanem nie należy się w ogóle przejmować, ponieważ od 1874 roku Szatan jest już *„związany"*; nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale jednak związany, *„związany prawdą"*. Nie ma on już zatem żadnych możliwości działania czy przeciwdziałania; nie wywiera wpływu na swych upadłych aniołów. Wprawdzie przyjdzie taki zapowiadany w Biblii moment, kiedy Szatan zostanie na krótko wypuszczony ze swego „więzienia", kiedy wyruszy naprzeciw sprawiedliwym i ich Świętemu Miastu, ale przegra ten swój Ostatni Bój i zostanie wówczas raz na zawsze unicestwiony. I wtedy dopiero skończą się wszelkie ludzkie niedole i udręki. Kto przez te wszystkie próby przejdzie zwycięsko, ten otrzyma w nagrodę nieśmiertelność.

Tak w zarysie przedstawia się „epifaniczny" scenariusz „końca świata". Znajduje on wyraz na łamach periodyku zatytułowanego „Teraźniejsza Prawda i Zwiastun Chrystusowej Epifanii".

Przed Armagedonem

Według Świadków Jehowy, ugrupowania nie prowadzącego w naszym kraju od 1950 roku działalności legalnej, czas „końca ludzkości" jest również bliski. Świadkowie Jehowy podkreślają zawsze z naciskiem, że mówią o „końcu ludzkości", a nie o „końcu świata", ponieważ świat będzie istniał nadal i stanie się jeszcze piękniejszy, jeszcze doskonalszy, tylko że ludzkość

ulegnie jak gdyby całkowitemu przeobrażeniu. W przepowiedniach i zapowiedziach Świadków Jehowy jest również mowa o Wielkim Boju, o Armagedonie, o liczbie 144 000 wybranych i zbawionych. Mają to być, ich zdaniem, najlepsi spośród najlepszych („*best of the best*"), a więc tacy, którzy otrzymają dar nieśmiertelności i tym samym staną się „równi bogom" – po upływie tysiącletniego okresu rządów Chrystusa na ziemi. Nawet nie wszyscy Świadkowie Jehowy dostąpią tego zaszczytu i nikt właściwie nie wie, czy znajdzie się wśród tych najwyżej nagrodzonych. Ale sprawiedliwi i tak wygrywają, czeka ich bowiem pobyt w Tysiącletnim Królestwie Chrystusowym. Można okres 1000 lat nazwać, jeżeli ktoś tego chce, „długowiecznością", choć co innego długowieczność, a co innego nieśmiertelność... W każdym razie najlepsi spośród starających się i najsprawiedliwsi ze sprawiedliwych mają także szansę uzyskania nieśmiertelności. Jeżeli oczywiście znajdą się wśród owych 144 000 „*best of the best*".

A jakie szanse ma zwykły, szary człowiek, zwłaszcza w podeszłym wieku? Większe niż oferuje mu jakakolwiek inna religia. Żadna bowiem religia nie obiecuje nikomu, że być może, w ogóle nie umrze. Jedynie Świadkowie Jehowy dopuszczają taką możliwość w przypadku tych, którzy dożyją początku Tysiącletniego Królestwa. Będą oni mogli niejako „bezkolizyjnie" przejść z „czasów ludzkości" do czasów „tysiącletnich".

W stosunku do praojca rodu ludzkiego – Adama – Świadkowie Jehowy nie są już jednak wyrozumiali, lecz bezwzględni. Wyłączają go oni z grona zbawionych i winią nadal za grzech pierworodny. Ponadto Świadkowie Jehowy gromią za „*odstępstwo od Biblii*" zarówno katolików, jak i protestantów. Właściwie należałoby nazwać Świadków Jehowy „rutherfordystami", od nazwiska J. T. Rutherforda, następcy Russella i modyfikatora jego doktryny. Rutherford stanął w 1916 roku na czele Stowarzyszenia Badaczy Pisma Świętego, które podzieliło się później na szereg odłamów. Zrzeszenie Świadków Jehowy, którego był prezydentem, powstało na początku lat trzydziestych. Obecnie siedzibą jego władz centralnych jest Brooklyn w Stanach Zjednoczonych.

Doktryna Świadków Jehowy jest rygorystyczna, a organizacja teokratyczna. Obowiązuje w niej ogromna dyscyplina i zasada całkowitego posłuszeństwa przełożonym. Świadkowie Jehowy grożą na przykład „drugą śmiercią", czyli śmiercią podczas „drugiego zmartwychwstania" tym wszystkim, którzy wyrażą zgodę na transfuzję krwi. Twierdzą, że transfuzji krwi zabraniają teksty biblijne.

Inne ruchy „badackie" nie są jednak tak rygorystyczne w sposobie interpretowania tych zakazów. Twierdzą one, że zakazy te odnoszą się jedynie do krwi zwierzęcej, nie zaś ludzkiej. Idzie o to, aby przyjmując krew zwierzęcia (np. spożywając ją) człowiek nie wchłaniał „duszy" tego zwierzęcia, dusza bowiem znajduje się właśnie we krwi.

A kiedy należy spodziewać się Armagedonu? Świadkowie Jehowy wymieniali już różne daty „końca ludzkości": rok 1925, rok 1975... Ich zdaniem, tylko patrzeć, jak idąc gdzieś ulicą zobaczymy niespodziewanie pierwszych zmartwychwstałych patriarchów i proroków starotestamentowych: biblijnego Abrahama, Jakuba, Dawida, Izajasza czy może Daniela. A może nawet samego króla Salomona? Zmartwychwstanie bowiem odbywać się będzie etapami, klasami i stanami: od najznaczniejszych do najmniej ważnych członków społeczności ogólnoludzkiej.

Od chiliazmu do milenaryzmu

Zauważmy, że właściwie wszystkie bez wyjątku ruchy „badackie" ze Świadkami Jehowy włącznie głoszą (choć każdy na swój sposób) doktrynę milenaryzmu, to jest wiarę w rychłe, przyszłe Tysiącletnie Królestwo Chrystusowe. Milenarystami, a właściwie chiliastami byli na ogół także pierwsi chrześcijanie. Różnica pomiędzy chiliazmem a milenaryzmem nie sprowadza się jedynie do różnicy semantyczno-językowej (gr. „*chiliade*" = łac. „*millennium*" = „tysiąc"), lecz polega także na tym, że chiliaści umiejscowiali to Tysiącletnie Królestwo raczej na ziemi, podczas gdy wielu współczesnych milenarystów chrześcijańskich, na przykład adwentyści, przenoszą je jak gdyby poza ziemię.

Można również o ruchach „badackich" czy „badacko-jehowickich" powiedzieć, że są antytrynitarne, odrzucają bowiem chrześcijański dogmat o Trójcy Świętej. Zwłaszcza u Świadków Jehowy mamy do czynienia ze stałą modyfikacją dawnej doktryny Russella. O Jezusie mówią Świadkowie, że jest Naczelnym Świadkiem Jehowy. Zwróćmy jednak uwagę na wyrażenie: „bogowie". Doktryna ich zmierza wyraźnie w stronę wielobóstwa, choć politeizmem w ścisłym znaczeniu raczej nie jest.

Czy można „russellizm" i „rutherfordyzm" zaklasyfikować jako ruchy czy wyznania o charakterze chrześcijańskim? Rodowodowo na pewno tak. Wszystkie wymienione tu ruchy i odłamy wywodzą się genetycznie z protestantyzmu amerykańskiego drugiej połowy XIX wieku, jego organizacji eschatologiczno-apokaliptycznej. Ale nie tylko „rodowodowo" jest to ruch wewnątrzchrześcijański. Wszystkie te wyznania i doktryny powołują się na Biblię, na Stary i Nowy Testament. Są to zaś księgi sakralne chrześcijaństwa.

A czy można o nich powiedzieć, że „judaizują", to jest łączą doktrynę chrześcijańską z wyobrażeniami żydowskimi, z judaizmem? Do pewnego stopnia – tak. Chociaż – jak wiemy – istniał w dziejach chrześcijaństwa okres pośredni pomiędzy judaizmem a chrześcijaństwem, okres tak zwanego judeochrześcijaństwa. I właśnie do wierzeń oraz wyobrażeń judeochrześcijan odwołują się najczęściej wyznawcy doktryny Russella, Freytaga, Johnsona czy Rutherforda. Jest to sposób widzenia właściwy dla chrześcijaństwa wieków apostolskich, pragminy żydowskiej w Jerozolimie z Jakubem na czele, a więc okres, którego współczesne chrześcijaństwo nie tylko nie stara się zdeprecjonować, ale przeciwnie, uważa pod wieloma względami za wzorcowy, skoro głosi potrzebę „powrotu do źródeł". Inna sprawa, że w spekulacjach liczbowych i historiozoficznych współczesnych judeochrześcijan dostrzec można łatwo wpływ późniejszej myśli żydowskiej, zwłaszcza zaś Kabały i maniery kabalistycznych wyliczeń. Nie chcę przez to powiedzieć, że rzecznicy tych kierunków kiedykolwiek twierdzili, iż z Kabałą i z kabalistyką mieli cokolwiek wspólnego.

Pewne zbieżności pomiędzy wyobrażeniami judaistycznymi, judeo-

chwilę pojawiło się pięciu żołnierzy amerykańskich, którzy bezceremonialnie chwycili go za ręce i odprowadzili na miejscowy posterunek policji. Okazało się, że von Mohrenschildt rysował instalacje straży przybrzeżnej. Przekazano go FBI, które uznało von Mohrenschildta za szpiega niemieckiego, zwłaszcza że jego nazwisko brzmiało bardzo z niemiecka. Tylko koneksje tegoż w wysokich sferach uratowały go od procesu i więzienia. Został uznany za „nieszkodliwego ekscentryka". Prawdopodobnie nie skojarzono jeszcze wówczas jego osoby z tą, która otrzymała list od szpiega niemieckiego, barona von Maydella.

Koneksje von Mohrenschildta w wysokich sferach pomogły mu także w działalności – nazwijmy to – matrymonialnej, a fakt, że był bardzo przystojnym mężczyzną i „rosyjskim arystokratą" dokonały reszty.

Jego pierwszą żoną była Dorothy Pierson, bardzo młoda, pochodząca z zamożnej rodziny Amerykanka z Palm Beach na Florydzie. Na Boże Narodzenie 1943 roku urodziła mu ona córeczkę, Aleksandrę. Ale już wówczas ujawniła się inna strona charakteru von Mohrenschildta – gwałtowność. Po siedmiu miesiącach od urodzenia dziecka, Dorothy odeszła od niego. Jej rodzice byli przekonani, że ich zięć sympatyzuje z Niemcami.

Pod koniec wojny, von Mohrenschildt wstąpił na uniwersytet teksaski, gdzie w ciągu roku uzyskał stopień inżyniera naftowego. Mieszkał tam w jednym pokoju z Tito Harperem, synem bogatego ranczera z Teksasu. Losy Harpera były przedziwne; wskazywały one także na wpływ, jaki von Mohrenschildt wywierał na ludzi. Początkowo Harper był młodzieńcem dobrze ułożonym, solidnym, wierzącym. Pod wpływem von Mohrenschildta zaczął pić i – jak to się mówi – prowadzić życie rozwiązłe. Wreszcie, ku zdumieniu i oburzeniu rodziny zrezygnował z obywatelstwa amerykańskiego, osiadł w Meksyku i oddał się narkomanii. Ostatecznie popełnił samobójstwo.

Po uzyskaniu stopnia inżyniera naftowego, von Mohrenschildt pracował na Kubie i w Wenezueli. Po czym otrzymał stanowisko koordynatora działań różnych kompanii na wielkim polu naftowym Rangely w stanie Colorado. Tu ożenił się po raz drugi, z Phillis Washington, córką amerykańskiego dyplomaty, ale i tym razem wkrótce nastąpił rozwód. Powód – gwałtowność von Mohrenschildta.

A raczej De Mohrenschildta. Uznał on bowiem, że „von" brzmi niezręcznie, niedobrze, podejrzanie. Gdy więc naturalizował się jako obywatel amerykański, zmienił „von" na „De". Odtąd był już nie Jerzym Sergiuszem von Mohrenschildt, ale Georgem De Mohrenschildt.

W 1950 roku De Mohrenschildt miał 40 lat i był tak przystojnym mężczyzną, że, jak pisała jedna z autorek amerykańskich, Priscilla Johnson McMillan, „żony właścicieli firm naftowych i w ogóle zamożne kobiety wskakiwały mu same do łóżka". Wśród nich jedna została na sześć lat. Nazywała się Wynn Sharples – mówiono do niej „Didi" – i była bogatą lekarką z kwakierskiej rodziny z Filadelfii. Von Mohrenschildt ożenił się z nią w 1950 roku. Mieli dwoje dzieci, ale zmarły one wkrótce po urodzeniu. Von Mohrenschildt i „Didi" rozwiedli się w 1956 roku.

W czasie tego małżeństwa De Mohrenschildt został wysłany przez rząd amerykański do Jugosławii jako geolog. Było to samo w sobie interesujące. Najwidoczniej zmieniona sytuacja polityczna sprawiła, że zatarły się wspomnienia znajomości z von Maydellem i Matsukatą. Teraz celem wywiadu amerykańskiego były inne kraje.

Ujawniło się to także w czasie pobytu De Mohrenschildta w Jugosławii. Jak na geologa wdzierającego się do wnętrza ziemi przystało, jego zainteresowania były bardzo głębokie.



John Kennedy z żoną

Nie tylko geologiczne, również polityczne. Dwukrotnie zatrzymywała go policja jugosłowiańska, gdy łodzią starał się dotrzeć do rezydencji prezydenta Tito na wyspie Brioni. Za każdym razem ostrzeliwano go. I w tym przypadku twierdził, że kierowały nim ciągotki czysto artystokratyczne, że oddawał się szkicowaniu. Jego pozycja musiała być silna, jeżeli władze jugosłowiańskie zwolniły go.

De Mohrenschildt przebywał w Jugosławii przez osiem miesięcy. Gdy wrócił do Dallas, został poddany procedurze „debriefing" (wydobywanie z danego człowieka maksimum informacji) przez pracownika służby krajowej CIA, J. Waltera Moore'a. Na podstawie zdobytej przez niego wiedzy sporządzono co najmniej 10 raportów dla różnych agend rządowych.

Raporty te były zadowalające. Tak dalece, że w 1958 roku De Mohrenschildt pojechał do Ghany, Togo i Dahomeju, gdzie występował jako... filatelista. W rzeczywistości zbierał informacje dla naftowego koncernu szwedzkiego z siedzibą w Nowym Jorku. Czy koncern ten miał kontakty z CIA, nie wiadomo. Ale było charakterystyczne, że w 1959 roku ten sam koncern wysłał go ponownie do Afryki – w takich samych celach. De Mohrenschildt wrócił do Dallas via Polska. W tymże samym roku ożenił się on z czwartą żoną – Jeanne.

Z domu nazywała się Eugenia Fomenko i była córką dyrektora Chińskiej Kolei Dalekowschodniej, białego Rosjanina z Harbinu. Wraz z pierwszym mężem, Robertem LeGonem (jego prawdziwe nazwisko brzmiało Walentin Bogojawlenski) tworzyła parę taneczną, która odnosiła poważne sukcesy w Tiencinie i w Szanghaju. W 1930 roku oboje przyjechali do Stanów Zjednoczonych i już mieli podpisać kontrakt z dyrekcją znanego wówczas powszechnie lokalu „Rainbow Room", gdy Jeanne poczuła, że

jest w ciąży. Urodziła córkę. Okazało się, że tańczyć nie może. Została więc najpierw modelką, później projektantką mody i zarabiała bardzo dobrze. Natomiast jej mąż popadł w melancholię i został ostatecznie umieszczony w domu dla nerwowo chorych w Kalifornii.

Jeanne pojechała do Dallas, gdzie poznała De Mohrenschildta. Zakochali się w sobie. Mąż, który kilkakrotnie do Dallas przyjeżdżał, początkowo groził przyjacielowi swojej żony rewolwerem, ale i on uległ czarowi De Mohrenschildta. Ostatecznie zgodził się na rozwód pod warunkiem, że De Mohrenschildt... ożeni się z jego żoną. Tak też się i stało.

Było to małżeństwo dobrane. George i Jeanne mieli te same zainteresowania, te same pasje, te same dążenia. Razem pojechali do Meksyku, razem wrócili.

W lecie 1960 roku nastąpiło wydarzenie przedziwne. De Mohrenschildt zniknął na kilka miesięcy. Swym przyjaciołom w Dallas powiedział, że będzie szedł pieszo śledząc Indian Ameryki Środkowej i Południowej, trasą liczącą 1100 mil (17600 km) – od Meksyku do południowego krańca Ameryki Łacińskiej. Jeanne pojechała z nim do Meksyku, nad granicę z USA, skąd ich przyjaciel przewiózł oboje własnym samolotem do środkowej części kraju. Jeanne wróciła do Dallas.

George i Jeanne pojawili się w Gwatemali na początku kwietnia 1961 roku w pobliżu posiadłości bogatego właściciela plantacji kawy, Roberta Alejos, którego brat piastował stanowisko ambasadora tego kraju w Stanach Zjednoczonych. Sam Alejos zaś był najbliższym przyjacielem i doradcą prezydenta Gwatemali, Miguela Ydigorasa Fuetes. W posiadłościach Alejosa szkolili się emigranci kubańscy, którzy w połowie kwietnia, za zgodą i poparciem CIA, mieli dokonać inwazji na Kubę.

Okazało się, że De Mohrenschildt, zamiast iść śladami Indian środkowo- i południowoamerykańskich, przebywał przez cztery miesiące w Gwatemali.

Następnym etapem podróży De Mohrenschildtów były Panama i Haiti. W tym ostatnim kraju spotkali się oni ze starszym panem, ich przyjacielem z Polski, Michaelem Brightmanem. Brightman udzielał instrukcji w czasie podróży – nie wiadomo, czy samemu De Mohrenschildtowi, czy państwu De Mohrenschildt razem.

Po dwóch miesiącach pobytu na Haiti, oboje powrócili do Dallas. Wkrótce potem poznali młodego człowieka i jego żonę i zaopiekowali się nimi. Rozpoczął się nowy rozdział w życiu De Mohrenschildtów. Młody człowiek nazywał się Lee Harvey Oswald.

* * *

Lee Harvey Oswald urodził się 18 października 1939 roku w Nowym Orleanie. Jego matka, Marguerite Oswald, miała już dwóch chłopców: brata Lee Harveya – Roberta i jego brata przyrodniego, syna z wcześniejszego małżeństwa – Johna Pica. Ojciec Lee Harveya, agent ubezpieczeniowy, zmarł na dwa miesiące przed urodzeniem syna.

Rodzina żyła w ciężkich warunkach. Matka musiała oddać Roberta i Johna Pica do sierocińca, po czym, w tym samym sierocińcu umieściła Lee Harveya. Ale na horyzoncie pojawiła się postać Edwina A. Ekdahla, który chciał się ożenić z wdową, i Marguerite, prawdopodobnie pragnąc pokazać mu, że dba o dzieci, zabrała wszystkich trzech chłopców z sierocińca – tuż przed swym małżeństwem – do domu. Zostało ono zawarte w maju 1945 roku w Dallas, dokąd przeniosła się cała rodzina.

Małżeństwo nie było udane. Separacje i powroty powtarzały się, aż wreszcie, w lecie 1948 roku, nastąpił rozwód. Marguerite Oswald pozostała znowu sama.

W sierpniu 1948 roku rodzina przeniosła się do Nowego Jorku. Ale poprzednie trudności pogłębiły się znacznie, gdy okazało się, że Lee Harvey jest chłopcem trudnym, rebelianckim, nieufnym i że ma do matki ciągłe pretensje. Zaczął wagarować: wolał czytać czasopisma i oglądać telewizję, niż się uczyć. Władze szkolne uznały, że „wymknął się spod kontroli matki, jeżeli chodzi o uczęszczanie do szkoły" i kazały go oddać do Domu Młodzieży (praktycznie do domu poprawczego). Przebywał w nim zaledwie od 16 kwietnia do 7 maja 1953 roku. Matka uznała, że dom poprawczy – to w rzeczywistości szkoła przestępstw: rodzice byli rewidowani, gdy chcieli się z dziećmi zobaczyć, bo władze Domu Młodzieży, mając fatalne doświadczenia, obawiały się, że to oni przemycają do zakładu papierosy i narkotyki.

Chłopca wypuszczono, bowiem nie znaleziono w nim żadnego odchylenia od normy, poza tym tylko, że był „napięty i zamknięty w sobie" i że „straszliwie nie lubił mówić o sobie i o swoich uczuciach".

W styczniu 1954 roku matka i Lee Harvey przenieśli się z powrotem do Nowego Orleanu, ale już sami, ponieważ Robert zaciągnął się do Marines (amerykańska piechota morska), a John Pic – do straży przybrzeżnej. W październiku 1956 roku Lee Harvey poszedł śladem swego brata i także rozpoczął służbę w Marines. Został przydzielony do oddziału stacjonującego w Japonii.

Lee Harvey wykazywał te same cechy charakteru w wojsku, które były mu właściwe w szkole. Był niekoleżeński, nie znosił swoich przełożonych i starał się ich ośmieszyć w dyskusjach, zwłaszcza politycznych. Miał kompletne pomieszanie pojęć na temat komunizmu, anarchizmu, trockizmu, choć potrafił dyskutować z dużą swadą i zręcznie używać argumentów zaczerpniętych z różnych książek. To pomieszanie pojęć stało się przyczyną decyzji, która miała wywrzeć decydujący wpływ na jego życie, doprowadzić do jego śmierci i spowodować niebezpieczeństwo ogromnych komplikacji na arenie międzynarodowej.

We wrześniu 1959 roku Oswald został zdemobilizowany i wszedł w skład rezerwy Marines. Za pieniądze, zaoszczędzone z żołdu, kupił bilet do Europy. W Finlandii otrzymał wizę turystyczną na sześć dni, nabył vouchery i 15 października 1959 roku przekroczył granicę fińsko-radziecką. Po kilku dniach pobytu w Moskwie powiedział swojej radzieckiej przewodniczce, że chce zrzec się obywatelstwa amerykańskiego i zamieszkać w Związku Radzieckim.

Władze radzieckie stanęły przed poważnym dylematem. Mówiąc popularnie, nie wiedziały, „co z tym fantem zrobić". Zjawił się oto przed nimi młody Amerykanin, człowiek gwałtowny w działaniu, sfrustrowany pod względem ideologicznym, niedojrzały. Czy pozwolić mu zostać w Związku Radzieckim? Władze ZSRR uznały, że nie. Zawiadomiły go one, że wiza zostaje mu przedłużona o dwa dni, bo już się skończyła, ale że przedłużenie to zostaje mu przyznane tylko w tym celu, by mógł opuścić ZSRR.

Na tę wiadomość Oswald, przebywający w moskiewskim hotelu, 21 października 1959 roku przeciął sobie żyły.

Gdy czyta się jego „Historyczny dziennik", bo tak patetycznie go nazwał, uderza w nim jakaś straszliwa dziecinna afektacja, emfaza. Warto zanalizować odpowiedni akapit tego dziennika, by zorientować się, jakim człowiekiem – w wieku 20 lat – był Oswald. Pisał on:

„Jestem wstrząśnięty! Moje sny! Czekałem 2 lata, żeby mnie przyjęto. Moje najczulsze sny zostały zdruzgotane z powodu jakiegoś drobnego urzędnika. Decyduję się skończyć z tym. Moczę przegub w zimnej wodzie, by uśmierzyć ból. Potem przecinam lewy przegub. Potem zanurzam przegub do wanny z gorącą wodą. Gdzieś grają skrzypce,

gdy patrzę, jak moje życie umyka, myślę: Jak łatwo jest umierać. Słodka śmierci!"

Wydawać by się mogło, że słowa te wyszły spod pióra inteligenta, choć skłonnego do egzaltacji. Ale dopiero rzut oka na ortografię ujawniał, że Oswald to półanalfabeta. Oto błędy:

„fondes" („najczulszy") zamiast „fondest"
„offiald" („urzędnik") zamiast „official"
„rist" („przegub") zamiast „wrist"
„plaug" („zanurzać") zamiast „plunge"
„bathtum" („wanna") zamist „bathtub"
„wacth" („patrzeć", „obserwować") zamiast „watch".

Samobójstwo Oswaldowi nie udało się. Odratowano go, utracił tylko trochę krwi. Władze radzieckie umieściły go w szpitalu, w którym przebywał do 28 października. Były przekonane, że Oswald wyjedzie. Uważały sprawę za zakończoną.

Ale Oswald trwał w swym zamiarze. 31 października udał się do konsulatu USA w Moskwie, gdzie rzucił paszport amerykański na biurko konsula i napisał oświadczenie, że zrzeka się obywatelstwa amerykańskiego.

Władze radzieckie nie miały wyjścia. Wydały mu dokument bezpaństwowca; obywatelstwa radzieckiego nie otrzymał, choć się tego domagał i wysłały go do Mińska, do pracy w fabryce radiowej i telewizyjnej. Tam, po 18 miesiącach pobytu, Oswald zwrócił się do ambasady USA w Moskwie z żądaniem oddania mu paszportu i umożliwienia powrotu do USA.

Dlaczego postanowił wrócić? Czy czuł się rozczarowany? Być może. Ważne jest, że uczynił to zanim w jego życie wkroczyła dziewczyna. Ważne jest także, że choć dziewczyna ta miała otworzyć nowy rozdział w jego życiu – z powziętej uprzednio decyzji się nie wycofał.

Oswald poznał Marinę Prusakową w marcu 1961 roku. Spodobała mu się i on jej. 15 kwietnia oświadczył się Marinie i został przyjęty. 1 maja odbył się ich ślub. 17 lutego 1962 roku urodziła im się córeczka, którą nazwali June.

Ambasada USA w Moskwie wyraziła zgodę na wydanie Oswaldowi paszportu tylko w jednym kierunku – do USA, a urząd imigracyjny w Waszyngtonie udzielił zgody na wizę Marinie Oswald jako żonie obywatela amerykańskiego. Władze amerykańskie wyszły z założenia, że Oswald działał pod wpływem impulsu, a ponieważ w Związku Radzieckim nie prowadził działalności skierowanej przeciwko interesom USA, nie stracił obywatelstwa, nawet jeżeli się go formalnie zrzekł (w Stanach Zjednoczonych obywatelstwo wynika z urodzenia na ziemi amerykańskiej). Władze radzieckie udzieliły Oswaldowi zgody na wyjazd, ponieważ nie otrzymał on obywatelstwa radzieckiego, a prawdopodobnie – można to podejrzewać – również i dlatego, że chciały się go pozbyć. Stąd – i zezwolenie wyjazdu dla Mariny i dziecka.

Oswald i Marina wyjechali z ZSRR 1 lipca 1962 roku – koleją przez Warszawę i Berlin do Amsterdamu – za pieniądze, pożyczone im przez ambasadę USA w Moskwie. Po przyjeździe do Rotterdamu odpłynęli do Stanów Zjednoczonych na pokładzie statku holenderskiego „Maasdam" (późniejszy „Stefan Batory"). Do Nowego Jorku przybyli 13 czerwca i niemal natychmiast przenieśli się do Forth Worh w Teksasie, gdzie zamieszkali u brata Oswalda, Roberta.

We wrześniu 1962 roku George De Mohrenschildt poznał Oswalda i Marinę.

Jak to się stało?

Poznanie ich owiane jest tajemnicą. De Mohrenschildt przedstawiał swoim przyjaciołom dwie wersje. Pierwsza brzmiała, że inauguracyjne spotkanie między nim a Oswaldem nastąpiło w obecności pułkownika Lawrence'a Orłowa, działacza białej rosyjskiej emigracji, którego Oswald miał poznać dzięki Marinie. Orłow kategorycznie temu zaprzeczył. Oświadczył on, że gdy po raz pierwszy jechał z De Mohrenschildtem i z Oswaldem do domu tego ostatniego, De Mohrenschildt i Oswald już się dobrze znali.

Druga wersja, którą De Mohrenschildt opowiedział swemu przyjacielowi, nafciarzowi Jimowi Savage, brzmiała, że poznał Oswalda przez Dallasowskie Towarzystwo Pomocy. Ale wówczas towarzystwo takie nie istniało.

Było rzeczą niezmiernie intrygującą i niewytłumaczalną, dlaczego De Mohrenschildt, wyrafinowany inteligent, człowiek obracający się w wysokich sferach Dallas, zapałał nagle tak wielką miłością do Oswalda i jego żony. Miał on przecież rozliczne interesy, między innymi i na Haiti, gdzie pracował dla rządu dyktatora Duvaliera, był człowiekiem zajętym, niekiedy – ze względu na swój urok, wręcz rozrywanym. W jaki sposób wykroił ze swego czasu pełnych siedem miesięcy, żeby organizować Oswaldowi i jego żonie życie?

Pytania takie zadawał sobie również zięć De Mohrenschildta – Gary Taylor, któremu teść podrzucił do mieszkania na jakiś czas Marinę. 7 października 1962 roku odbyło się w tymże mieszkaniu, w obecności Taylora i jego żony (córki De Mohrenschildta, Aleksandry) spotkanie, na którym De Mohrenschildt powiedział, że Oswald pojedzie do Dallas szukać pracy i że on, De Mohrenschildt, znajdzie oddzielne mieszkanie dla Mariny. Wówczas Taylorowi coś zaświtało w głowie. „Zrozumiałem – powiedział – że mój teść utrzymuje Oswalda".

Ale dlaczego miałby De Mohrenschildt starać się dla Mariny o oddzielne mieszkanie? Nic nie wskazywało na to, że miał z nią romans.

A więc?

Gdy 8 października 1962 roku Oswald z polecenia De Mohrenschildta, wyjechał do Dallas, De Mohrenschildt zakazał mu mówić komukolwiek, gdzie będzie mieszkał. Oswald był przez miesiąc w prawdziwym podziemiu. Wprawdzie podał swój adres: Carleton Building House, ale nie pojawił się tam ani razu. Co przez ten miesiąc robił?

Pewne światło na to zagadnienie rzuciły dalsze, poczynione przez Oswalda kroki.

24 czerwca 1963 roku Lee Harvey Oswald zwrócił się do Departamentu Stanu o wydanie mu nowego paszportu, ponieważ, jak już mówiliśmy, jego paszport, wydany w Moskwie, miał charakter jednokierunkowy – tylko do USA. Nowy paszport został mu natychmiast wydany. Dlaczego? Przecież Oswald był „defectorem", tym, który przeszedł na drugą stronę. Czyżby nie wzbudziło to w Departamencie Stanu żadnych wątpliwości? Czyżby Departament Stanu, który prowadził ogromną korespondencję w sprawie Oswalda, nagle o wszystkim zapomniał? A nawet, jeżeli już okazał się tak bardzo liberalny, dlaczego nie zapytał choćby, w jakim celu Oswald żąda paszportu. To przecież zupełnie co innego – paszport jednokierunkowy, a paszport zwykły, pozwalający poruszać się po świecie!

Sprawa druga: z paszportem tym, 25 września 1963 roku Oswald wyjechał do Meksyku i tam starał się o wizę radziecką i kubańską. W jakim celu? Czyżby chciał jeszcze raz, z własnej woli, przekroczyć granicę na wschodzie? I dlaczego wrócił już 28 września, w trzy dni po wyjeździe do Meksyku?

Wyjaśnienie mogło być tylko jedno: De Mohrenschildt zaprzyjaźnił się z Oswaldem nie ze względu na sympatię, jaką poczuł do niego i do Mariny, nie ze względu na zainteresowanie jego pobytem w ZSRR – choć oczywiście mogło go to ciekawić także – ale dlatego, że przez cały czas



Prezydent John F. Kennedy i wiceprezydent Lyndon B. Johnson.

działał z polecenia agenta CIA, J. Waltera Moore'a, który De Mohrenschildta przesłuchiwał, po jego powrocie z Jugosławii.

Można bowiem założyć, że ci którzy chcieli zamordować Kennedy'ego szukali osoby, na którą spadłaby odpowiedzialność za ten czyn, szukali najbardziej prawdopodobnego kozła ofiarnego.

Mieli oni dwa cele na względzie. Nie tylko zamordować Kennedy'ego, ale również skierować podejrzenie na „komunistę", wywołać wrażenie, że jest to „komunistyczny spisek", podważyć zasady współistnienia, wprowadzić świat na tory zimnej wojny o najwyższym napięciu. Kto mógł się do tego lepiej nadawać niż Oswald? Ten, który dobrowolnie „przeszedł na stronę radziecką", który się wyrzekł obywatelstwa amerykańskiego i który – po powrocie – znowu chciał nawiązać kontakty z ZSRR i Kubą!

De Mohrenschildt prowadził Oswalda zręcznie, kierował jego krokami z ogromnym wyczuciem jego natury, jego frustracji, jego nie spełnionych ambicji, jego poczucia, że pogmatwał sobie życie. A Oswald, choć z natury był rebeliantem, pozwalał się w tym przypadku prowadzić za rękę. Wspomniana dziennikarka Priscilla McMillan, która napisała książkę pt. „Marina i Lee", stwierdziła, że wielu ludzi w Dallas uważało, iż „De Mohrenschildt wiedział jakiego rodzaju człowiekiem był Oswald i grał na nim jak na skrzypcach. Mówili oni, że De Mohrenschildt zdawał sobie sprawę z gwałtowności Oswalda i przez niego realizuje swoje własne, oparte na gwałcie fantazje".

De Mohrenschildt i Oswald rozstali się na 7 miesięcy, przed zamordowaniem Kennedy'ego – nie można więc twierdzić, że i w tym przypadku ręką Oswalda kierował De Mohrenschildt. Ale Oswald był już napiętnowany. Chodziło o to, by 22 listopada 1963 roku znajdował się w Dallas.

Kto mógł starać się o to? Zajrzyjmy do książki jednego z członków komisji Warrena, późniejszego prezydenta USA, Geralda R. Forda pt. „Portret mordercy". W książce tej, Ford przedstawił obraz pełnego posiedzenia komisji związanego właśnie z tą sprawą, obraz o wprost dramatycznym przebiegu.

Była środa, 22 stycznia 1964 roku. Od powstania komisji upłynęły dwa miesiące. Gerald Ford i sędzia Warren przygotowywali się do pójścia na inaugurację nowego Muzeum Historii i Technologii w Waszyngtonie. Nagle otrzymali wiadomość, że muszą spotkać się natychmiast z pozostałymi członkami komisji na sesji nadzwyczajnej.

Sesja odbyła się w budynku administracji świadczeń społecznych dla weteranów. Główny radca prawny komisji, J. Lee Rankin przystąpił od razu do sprawy.

Otrzymałem przed chwilą, powiedział, telefon od prokuratora generalnego Teksasu, Waggonera Carra. Carr zawiadomił mnie, że FBI miało w Dallas tajnego agenta i że agentem tym był nie kto inny, jak Lee Harvey Oswald!

Zaskoczenie było zupełne. Wprawdzie już uprzednio ukazywały się tu i ówdzie notatki, spekulacje na temat czy Oswald mógł być związany z jakąś agencją rządu USA – łącznie z pewnym artykułem, o którym będzie za chwilę mowa – ale teraz chodziło o oświadczenie bardzo oficjalne. Co więcej, Carr stwierdził, że otrzymał tę wiadomość od prokuratora okręgowego w Dallas, Henry Wade'a, który sam był swego czasu pracownikiem FBI.

Po długiej i prowadzonej w ponurym nastroju dyskusji, komisja postanowiła wezwać – w najzupełniejszej tajemnicy – Carra, Wade'a i „każdego urzędnika, który wiedział coś o tej sprawie".

Carr i Wade przyjechali do Waszyngtonu, rzeczywiście w całkowitej tajemnicy. Powiedzieli oni, że otrzymali informację, iż Oswald został istotnie zaangażowany przez FBI, że dano mu numer 179, że jego płaca wynosiła 200 dolarów miesięcznie, że jego działalność rozpoczęła się we wrześniu 1962 roku i że w chwili, gdy aresztowano go w kinie „Texas" w Dallas pod zarzutem zastrzelenia policjanta Tippita, znajdował się on wciąż na liście płac FBI.

Po wielu miesiącach badań komisja Warrena uznała, że wszystko to nieprawda. Oparła się ona głównie na oświadczeniach samego FBI. Pozostało jednak pewne „ale".

Pierwsza poważna wiadomość o tym, że Oswald mógł być agentem FBI ukazała się 1 stycznia 1964 roku w teksaskim dzienniku „Houston Post". Jej autorem był renomowany dziennikarz, Lonnie Hudkins.

Zdawałoby się, że pierwszym obowiązkiem komisji powinno być przesłuchanie Hudkinsa. Radca komisji, Rankin, zaproponował to, ale propozycji tej sprzeciwił się sędzia Warren.

Jego rozumowanie było następujące: A co będzie, jeśli Hudkins powoła się na tajemnicę dziennikarską i nie zechce ujawnić źródła swej informacji? Wówczas, rozumował Warren, trzeba będzie zwrócić się do wydawcy „Houston Post" i prosić go, by w interesie narodowym skłonił swojego pracownika do ujawnienia tego źródła.

W argumentacji Warrena istniał co najmniej jeden błąd: skąd było wiadomo a priori, że Hudkins nie ujawni swego źródła? Nie istniał przecież lepszy sposób ustalenia tego, niż zapytanie go.

Druga część argumentacji Warrena była prawidłowa: jeżeli Hudkins odmówi, trzeba będzie zwrócić się do wydawcy by skłonił go do ujawnienia źródła.

Rzecz jednak w tym, że nie przyjęto ani pierwszego, ani drugiego rozwiązania. Po prostu nie zapytano o źródło wiadomości ani dziennikarza, ani wydawcy. Żaden z nich przed komisją nie zeznawał.

W serii tajemniczych wydarzeń nie zabrakło jeszcze jednego.

Pod koniec marca 1977 roku, do domu De Mohrenschildta przyszedł dziennikarz holenderski, który prowadził na własną rękę śledztwo w sprawie zamordowania prezydenta Kennedy'ego. De Mohrenschildt powiedział mu, żeby wrócił po południu, że wówczas ujawni mu tajemnicę konspiracji. „Mojej z Oswaldem" – dodał. Dziennikarz przyszedł.

Ale ani w tej, ani w żadnej innej sprawie informacji nie uzyskał.

Bo De Mohrenschildt już nie żył.

Popełnił samobójstwo.

* * *

Kto zamordował Kennedy'ego?

* * *

Puerto Cabezas jest miejscowością w Nikaragui. Ale wówczas, w kwietniu 1961 roku, nikt z Kubańczyków, którzy się tam znajdowali nie nazywał jej tak, mimo że przecież hiszpański był ich językiem ojczystym. O Puerto Cabezas mówili wszyscy: „Happy Valley" – „Szczęśliwa Dolina". Stąd rozpocząć się miała lotnicza inwazja na Kubę i emigranci kubańscy, którzy brali w niej udział, w słowach tych widzieli zapowiedź sukcesu.

W poniedziałek 17 kwietnia, o godzinie 1,15 sześć bombowców B-26 produkcji amerykańskiej czekało na lotnisku w „Szczęśliwej Dolinie" na sygnał do startu. Wszystkie one miały namalowane czarną farbą numery oraz skróty „FAR" – „Fuerza Aerea Revolucionaria" („Rewolucyjne Siły Lotnicze"), była to oficjalna nazwa lotnictwa wojskowego Fidela Castro, które także używało bombowców B-26.

Cele na Kubie, które samoloty te miały zbombardować były następujące: Camaguey, Cionfuegos, San Antonio de los Banos, Campo Liberted i Managua. Ta ostatnia nazwa oznaczała oczywiście nie stolicę Nikaragui, ale bazę armii kubańskiej, w której samoloty wywiadowcze U-2 odkryły niedawno ponad 40 ciężkich czołgów. Sześć bombowców B-26 miało stanowić drugą falę ataku na Kubę, którego celem było zniszczenie samolotów Fidela Castro na ziemi i innego sprzętu.

Samoloty miały wylecieć ze „Szczęśliwej Doliny" o godzinie 1,40. Lot obliczony był na nieco ponad 2 godziny. Samoloty przybywały więc na miejsce o świcie. Miały one tyle benzyny, że mogły lecieć tam i z powrotem i przez dwie godziny bombardować cele. Wszystko wydawało się „o'key", wszystko było zapięte na ostatni guzik.

O 1,40 sygnał nie nadszedł.

O godzinie 1,55 sygnał nadszedł, ale inny.

Bombardowanie zostaje odwołane. Samoloty mają lecieć nad plażę Girón, by zapewnić ochronę powietrzną lądującym tam Kubańczykom.

W ten sposób, losy inwazji zostały przesądzone. Jeżeli bowiem lotnictwo Fidela Castro nie zostałoby zniszczone, miałby on wszelką możliwość rozbicia swoimi myśliwcami oddziałów lądujących na plaży i bombowców B-26. B-26 nie mogłyby się bronić: miały one wymontowane działka przeciwlotnicze po to, by samoloty mogły wziąć więcej paliwa.

Dlaczego pierwotnie wydany rozkaz został zmieniony?

W pierwszej fali ataku lotniczego na Kubę, pilot jednego z bombowców B-26, Mario Zuniga, miał lecieć do Miami, tam wylądować i powiedzieć, że jest on jednym z trzech zbuntowanych przeciwko Castro pilotów. Jego samolot B-26 został odpowiednio do tego zadania przygotowany: miał poprzestrzelane skrzydła na dowód, że – po ucieczce – bombardował on obiekty na Kubie i sam został uszkodzony przez artylerię przeciwlotniczą Fidela Castro.

Plan ten został wykonany. Zuniga wylądował w Miami. Powiedział, co miał powiedzieć. I tu zaczęły się trudności.

Przebywający w Nowym Jorku José Miró Cardona, przewodniczący „Kubańskiej Rady Rewolucyjnej", ugrupowania antycastrowskiego, które firmowało inwazję, nie wytrzymał i natychmiast po wylądowaniu Zunigi wydał komunikat, w którym ogłosił o buncie pilotów. Miró Cardona stwierdził również, że jego organizacja „znajdowała się od dawna w kontakcie z tymi dzielnymi pilotami i że zachęcała ich do tego kroku". Powstało natychmiast pytanie, które podniosła prasa amerykańska: skąd „Kubańska Rada Rewolucyjna" wiedziała o buncie Zunigi tak szybko, jeżeli on sam powiedział, że piloci działali pospiesznie, obawiając się zdrady pewnego członka ich grupy.

Ponadto, sam fakt znajdowania się „Rady" w kontakcie z pilotami, którzy mieli się zbuntować, był – formalnie rzecz biorąc – pogwałceniem amerykańskiego ustawodawstwa o neutralności.

CIA w Miami popełniła błąd. Zezwoliła dziennikarzom na sfotografowanie samolotu i pilota, ale nie ujawniła jego nazwiska. Twierdziła, że nie chce narażać na represje ze strony Fidela Castro jego rodziny, znajdującej się na Kubie. Była to poważna niezręczność. Na samolocie bowiem namalowany był numer 933, który agencje natychmiast podały. Dowiedziały się o tym – także natychmiast – władze kubańskie. A jeżeli władze kubańskie znały numer samolotu, którego pilot się zbuntował, znały również jego nazwisko. Nie było więc powodu, dla którego władze amerykańskie miałyby tego nazwiska nie ujawniać. (CIA nie chciała tego uczynić, bo gdyby podała nazwisko Zunigi, byłoby jasne, że on od dłuższego czasu w lotnictwie Fidela Castro nie służył). CIA miała nadzieję, że po pierwszej fali ataku nastąpi druga, że inwazja się uda i że w atmosferze ogólnego entuzjazmu nikt nie będzie pytał, skąd naprawdę startowali zbuntowani piloci kubańscy.

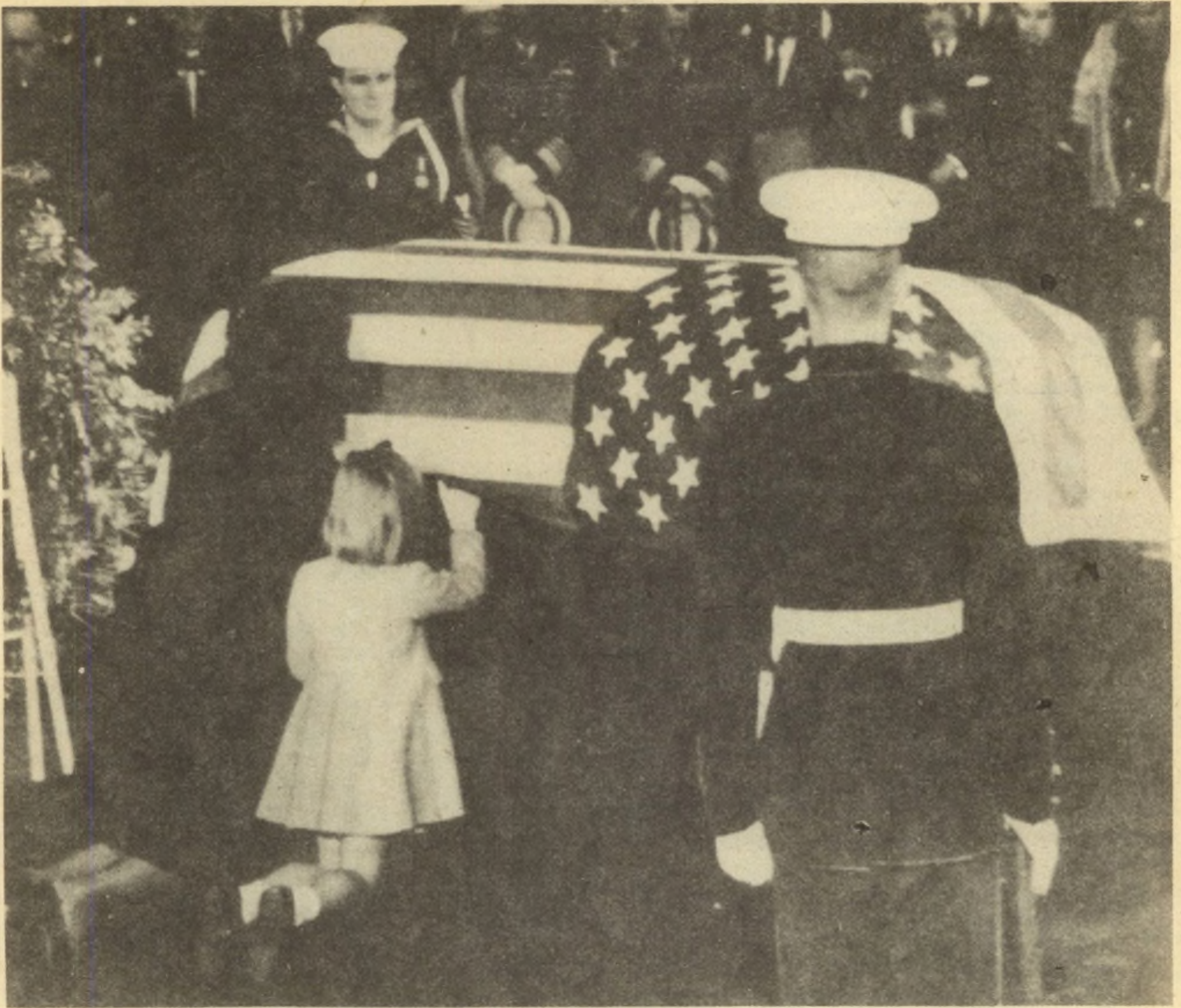
Zuniga powiedział, że zbuntowało się trzech pilotów. On sam wylądował w Miami. Drugi pilot, ze względu na uszkodzenie, nie zdążył wrócić do „Szczęśliwej Doliny" i wylądować na lotnisku w bazie amerykańskiej marynarki wojennej Boca Chica w Kay West na Florydzie. Przypadkowo złożyło się tak, że ponieważ tego dnia wypadała niedziela, miały się tam odbyć pokazy lotnicze oraz „Dzień Olimpijski" dla młodzieży szkolnej z paradami, piknikami, orkiestrami itd. Władze pospiesznie zamknęły lotnisko i „Dzień Olimpijski" został odwołany bez wyjaśnienia.

Trzeci pilot, także wskutek uszkodzenia samolotu, wylądował na wyspie Grand Cayman. Była to posiadłość brytyjska. Brytyjczycy, nie będąc poinformowani o inwazji na Kubę, nie wiedzieli, co robić i pilota zatrzymali, chwilowo niczego nie ujawniając. Na Florydzie zaczęto więc pytać, co się stało z trzecim pilotem.

Dziennikarze bardziej fachowi i obeznani ze sprawami kubańskimi zauważyli następujący szczegół: samoloty B-26 znajdujące się w lotnictwie Fidela Castro miały „dziób" z pleksiglasu (przezroczysty), a karabiny maszynowe wbudowane w skrzydła. Natomiast samolot Zunigi miał 8 karabinów w „dziobie" metalowym, nieprzezroczystym.

W Hawanie Fidel Castro zwołał korpus dyplomatyczny do budynku MSZ i ogłosił, że ma dowody, iż inwazja została zorganizowana przez Stany Zjednoczone. Dodał, że wysłał instrukcje do delegacji kubańskiej do ONZ, by natychmiast poruszyła tę sprawę na forum organizacji. Delegacja kubańska, oczywiście, uczyniła to.

Innymi słowy, zanim jeszcze inwazja się w pełni rozwi-



nęła, świat wiedział, że nie była ona wynikiem buntu pilotów kubańskich, ale działań, podjętych z terytorium Stanów Zjednoczonych, za ich wiedzą i przy ich pomocy.

Kennedy stanął przed dylematem: czy ma zezwolić na następną falę bombardowań i starać się przekonać opinię światową i rządy, iż zbuntowali się nowi piloci kubańscy? Uznał on, że tego zrobić nie może. Atak odwołał.

Inwazja zakończyła się fiaskiem.

* * *

Kennedy wziął na swe barki całą odpowiedzialność za to nieudane przedsięwzięcie. Również i za jeńców, którzy dostali się do niewoli Castro. Na przełomie marca i kwietnia 1962 roku rozpoczęły się tajne rokowania między szefem państwa kubańskiego a adwokatem amerykańskim, Jamesem B. Donovanem w sprawie wymiany jeńców za lekarstwa i żywność.

Jeżeli można mówić o kimś, że jest człowiekiem do specjalnych poruczeń, to o Donovanie trzeba powiedzieć, że był człowiekiem do poruczeń specjalnych i delikatnych. Dzięki jego staraniom, 10 lutego 1962 roku, na moście Glienicke, łączącym zachodni Berlin z terytorium NRD, dokonana została wymiana dwóch ludzi. Na zachód przeszedł pilot amerykańskiego samolotu wywiadowczego U-2, Francis Gary Powers, który został strącony nad ZSRR 1 maja 1960 roku. Na wschód przeszedł Rudolf Abel, którego władze amerykańskie aresztowały w czerwcu 1957 roku na terenie USA.

Również i w przypadku wymiany jeńców z inwazji CIA na Kubę – za lekarstwa i żywność, Donovan okazał się doskonałym negocjatorem. Jeńcy wrócili do USA na Boże Narodzenie w 1962 roku. W cztery dni później, 29 grudnia, Kennedy pojechał do Miami, gdzie wręczono mu flagę brygady inwazyjnej. Powiedział on wówczas: „Mogę was zapewnić, że jest najgłębszym życzeniem naszego narodu, jak też i narodów całej półkuli, by Kuba pewnego dnia stała się znowu wolna, a kiedy to nastąpi, wasza brygada zasłuży na to, by iść w pierwszym szeregu kolumny wolności".

Jeńcy więc i wszyscy nastawieni wrogo wobec Fidela Castro Kubańczycy mogli po tych słowach liczyć na dalsze wsparcie Kennedy'ego, w ich działaniach zmierzających do obalenia Castro. Tymczasem Kennedy był realistą. Po „kryzysie wokół pocisków" (o tym za chwilę), zaczął on szukać „modus vivendi" (sposobu współżycia) z Kubą.

Pośrednikiem między Kennedym a Castro był dziennikarz francuski, Jean Daniel. Kennedy przyjął go 24 października, a Castro – 19 listopada 1963 roku, a więc na cztery dni przed zamordowaniem prezydenta.

Kennedy, w rozmowie z Danielem, krytykował wprawdzie Fidela Castro, ale równocześnie wiele ostrych słów

powiedział o dyktatorze Fulgencio Batiście, którego Castro obalił. „Nie ma na świecie kraju – powiedział – w którym kolonizacja ekonomiczna, upokorzenie i wyzysk byłyby większe niż na Kubie w czasie rządów Batisty – i to częściowo w wyniku polityki naszego państwa. Powiem więcej: w pewnym stopniu Batista był uosobieniem grzechów popełnionych przez Stany Zjednoczone".

Daniel przekazał te słowa Fidelowi Castro. Castro odpowiedział: „Być może, że pewnego dnia zjawi się człowiek, zdolny zrozumieć wybuchową rzeczywistość Ameryki Łacińskiej. Kennedy mógłby być, wciąż jeszcze, takim człowiekiem. On ma w dalszym ciągu możliwość stania się w oczach historii największym prezydentem Stanów Zjednoczonych, przywódcą, który nareszcie zrozumie, że może panować współistnienie między kapitalizmem a światem socjalistycznym. Wówczas byłby on większym prezydentem niż Lincoln. Osobiście uważam, że jest on odpowiedzialny za wszystko, ale powiem jedno: w ciągu ostatnich kilku miesięcy zrozumiał wiele rzeczy, a w ostatecznym rachunku, każdy inny byłby gorszy... Może mu pan powiedzieć, że jestem gotów ogłosić Goldwatera swoim przyjacielem, jeżeli zagwarantuje to ponowny wybór Kennedy'ego".

Gdy 22 listopada 1963 roku nadeszła wiadomość o zamordowaniu prezydenta, Castro znajdował się w towarzystwie dziennikarza francuskiego. Powiedział on ze smutkiem i przygnębieniem: „Es una mala noticia" („To zła wiadomość").

Zmiana frontu ze strony Kennedy'ego wobec Fidela Castro wywołała nienawiść ze strony najbardziej skrajnych antycastrowskich elementów kubańskich. Ale Kennedy naraził się nie tylko im. Naraził się całej reakcji amerykańskiej.

W październiku 1962 roku wybuchł „kryzys wokół pocisków". U jego podłoża znajdowała się groźba dokonania przez USA nowej inwazji na Kubę. Na prośbę Fidela Castro, ZSRR rozmieścił na Kubie pociski rakietowe, które Stany Zjednoczone uznały za ofensywne. Nie brały one przy tym pod uwagę, że ich własne pociski nuklearne rozmieszczone są np. w Turcji, która bezpośrednio graniczy z ZSRR. Napięcie było ogromne. Obie strony postawiły w stan pogotowia swe nuklearne arsenały. Ale rozsądek zwyciężył – również, a może przede wszystkim, rozsądek obu przywódców – Kennedy'ego i Chruszczowa. ZSRR zgodził się wycofać pociski z Kuby, a USA – zaniechać planów inwazji na ten kraj.

Kompromis ten został uznany przez siły skrajnie reakcyjne w USA za jednostronne zwycięstwo Waszyngtonu. Prawica pragnęła, by Kennedy wywierał nieustanny nacisk na Związek Radziecki.

Nadszedł dzień 10 czerwca 1963 roku. Prezydent miał wygłosić ważne przemówienie na Uniwersytecie Amerykańskim w Waszyngtonie. Reakcja oczekiwała, że będzie to przemówienie zimnowojenne, ostre i bezkompromisowe. Tymczasem Kennedy mówił zupełnie inaczej.

„Gdyby dziś – stwierdził – miała wybuchnąć wojna totalna, obojętne w jaki sposób, nasze dwa kraje byłyby głównymi celami. Jest faktem ironicznym, ale prawdziwym, że dwa najsilniejsze kraje świata są też narażone na największe niebezpieczeństwo zniszczenia. Wszystko, co zbudowaliśmy, nad czym pracowaliśmy, uległoby unicestwieniu w ciągu pierwszych 24 godzin. Ale i w zimnej wojnie, która przyniosła tyle ciężarów i niebezpieczeństw wielu krajom, łącznie z najbliższymi naszymi sojusznikami – nasze dwa kraje ponoszą największe ciężary. Krótko mówiąc, zarówno Stany Zjednoczone i ich sojusznicy, jak i Związek Radziecki i jego sojusznicy mają wzajemny głęboki interes w osiągnięciu sprawiedliwego i autentycznego pokoju i w zahamowaniu wyścigu zbrojeń".

Wkrótce później Kennedy poszedł o krok dalej. 5 sierpnia 1963 roku podpisany został w Moskwie układ o częściowym zakazie doświadczeń nuklearnych. Droga do odprężenia została otwarta.

* * *

W chwili, gdy władze w Dallas ogłaszały, że o zamordowanie Kennedy'ego został oskarżony Lee Harvey Oswald, człowiek, który w Moskwie zrzekł się obywatelstwa amerykańskiego, a potem wrócił do USA, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, Lyndon B. Johnson, zdał sobie sprawę, że stoi w obliczu ogromnego niebezpieczeństwa. Jeżeli bowiem przyjąłby interpretację najłatwiejszą: że zamordowanie Kennedy'ego było wynikiem „spisku komunistycznego", musiałby przygotować się do wojny z ZSRR. Do tego bowiem zmierzali ci, którzy wybrali Oswalda na kozła ofiarnego.

Johnson w tę pułapkę nie wpadł. Jego sekretarz stanu, Dean Rusk, powiedział 10 czerwca 1964 roku: „Nie mam żadnego dowodu, który wskazywałby na to, że Związek Radziecki jest zainteresowany w usunięciu prezydenta Kennedy'ego, czy też w jakikolwiek sposób byłby zamieszany w usunięcie prezydenta Kennedy'ego... Myślę, że Związek Radziecki, jeżeli patrzeć nań obiektywnie, jest zainteresowany w utrzymaniu poprawnych stosunków między państwami. Jest to szczególnie prawdziwe w odniesieniu do stosunków między wielkimi mocarstwami, w które zaangażowane są główne interesy Związku Radzieckiego."

Były to sformułowania kategoryczne, odnoszące się do stosunków międzypaństwowych. Ale Rusk mówił także o czymś innym, o stosunkach osobistych między dwoma przywódcami.

„Myślę – powiedział – że choć istniały poważne różnice między przewodniczącym Chruszczowem a prezydentem Kennedym, istniały także dowody pewnego wzajemnego szacunku między nimi. Szacunek ten rozwinął się na podstawie doświadczeń, zarówno dobrych jak i złych, przez które przeszli ci dwaj ludzie.

Myślę, że obaj byli świadomi tego, iż każdy przewodniczący Związku Radzieckiego i każdy prezydent Stanów Zjednoczonych ponoszą szczególną odpowiedzialność za ogólny stan pokoju na świecie. Więcej, bez przesady można powiedzieć, że ponoszą oni odpowiedzialność za istnienie północnej półkuli w wieku nuklearnym".

* * *

Kto więc zamordował Kennedy'ego? Moja hipoteza jest następująca: Oswald był, oczywiście, w Dallas tego dnia. Być może, że sam strzelał, choć wątpliwości na ten temat jest mnóstwo. Ale na pewno nie był zamachowcem jedynym i na pewno nie na nim spoczywała główna odpowiedzialność za fizyczne unicestwienie głowy państwa. Uczyniła to konspiracja, w której główną rolę odegrała skrajna reakcja USA, najbardziej zakamuflowane kręgi amerykańskich służb specjalnych i kontrewolucjoniści kubańscy, którzy nie mogli znieść „zdrady" Johna F. Kennedy'ego.

●

Serge Jacquemard
przełożył Wojciech Ludwikowski

Requiem dla króla zbrodni

Odcinek trzeci

Rozdział IX

Piątek, 3 maja 1974

To było zupełnie co innego niż szare i deszczowe niebo Aubervilliers! Tutaj słońce mocno przypiekało.

Ale Christian Azzelain nie obawiał się słońca, które paliło mu skórę, nadając jej piękny kolor. Lubił to. Miał wrażenie, że zdobywa nowe siły. A co do sił, będą mu potrzebne w najbliższych tygodniach, bo interesy nie idą najlepiej. Kumple znikają jeden po drugim, dając się wyłapać niczym gołębie. Tak stało się z Augustem z Marsylii, który tyle przeżył. Zwiał z najgorszego więzienia i uciekł do Brazylii, zabierając ze sobą skarb bandy Bonny-Lafont. Trzydzieści lat później pozwolił się złapać jak dziecko amerykańskim gliniarzom. Wyrzucono go ze Stanów niczym szmacianą lalkę.

A teraz właśnie on, Chrystian, przejął po Starym pałeczkę. Niełatwo było zastępować Augusta, który, nawiasem mówiąc, nie może liczyć na rychły powrót.

A Gusto z Marsylii? Trzydzieści lat. Dla starego Gusta trzydzieści lat to dwa razy tyle, co mu zostało do grobu. Tym bardziej że amerykańskie pudła to nie sanatoria. Rządzą w nich Czarni, a biedny Gusto ma raczej skandynawską cerę.

On, Chrystian, z pewnością nigdy go już nie zobaczy. Tak więc pozostał sam. I to teraz, gdy zewsząd grożą same niebezpieczeństwa. Jeszcze do niedawna Francuzi prowadzili w Rio wspaniałe życie, ale od pewnego czasu policja brazylijska zaczęła się interesować dosłownie wszystkim. A to zezwolenie na pobyt stały, a to źródła dochodów... Tyle kłopotów!

Stąd do ekstradycji tylko krok. A to by było fatalne. Wciąż czekała go sprawa policjanta zastrzelonego w alei Ternes. Parszywa sprawa, która pewnego ranka mogła go zaprowadzić prosto na szafot.

Może by lepiej zmienić klimat?

No tak, ale... jak zostawić ten interes tutaj, w Rio? Cały handel, którym kierował i który mu przynosił taką kupę szmalu. Gdzie znajdzie coś podobnego? A ponadto w Rio mu się podobało.

Piękne metyski, atmosfera wiecznego święta, królująca na ulicach samba i to niebieskie niebo, i ta zatoka, i te plaże. Ot, wymarzone miejsce do życia.

Westchnął, zmęczony, i zanurzył ręce w ciepłej wodzie. Poruszył nimi energicznie i materac, na którym leżał, zaczął płynąć szybciej. Spojrzał w bok i zobaczył, że jego dwaj goryle uczynili podobnie.

Fajni ci chłopcy: Jacques Hirvet i Daniel Lavois, pomyślał, jak on, dawni antyoasowcy z Algierii. Jacquesowi Hirvetowi zawdzięczał życie. Gdyby go nie zaprosił na swoje urodziny, wyleciałby w powietrze wraz z innymi podczas eksplozji w willi El-Biar.

Straszne to były czasy, ale musiał przez to przejść, żeby się opłacić glinom. I jaka spotkała go nagroda!

Niespodziewanie przyszła mu pewna myśl do głowy. Czy obecne kłopoty nie są sprawką tych cholernych Sycylijczyków? Gusto zawsze powtarzał, żeby im nie ufać. Ech, lepiej przyglądać się błękitnemu niebu. Jest takie uspokajające!

Dobrze się czuł na materacu. Upał przenikał jego mięśnie, przywracając im elastyczność.

Plastykowy worek, który Chrystian ściskał kurczowo łydkami, wydzielał pod wpływem gorąca mdły zapach. Nie było jednak rady. Worek był niezbędny. Zawierał mausera 0,9 i dwa zapasowe magazynki.

Nigdy nie wiadomo... Lepiej być uzbrojonym, nawet na materacu, pięćset metrów od brzegu. Ileż ludzi znaleziono nadzianych ołowiem, bo nie zadbali o elementarne środki ostrożności?

Również Jacques Hirvet i Daniel Lavois mieli przy sobie broń, którą podobnie jak on ukryli w plastykowych workach.

Nagle Chrystian Azzelain usłyszał hałas motoru. Podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Płynąca od morza motorówka pruła fale. Na dziobie siedziały trzy blond dziewczyny w bikini. Wiatr rozwiewał ich długie włosy.

Azzelain ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, uniósł rękę i pomachał nią.

Motorówka zatoczyła łuk i płynęła teraz wprost na niego.

– Hej, chłopcy – krzyknął do Jacquesa Hirveta i Daniela Lavoisa – widzieliście te fajne cizie?

– Może chcą nas zaprosić na pokład? – cieszył się Jacques.

– E tam! – odpowiedział Daniel. – Na pewno mają swoich facetów na pokładzie.

Motorówka zbliżała się. Dziewczyny były opalone, miały ciemne okulary ochraniające oczy, radosne uśmiechy roz-

jaśniały ich oblicza. W rękach trzymały strzelby z harpunami i wesoło nimi wymachiwały.

– Patrz! Co też one zamierzają łowić w tej zatoce? – wykrzyknął Chrystian Azzelain wybuchając śmiechem. – Barakudy?

Motorówka była już przy nich. Zwolniła. Zawył gwałtownie włączony wsteczny bieg. Strumienie wody opryskały Chrystiana Azzelaina, który ciągle nie przestawał się śmiać. Raptem śmiech zamarł na jego wargach.

Wysoka blondynka, która dotąd wymachiwała mu strzelbą nad głową, celowała teraz prosto w jego pierś. Chciał krzyknąć, ale było już za późno.

Wymierzony weń harpun przebił mu serce. Chrystian zachwiawszy się wpadł do oceanu. Jego dwóch goryli spotkał identyczny los. Ich ciała, płynąc, różowiły wokół wodę.

Dziewczyny odłożyły strzelby, włączyły pierwszy bieg i zawróciwszy, popłynęły na pełne morze.

Sobota, 4 maja 1974

Sobota. Normalnie leżałby jeszcze z Kate w łóżku, ale wobec rozwoju operacji „Gwinea" było to niemożliwe. Teraz gra toczy się w Rio.

Wayne Sandborg podszedł do tablicy na ścianie. Zdjął pomarańczową fiszkę, powrócił do biurka i wypisał na niej nazwisko: Chrystian Azzelain. Wsunął kartkę w odpowiedni otwór tablicy i zaczął krążyć po pokoju. „Francuski łącznik" z Rio zlikwidowany.

Przez lata szło Francuzom w Brazylii dobrze, teraz jednak tracili prowadzenie.

Pałeczkę przejmowali Sycylijczycy.

Stary, marsylczyk, siedzi w więzieniu i wkrótce stanie przed trybunałem w Brooklinie.

Nowy, jego dawny zastępca, umarł właśnie, z sercem przebitym harpunem.

Barto Scalisio zręcznie prowadzi swoje interesy!

Ilu ich było? Policzył: trzydziestu jeden.

Trzydzieści jeden morderstw zdalnie kierowanych przez Barta Scalisia, który zamyślił opanować cały świat.

Można by nawet powiedzieć trzydzieści dwa, gdyby do i tak już długiej listy ofiar Sycylijczyka dodać jeszcze nazwisko Sama Levinsky'ego.

Sam Levinsky był niezależnym dziennikarzem, pracującym dla wielu różnych agencji prasowych. Pojechał na Sycylię, żeby zebrać materiały na temat działalności Barta Scalisia. Pewnego ranka wyszedł z hotelu, wsiadł do taksówki i od tego czasu nikt go nie widział.

Minęło już trzy miesiące.

* * *

Harry Shulz wyszedł z łazienki i zaczął się ubierać.

Wciągnąwszy slipki, przystąpił do umocowania specjalnego pasa. Wykonany z miękkiej skóry, przylegał dokładnie do bioder i zewnętrznej strony ud. Od strony wewnętrznej, na wysokości pachwiny, podtrzymywał go cienki rzemyk.

Następnie Harry Shulz włożył ubranie, którego kieszenie wypełnił szczególnego rodzaju sprzętem, z jakim zawsze podróżował, gdy miał kontrakt.

Ten sprzęt przygotował mu Mike O'Flaherty, genialny majsterkowicz, dostawca gadżetów do zabijania, chętnie używanych przez zawodowych zabójców.

To on skonstruował rozkładany pistolet kalibru 0,9, którego części, poutykane po różnych przyborach toaletowych, znalazły się w neseserze Harry'ego Shulza. Amunicja zaś, przypominająca zwykłe czopki, spoczęła na dnie podróżnej apteczki. Pistolet, superlekki, niewielki, strzelał z przerażającą siłą, znacznie większą niż normalna broń tego samego kalibru. Żeby mieć go czym nabić, wystarczyło zeskrobać z czopków wierzchnią warstwę.

Mike O'Flaherty, mający po wyjściu z więzienia San Quentin siedemdziesiąt lat, osiadł na przedmieściu Minneapolis i bez reszty oddał się ukochanej pasji: konstruowania niezwykłej broni oraz wymyślnych gadżetów służących do zabijania.

Innym jego konikiem, którym się zajął na prośbę Shulza, było opracowanie sposobów przekraczania granic.

Zjawienie się przed celnikiem, na lotnisku któregoś z krajów o reżimie policyjnym, z bagażem wypełnionym bronią nie było raczej wskazane. Chyba że pragnęło się wylądować w zimnym, wilgotnym i nawiedzanym przez szczury kryminale, w dodatku bez zbyt dużej szansy opuszczenia go kiedykolwiek.

Gdy więc jakiś niezbyt rozgarnięty policjant, co w tych krajach zdarza się nader często, wpadnie na pomysł przeszukania pasażera, oto co powinien, zgodnie z wykazem sporządzonym przez Mike'a O'Flaherty'ego, przy nim znaleźć:

Paszport; portfel zawierający bilety wizytowe, fotografie rodzinne, pieniądze, czeki kredytowe, prawo jazdy; grzebień; pióro wieczne; notes z ołówkiem; pilnik do paznokci; cążki do paznokci; chustka; zapalniczka; papierosy; klucze; bilon; pudełko zapałek; okulary; chusteczki odświeżające (kraje tropikalne); guma do żucia; fiolki z tabletkami aspiryny.

W piwnicy swego atelier w Minneapolis Mike O'Flaherty dobrze nałamał sobie głowę, żeby zabłysnąć. Poświęcił na to miesiące, ale udało się.

Guma do żucia nie była żadną gumą, ale bombą plastykową, a jeden z kluczy detonatorem.

Bilety wizytowe po rozpuszczeniu w płynie z napisem „after shave" dawały po sześciu godzinach nitroglicerynę.

Trójczłonowe wieczne pióro było w istocie pistoletem, w którym pierwsza część kryła sprężynę, druga – iglicę, trzecia – ampułkę z cyjankiem. Cyjanek otrzymywało się, zanurzając tabletkę niby to aspiryny w kwasie pruskim, który w opakowaniu kropli do oczu znajdował się w apteczce.

Pistolet, pod działaniem iglicy zwolnionej przez sprężynę, wyrzucał cyjanek w twarz ofiary i zabijał ją w kilka sekund; pudełko zapałek i paczka papierosów były w rzeczywistości bombami. Podobnie zapalniczka i cążki do paznokci. Pilnik służył do otwierania drzwi.

Harry Shulz usiadł w fotelu i przymknąwszy oczy, zamyślił się. Zastanowił się nad tym, co mu powiedział François Chaive.

Krótko mówiąc, Barto Scalisio to niedościgły szef mafii. Jego trzy pływające po Morzu Śródziemnym jachty nigdy nie zawijają do portów. Nikt nie wie, na którym z nich znajduje się Scalisio, jeżeli w ogóle się w którymś z nich znajduje.

Na lądzie dobrze ukryte meliny, liczni wspólnicy. Transport między lądem a morzem odbywa się za pomocą helikopterów i ślizgaczy.

Potężna organizacja na usługi. Obstawa w ciągłym ruchu. Brak zaufania do wszystkich.

Najmniejszej wskazówki, jak go znaleźć. Bez przerwy zmienia miejsce pobytu. Nie jest idiotą. Najlepsza metoda, żeby uniknąć zdrady i strzałów ze strony tych, którzy chcieliby go zabić.

Niemniej jednak musi być w tym systemie jakaś luka. Żaden człowiek nie może wiecznie żyć w ten sposób.

Przede wszystkim trzeba ustalić, jakiego rodzaju człowiekiem jest Barto Scalisio. Gdy się pozna czyjąś osobowość, dostrzega się słabości. A przez słabości można go dosięgnąć.

Ale Harry Shulz na próżno wypytywał Francuza na ten temat. Niczego się nie dowiedział.

François Chaive był sumienny. Wrócił do Nicka De Luki i zadał mu mnóstwo pytań. Niestety, bez większego rezultatu. Barto Scalisio był nieprzenikniony jak Sfinks i nieuchwytny... Nieuchwytny pod każdym względem.

Co o nim wiadomo?

W wieku dwudziestu lat był zarządcą dóbr na Sycylii, co mu umożliwiło ściąganie haraczu za przymusową ochronę terenów rolnych, tam też dał się poznać z licznych zbrodni.

Potem, zamyślając podbić cały świat, porwał się w pierwszym rzędzie na Stany Zjednoczone oraz Europę Zachodnią.

Wniosek: nadzwyczaj ambitny, bardziej dumny niż chciwy, przy tym okrutny i bez skrupułów.

A co ze słabościami? Hazard? Alkohol? Kobiety? Narkotyki? Miłość synowska? Miłość ojcowska? Homoseksualizm?

Harry Shulz odrzucił od razu homoseksualizm i narkotyki. Mało prawdopodobne. Trudno sobie wyobrazić Barta Scalisia jako homoseksualistę lub narkomana. Sprzedawał narkotyki, a więc ich nie używał, jak zresztą wszyscy handlarze tej branży na świecie.

Alkohol do niczego nie prowadził. Jeżeli Sycylijczyk pije, to na pokładzie jachtu albo w którejś ze swych melin.

Hazard? Dość prawdopodobne. Wszyscy ci watażkowie są niepoprawnymi graczami. Tylko trudno się spodziewać, że zobaczy się Scalisia w kasynie. Jeśli gra, to zapewne na pokładzie jednego ze swych jachtów, gdzie organizuje partie przeznaczone wyłącznie dla kompanów. Nie. Nie tędy droga.

Pozostawały kobiety i synowska lub ojcowska miłość. Warto wiedzieć, czy Barto pozostawił na Sycylii rodziców, czy jest żonaty, czy ma dzieci, czy ma jakąś stałą przyjaciółkę, czy raczej zmienia kobiety co noc. Może tu tkwi jego słabość? A może od czasu do czasu odczuwa nostalgię za swym rodzinnym krajem? Może wraca, żeby ucałować ojca, matkę, żonę, dzieci?

Sycylijczycy są bardzo sentymentalni. Zachowali zwyczaje przodków, respekt dla rodziców, miłość do dzieci. Może uda się dosięgnąć Barta Scalisia poprzez tę słabość? W każdym razie warto spróbować i zacząć od tej strony, choćby dlatego, że nie ma żadnego tropu, którego by się można uczepić.

Harry wstał z fotela i krążąc po pokoju zaczął się zastanawiać, skąd może się tego wszystkiego dowiedzieć.

Na koniec doszedł do wniosku, że powinien użyć starego chwytu, który już nieraz mu się udawał.

Podjąwszy decyzję, szybko opuścił mieszkanie i zatrzymał taksówkę.

Kazał się zawieźć na East 193 Street w Bronx, gdzie między stacją metra Kingsbridge i Saint James Park znajdował się stary garaż, otoczony cmentarzyskiem samochodów.

Omijając plamy z oliwy na betonie, wszedł na pierwsze piętro.

Judd Johansson podniósł nos znad grubej książki, do której wpisywał liczby.

– Cześć, Harry. Nie słyszałem, jak wszedłeś. Zawsze wchodzisz po cichu jak kot. Skrzywienie zawodowe, podejrzewam...

– Cześć, Judd.

– Posadź gdzieś swój tyłek, jeżeli znajdziesz jakiś wolny kąt.

Harry Shulz kopnięciem zrzucił z krzesła stos tłustych gałganów i usiadł naprzeciwko Judda Johanssona.

– Myślałem, że jesteś na bakier z rachunkami – zauważył wskazując na grubą księgę.

Judd Johansson zaśmiał się.

– Muszę się zajmować rachunkowością dla tych pieprzonych glin z urzędu skarbowego.

– Fałszujesz oczywiście.

Judd Johansson znów się zaśmiał.

– Ano, owszem.

– Jak interesy?

– Tak sobie. Z czym do mnie przychodzisz?

– Po papiery.

– Jakiego rodzaju?

– Pamiętasz sprawę Ziegelbauma? Potrzebne mi takie, jak wtedy... Data z tego tygodnia oczywiście.

Stary człowiek myślał chwilę.

– Dlaczego nie.

– Dzisiaj?

– Tak bardzo ci się spieszy?

– Owszem. Dziś wieczór?

Judd zawahał się.

– To będzie trochę drożej.

– Bez znaczenia. Bierz.

Wyciągnął z portfela plik banknotów i położył na stole razem z kartką złożoną we czworo.

– Tak dobrze? Wszystkie informacje masz na kartce.

Wskazał palcem papier.

Judd Johansson zgarnął szybko banknoty i przeliczył je starannie. Gdy skończył, zwilżył wargi i spojrzał obłudnie na Shulza.

– Gdybyś mógł dorzucić dziesiątkę...

Harry westchnął, ale spełnił prośbę bez dyskusji.

– Gdzie ci przynieść?

– Nie trzeba, sam przyjdę. O dziewiątej?

– Dobra.

Shulz wstał i wyszedł z garażu. Taksówki na tym odludziu oczywiście nie znalazł i musiał pójść do stacji metra, którego szczerze nienawidził.

Na szczęście była to linia ekspresowa towarzystwa „Independent". Harry dojechał nią do stacji na 161 Ulicy, tej samej, gdzie będąc jeszcze chłopcem, tak często wysiadał, żeby w pobliżu, na Yankee Stadium, oglądać mecze New York Football Giants. Przesiadł się na linię ekspresową ITR, która go dowiozła do skrzyżowania 59 Ulicy z Lexington. Stamtąd wrócił do siebie piechotą.

Z domu zatelefonował do linii lotniczych PANAM i poprosił o rezerwację do Rzymu.

– Pierwsza klasa – dodał.

Następnie przystąpił do przygotowania bagażu. Wybrał ubrania i inne rzeczy, które zamierzał ze sobą zabrać. O siódmej skończył pakowanie i poszedł do węgierskiej restauracji, gdzie zjadł lekki posiłek. O dziewiątej był już w garażu u Judda Johanssona. Stamtąd, zadowolony, wrócił do siebie i natychmiast się położył.

Nazajutrz wieczorem, o godzinie dwudziestej pierwszej, był w Rzymie. Dwa dni później wylądował na lotnisku w Palermo.

Jego wygląd zupełnie się zmienił. Włosy ufarbowane na stalowo, policzki zaokrąglone i różowe, okulary bez oprawy. W prawym uchu miał aparat słuchowy, od którego przewód schował pod kołnierzykiem koszuli. Oczy, zwykle zielone, dzięki specjalnym szkłom kontaktowym wydawały się niebieskie. Górną wargę ocieniały cienkie, siwe wąsy.

Plecy wyraźnie przygarbione, pochylone ramiona. Nosił lekki, ciemny garnitur; czarne, solidne buty świadczyły o zamiłowaniu do wygody i pieszych wędrówek. W ręku miał aktówkę.

Zatrzymał się na chwilę w południowym słońcu, które nagrzewało płytę lotniska, a następnie wolnym krokiem ruszył do budynków portu lotniczego.

Po dopełnieniu formalności celnych i odebraniu bagażu udał się taksówką do skromnego hotelu. Jeszcze tego samego popołudnia złożył wizytę miejscowemu adwokatowi, którego nazwisko znalazł w Rzymie na liście prawników współpracujących z kancelariami prowadzącymi sprawy międzynarodowe. Umówił się z nim wcześniej telefonicznie i został serdecznie przyjęty.

Adwokat zaprosił go, by usiadł w fotelu pokrytym czarną zniszczoną skórą, i zapytał doskonałą angielszczyzną:

– Co mógłbym dla pana uczynić, panie Baxter?

Paszport, który spoczywał w wewnętrznej kieszeni marynarki Harry'ego Shulza, był wystawiony na nazwisko Baxter. I był autentyczny. Należał do amerykańskiego pilota najemnego, który zaangażowany przez lotnictwo izraelskie, zginął pod syryjskim niebem. Paszport cudem ocalał. Znalazł go pewien żołnierz syryjski i odstąpił libańskiemu handlarzowi, a ten z dużym zyskiem odsprzedał go z kolei jednemu z członków Organizacji TRAK, a od niego odkupił go właśnie Harry Shulz.

Niektóre dane w paszporcie, jak zawód, wiek i miejsce urodzenia, zostały zmienione przez wykwalifikowanego chemika. Zdjęcie zastąpiono podobizną postarzonego Harry'ego Shulza. Na stronach do tego przeznaczonych przyłożono fałszywe pieczątki potwierdzające wjazd do Włoch. Wszystkie te poprawki i uzupełnienia wprowadzono w Rzymie podczas tych dwóch dni, które Shulz tam spędził.

– Oto przedmiot mojej wizyty, mecenasie – oświadczył Harry Shulz. – Jak panu mówiłem przez telefon, pracuję w kancelarii Baltimore, Stanley, McPherson senior i junior, i Cohn. Zajmujemy się spadkiem po niejakim Giziano Scalisio. Otóż to. Pozwoli pan?...

Harry Shulz otworzył teczkę i wyciągnął z niej plik papierów. Jeden arkusik wręczył adwokatowi, natomiast inny ująwszy w dłoń głośno przeczytał:

Mój testament.

Ja niżej podpisany Giziano Scalisio, naturalizowany obywatel amerykański, pod nazwiskiem Gizzy Scally, 22 grudnia 1939 roku, lat 66, urodzony na Sycylii, we Włoszech (około roku 1905, bez możliwości sprecyzowania dokładnej daty i miejsca urodzenia), kawaler, emigrant do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w roku 1927 i zamieszkały obecnie 2032 Main Street, Baltimore, Maryland, USA, zapisuję wszystkie moje ruchomości i nieruchomości członkom mej rodziny pozostałej na Sycylii, z którą dość dawno przerwałem wszelkie kontakty, ale której imiona, przynajmniej niektóre, dobrze sobie przypominam, a mianowicie:

Carmelo Scalisio – mój brat
Rosa Scalisio – kuzynka
Bartolomeo Scalisio – bratanek
Maria Scalisio – bratanica.

Majątek, który zapisuję, składa się z: trzech budynków mieszkalnych przy 2032 Main Street, 118 Chesapeake Bay Avenue i 841 Avenue C w Baltimore, Maryland; sklepu spożywczego przy 1948 Main Street w tym samym mieście; restauracji-baru pod tym samym adresem; konta bankowego numer GHJ 897 BN w Frist National Bank, filia w Baltimore, konta bankowego numer LMP 99643 K w Chase Manhattan Bank, filia w Baltimore, portfelu akcji przechowywanych przez ten sam bank.

Zobowiązuję kancelarię adwokatów Stanleya, McPhersona, seniora i juniora, oraz Cohna do odnalezienia, gdy niespodziewanie nastąpi mój zgon, jeszcze żyjących na Sycylii członków mej rodziny, nie tylko tych wymienionych wyżej, ale także wszystkich innych, i do podziału między nimi w równych częściach – po odliczeniu kosztów sądowych, podatków i honorariów – wszystkich moich dóbr obecnych i przyszłych.

Spisane w Baltimore 14 grudnia 1972 roku.
Podpisano Giziano Scalisio, zwany Gizzy Scally.
Za zgodność:
John Stanley, Bernard F. McPherson Sr., Arthur S. Cohn, Bernard F. McPherson Jr.

Harry Shulz wręczył adwokatowi dokument.

– To jest fotokopia testamentu – uściślił.

– Dziękuję.

Adwokat potrząsnął z roztargnieniem dokumentem.

– Jeżeli dobrze rozumiem – powiedział – przybył pan tutaj, żeby odnaleźć członków rodziny Giziano Scalisio?

– Właśnie. Ponieważ nie znam tego kraju, pomyślałem, że pan mógłby się zająć postępowaniem. Moja firma jest oczywiście gotowa hojnie pana wynagrodzić (zaakcentował słowo hojnie) za poniesione koszty oraz wysiłki.

Adwokat się ożywił.

– Dziękuję panu z góry.

– Więc pan się zgadza?

Mecenas Rogazzino, zmarszczywszy brwi, zamyślił się.

– Jedno mnie trochę martwi – powiedział po chwili – to jest nazwisko...

– Nazwisko?

– Scalisio...

– Tak?

– Jest tu dość popularne.

– Będzie więc łatwo odnaleźć wszystkich członków rodziny – logicznie skonstatował Harry Shulz.

– Oczywiście, ale...

– Przewiduje pan trudności?

– Niektórzy członkowie tej rodziny są niebezpieczni.

– Niebezpieczni? Co pan chce przez to powiedzieć?

– Za długo by trzeba tłumaczyć. Widzi pan, Sycylia to stary kraj z tradycjami odziedziczonymi po przodkach, ze szczególną obyczajowością, z pewnym fanatyzmem, ludzie tu są twardzi, krew płynie łatwo...

Harry Shulz pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Chce pan mówić o mafii? Istotnie. W Hollywood zrobiono kilka filmów na ten temat, ale zawsze myślałem, że to czysta fikcja. Czyżbym się pomylił?

– Pomylił się pan.

– Ach tak?

Na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia tak charakterystyczny dla stojącego nogami na ziemi Amerykanina-realisty, który nie lubi, jak mu się opowiada bajki o starych czarownicach.

Adwokat spojrzał na niego zmartwiony.

– Rodzina Scalisio dostarczyła członków do... do tej... tej organizacji krymi... no, chciałem powiedzieć, do tej trochę specjalnej organizacji...

– Rozumiem... – powiedział Shulz obojętnym tonem. Niedbale wziął z rąk adwokata papiery i wsunąwszy je do teczki, wstał. – No, tak, tym gorzej, mecenasie. Przepraszam, że pana fatygowałem – oświadczył zimno.

Obrócił się na pięcie i skierował do drzwi.

– Niech pan zaczeka.

Harry Shulz, nie wypuszczając z dłoni klamki, odwrócił się.

– Słucham?

– Nie tak szybko – zadyszał się mecenas Rogazzino. – Nie powiedziałem, że odmawiam.

– Zdawało mi się, że... Tak zrozumiałem...

– Ależ nie. Proszę, niech pan wróci i usiądzie. Przedyskutujemy, jakie środki przedsięwziąć, żeby odnaleźć członków rodziny pańskiego zmarłego klienta.

Rozdział X

Wtorek, 14 maja 1974

Harry Shulz wpatrywał się w adwokata.

– Co panu się udało odkryć, mecenasie? – zapytał tonem człowieka interesu.

Promienny uśmiech rozjaśnił twarz Rogazzina.

– Sądzę, że będzie pan zadowolony.

– Słucham pana.

– Udało mi się ustalić powiązania rodzinne Giziana Scalisia.

Harry Shulz był niewzruszony. Adwokat rzucił mu spojrzenie spode łba i wziąwszy kartkę leżącą na biurku, obok aparatu telefonicznego, zaczął czytać.

Giziano Giovanni Pietro Scalisio urodził się 25 maja 1909 roku tutaj, w Palermo, z Battista i Renaty Mazzoli, dziś już nieżyjących. Miał dwóch starszych braci. Jeden, ten wymieniony w testamencie, Carmelo, umarł w roku 1954, nie zostawiając ani wdowy, ani dzieci. Drugi, Guliano, spłodził sporo potomstwa. Jednym jest wzmiankowany w testamencie Bartolomeo, który... który mieszka obecnie za granicą, nie wiemy gdzie. Dwoje innych dzieci, bratankowie Giziana Scalisia to Giuliana i Rosella, z mężów Carrona i Sirica. Nie odnalazłem natomiast śladów wymienionych w testamencie Rosy Scalisio i Marii Sattalardo. Moje poszukiwania oczywiście trwają. Wydaje się, że na razie, jako potencjalnych spadkobierców, mamy Bartolomea Scalisio, jego dwie siostry, małżonków i dzieci tych ostatnich, łącznie jedenaście osób.

Harry Shulz wiedział doskonale, że to co powiedział adwokat, jest mieszaniną kłamstwa i prawdy, ponieważ Giziano Scalisio istniał jedynie w wyobraźni Shulza.

Ale na pewno prawdziwa była część dotycząca Bartolomea Scalisia i jego dwóch sióstr. A to Harry'ego interesowało ze wszech miar. Powinien zadać teraz pytania, które przywiodły go na Sycylię.

Żeby do tego przystąpić, przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Powiedział pan przed chwilą, że Bartolomeo Scalisio mieszka za granicą, ale nie wie pan gdzie.

Adwokat wydawał się trochę speszony.

– Tak.

– Żonaty? Ma dzieci? Wydaje mi się, że powinniśmy to wiedzieć.

Adwokat przełknął ślinę.

– Spróbuję się dowiedzieć.

– O to chodzi. Inna sprawa... Czy Bartolomeo Scalisio i jego dwie siostry mają jeszcze jakąś rodzinę ze strony ojca lub matki? Bo tamci także mogą być spadkobiercami.

Mecenas Rogazzino był stanowczy.

– Nie.

– Dobrze. Nie ma kuzynów?

Harry'ego Shulza nie interesowała odpowiedź na to pytanie, ale postanowił grać do końca swoją rolę.

– Są, ale rozproszeni po całej Sycylii, trzeba ich odszukać.

– Dobrze.

– Jeszcze jakieś pytanie?

– Pomyślmy...

Harry Shulz udawał, że myśli.

– Ach, tak... Czy pański Bartolomeo Scalisio utrzymuje stałe stosunki, czy też nie, z innymi członkami rodziny, na przykład z siostrami? Niech pan nie zapomina, że nie można go pominąć. W końcu to on wraz z dwiema siostrami jest najbliższym krewnym zmarłego i wcześniej czy później trzeba go będzie znaleźć, żeby mu wypłacić część spadku.

Adwokat wydawał się straszliwie speszony. Harry świetnie się bawił: mecenas Rogazzino musi się okropnie bać wszystkiego, co dotyczy Barta Scalisia.

– Przyznam, że nie rozważałem tej kwestii – rzekł adwokat z dużą ostrożnością – ale niech pan będzie spokojny, nie omieszkam się tym zająć.

– To doskonale. Kiedy pan może uzyskać odpowiedź?

Adwokat sprawiał wrażenie człowieka głęboko zamyślonego.

– Trzeba będzie dobrego tygodnia.

– To za długo – przeciął sucho Harry Shulz.

– To jest...

– Rozumie pan chyba, że nie mogę spędzić całego życia na czekaniu, aż się ujawnią spadkobiercy Giziana Scalisia!

– Dlaczego nie wróci pan do Baltimore? W tym czasie przeprowadzę poszukiwania i prześlę panu mój raport. – zaproponował adwokat z cieniem nadziei w głosie.

Harry Shulz udawał, że się zastanawia.

– Nie – powiedział w końcu. – Ja też muszę przekazać mój raport i wolałbym, żeby był pełniejszy niż ten, który mógłbym sporządzić na podstawie informacji, jakich mi pan dotychczas dostarczył.

– Nie są zadowalające?

– Są. Ale potrzebne mi też te, o które prosiłem przed chwilą.

– Więc dobrze, w ciągu tygodnia.

– Niech pan skróci ten termin.

– Spróbuję.

– Daję panu trzy dni!

– Trzy dni, ależ...

– Trzy dni, nic więcej.

Jego ton był kategoryczny. Spojrzał na zegarek.

– Mamy wtorek, czternastego maja. Przyjdę w piątek, powiedzmy o czternastej?

– O tej godzinie rozpoczynam sjestę – skarżył się adwokat ze smutną miną.

Harry Shulz wzruszył ramionami. Musi się przyzwyczaić do zwyczajów sycylijskich.

– Więc o siedemnastej.

Mecenas Rogazzino westchnął.

– Zgoda.

Harry Shulz, żeby go pocieszyć, wyciągnął plik banknotów i położył na biurku.

– Wykonał pan znakomitą pracę, mecenasie, niech pan idzie dalej tą samą drogą.

Zobaczywszy pożądliwy błysk w spojrzeniu adwokata, wyszedł, nie zwlekając, z pokoju.

Piątek, 17 maja 1974

Harry Shulz skręcił w ulicę, przy której mieszkał mecenas Rogazzino, i od razu spostrzegł zbiegowisko przed domem adwokata. Wzdłuż chodnika stały samochody policyjne z wyciągniętymi w górę antenami. Shulz przystanął i rozejrzał się dokoła. Po chwili wolnym krokiem ruszył ku domowi.

Podszedł do grupy ludzi, którzy z ożywieniem dyskutowali. Uchwycił okruchy zdań: Ammozzato... astutatu... Lupara* i natychmiast wszystko zrozumiał. Przyglądano mu się. Ktoś powiedział: Rifardu**.

Shluz wycofał się i wrócił do hotelu. Zamknąwszy dokładnie drzwi, wyciągnął swoją apteczkę. Wyjął z niej pudełko z czopkami i pilnikiem do paznokci, zeskrobał warstwę, którą były pokryte naboje.

Gdy skończył, wyjął części pistoletu i naoliwiwszy je, zmontował. Załadował magazynek, wprowadził kulę do lufy i wsunąwszy broń za pas, wyciągnął wieczne pióro, które rozebrał na części. Następnie wrzucił do szklanki tabletki niby-aspiryny i wlał trochę kwasu pruskiego, który znajdował się w buteleczce z etykietą kropli do oczu. Paląc papierosa, odczekał dziesięć minut i przelał otrzymany płyn do trzeciego członu pióra. Resztą mieszanki napełnił trzy inne pojemniczki na cyjanek. Teraz z powrotem zmontował pióro, sprawdzając, czy sprężyna i iglica funkcjonują swobodnie.

Do wewnętrznej kieszeni marynarki wsunął skuwkę pióra, w innych umieścił paczkę papierosów, zapalniczkę, pudełko zapałek, cążki do paznokci – wszystkie te przedmioty były mini-bombami.

O czymś zapomniał.

Z przyborów toaletowych wyciągnął tubę kremu do golenia ze znakiem znanej francuskiej firmy. Wewnątrz był tłumik do pistoletu. Shulz włożył go do kieszeni spodni...

Był gotów.

Jeżeli z taką łatwością sprzątnięto mecenasa Rogazzino tylko dlatego, że zbierał informacje o Barcie Scalisio, to tym bardziej będą chcieli jego dosięgnąć.

Pozostawały dwie walizy. Zabierze tylko jedną, najważniejszą, tę ze schowkami, z zapasowymi paszportami, z różnymi przyborami, trochę bielizny i ubrań.

Drugą, z resztą bielizny i ubrań, pozostawi w hotelu.

Zajął się natychmiast zamykaniem walizy. Kiedy skończył, otworzył okno. Pokój znajdował się od podwórza, przypominającego patio, które z trzech stron było otoczone arkadami, natomiast z czwartej murem z olbrzymich kamieni, w którym była furtka prowadząca do garażu.

Słabiutki wodotrysk udawał, że odświeża powietrze.

Harry Shulz uważnie obserwował okna wychodzące na podwórze – w większości były uchylone, ale nikogo w nich nie było. Na szczęście jego pokój był na pierwszym piętrze.

Harry podszedł do łóżka i ściągnąwszy prześcieradła i kołdrę chwycił materac, który następnie wyrzucił przez okno. Złapał walizkę i wszedłszy na parapet, skoczył na sam środek materaca. Odbił się, omal nie upuścił walizki, odzyskał równowagę i pobiegł do furtki, którą otworzył, prawie się nie zatrzymując i wpadł do garażu. Było już ciemno.

Zauważył promień światła od drzwi, które prowadziły na ulicę. Szybkim krokiem przeszedł przez garaż i uchylił wrota.

Wiedział, że goście hotelowi zostawiają kluczyki u dozorcy, który siedzi w klitce przylegającej do garażu. Harry Shulz był tu dwukrotnie od czasu zameldowania się w hotelu.

Postawił walizę przy wejściu i zbliżył się do stróżówki. Dozorca spał głębokim snem. Harry Shulz wymierzył prawą ręką silny cios w głowę śpiącego. To powinno go na dłuższy czas pozbawić przytomności.

Harry nie lubił zabijać, kiedy nie musiał. Owszem, mordował, ale tylko wtedy, gdy mu płacono. Wychodził bowiem z założenia, że jeśli ktoś płaci za morderstwo, to z poważnych powodów. Rzadko się zdarzało, żeby ofiara zasługiwała na życie. To przeświadczenie zapewniało Harry'emu spokój sumienia. Tym bardziej że nie przypominał sobie, żeby zabił kogoś, kto nie zasługiwał na śmierć.

Zamknął dozorcę w metalowej szafie i poszedł do garażu. Wybrał zwykłego fiata, jakich setki widuje się na ulicach Włoch, zapamiętał numer i wrócił do stróżówki po kluczyki.

Rzucił walizkę na tylne siedzenie fiata, sprawdził poziom płynów i podprowadziwszy samochód do wyjścia, wypchnął go na zewnątrz. Zamknął drzwi i usiadł przy kierownicy.

Przejechał ze sto metrów, gdy zauważył w lusterku, że jedzie za nim jakiś samochód. Uśmiechnął się z aprobatą. Lubił mieć do czynienia z zawodowcami. Amatorzy byli okropnie nudni.

Nie znając zupełnie miasta, zdał się na szczęście. Przejechawszy cztery zielone światła, zobaczył tablicę ze strzałką wskazującą Alcamo. Skręcił, dodał gazu i wkrótce znalazł się za rogatkami.

Fiat ciągnął dobrze. Przed oczami Shulza roztaczała się wieś, pożółkła, wyleniała, spalona od słońca. Mężczyźni siedzieli okrakiem na osiołkach, podczas gdy ubrane na czarno kobiety dreptały z tyłu.

Patrząc w lusterko, nie tracił z oczu jadącego za nim wielkiego mercedesa, w którym siedziało czterech mężczyzn. Mercedes był na pewno silniejszy od fiata i jego pasażerowie gdy tylko zechcą, dogonią go, a nawet wyprzedzą. Wtedy zrobi się niebezpiecznie.

Nagle Harry zobaczył kózkę, która zsunąwszy się ze stromego zbocza, stanęła na środku drogi.

To była szansa!

Gwałtownie hamując, ledwo ominął zwierzątko. Wyskoczył z wozu i uderzył koźle pięścią; gdy się zwaliło, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i wsunął ją między skórę a obróżkę. Uruchomiwszy mechanizm, pośpiesznie wskoczył do fiata i ruszył.

Mike O'Flaherty mówił, że trzeba... zaraz... ile to czasu? Ach, pięć sekund... Shulz spoglądał na drogę i w lusterko. Jakieś sto metrów za sobą zobaczył, jak mercedes zwolniwszy, zjechał na lewą stronę drogi, żeby ominąć kózkę. Siła wybuchu była tak duża, że uniosła samochód z ziemi. Przez chwilę wydawało się, jakby mercedes zawisł w powietrzu. Potem karoseria rozpadła się i cztery zmasakrowane ciała wylądowały w polu.

Harry Shulz był usatysfakcjonowany. Całą uwagę skoncentrował teraz na szosie, ale myślami był przy starym Mike'u O'Flahertym, byłym więźniu, który w swej podziemnej pracowni w Minneapolis wytwarza genialne gadżety szybkiej śmierci, szczególnie skuteczne w nagłej potrzebie.

Wóz ominął długą procesję mężczyzn, kobiet i osiołków zdążających do miasta. Grzbiety zwierząt były obciążone wiklinowymi koszami, z których wystawały zielone ogonki wielkich bakłażanów.

* Ammozzato – zabity, astutatu – zamordowany, w gwarze sycylijskiej. Lupara – strzelba ze spiłowaną lufą, nosi się ukrytą w spodniach. Kiedyś służyła do zabijania wilków, stąd nazwa (przyp. tłum.)

** Rifardu – cudzoziemiec w gwarze sycylijskiej (przyp. tłum).

Nagle droga zwęziła się i po obu jej stronach wyrosły rzędy domów z balkonami pełnymi kwiatów i suszącej się bielizny.

Harry nacisnął hamulec. Oślepiony zmianą światła, prawie nic nie widział. Stopniowo jednak oczy przyzwyczajały się do półmroku i mógł się wolno posuwać między starymi domami. Potem znów ukazało się słońce.

Teraz z prawej strony drogi ciągnęła się wąska plaża, zamknięta z jednej strony portem rybackim, z drugiej zaś szeregiem domów. Od przystani odbijał właśnie załadowany samochodami i pasażerami prom. Przed nim mknął ślizgacz. Opalone ciała leżały na żółtym piasku, wielokolorowe parasole mieszały się z barwnymi kostiumami kąpielowymi.

Harry Shulz objął wzrokiem ten spektakl. Był zdziwiony: przecież to dopiero maj i jeszcze daleko do wakacji, a już tyle ludzi na plaży?

Nagle zauważył zaparkowane przy chodniku wzdłuż plaży autokary. Sztokholm... Thergensson Resabyra...

Szewdzi!... Trzeba być Skandynawem, żeby się kąpać bez względu na porę roku. Woda nie jest wprawdzie lodowata, ale jeszcze dość zimna.

Ostro zahamował. Jego wzrok przyciągały ustawione wzdłuż nabrzeża przyczepy – wszystkie wyposażone w metalową konstrukcję w kształcie półobręczy, przeznaczoną, jak wiedział, dla łodzi motorowych lub ślizgaczy.

Widok tak wyekwipowanych przyczep nasunął mu pewien pomysł. Ogarnął spojrzeniem morze, port rybacki, plażę, przystań, dostrzegł to, czego szukał.

Wcisnął sprzęgło i zawróciwszy, ruszył ku przystani. Zatrzymał wóz, wziął walizę i swobodnym krokiem podszedł do wielkiego kutra motorowego, przycumowanego do nabrzeża.

Przesadził odbojnicę i chwyciwszy się listwy daszka kabiny, rzucił na pokład walizkę. Po chwili również sam się na nim znalazł.

Uważnie rozglądając się dokoła, wyciągnął zza pasa pistolet i nałożył nań wydobyty z kieszeni spodni tłumik.

Teraz Harry skierował się do kabiny. Już miał tam wejść, gdy na pokładzie pojawił się olbrzymi blondyn. Lniane włosy spływały na nagie, opalone ramiona. Wielkie, zdziwione niebieskie jak niebo latem oczy, wpatrywały się w Harry'ego Shulza z zakłopotaniem.

– Ładna dziś pogoda! Może mi pan powiedzieć, w jaki... – Drgnął, dostrzegłszy pistolet wycelowany w swój brzuch. – O co chodzi?

Harry Shulz przypomniał sobie kilka słów po szwedzku.

– Biorę ten kuter. Mówi pan po angielsku?

– Nie. W czym mogę panu pomóc?

Harry Shulz przygryzł wargi. Jego znajomość szwedzkiego była raczej nikła. Tym gorzej, musi sobie poradzić, jak umie.

– Benzyna. Ile litrów?

Skandynaw patrzył na niego ze spokojem. Nie wyglądał na przestraszonego.

– Trzysta litrów – odpowiedział.

Shulz końcem tłumika pchnął go do środka kabiny, nakazując gestem, żeby stanął przy ścianie. Korzystając z odległości, jaka ich dzieliła, rzucił okiem na tablicę pokładową. Doszedł do wniosku, że jeśli Szwed mówi prawdę, trzysta litrów paliwa wystarczy, żeby dopłynąć do wybrzeża tunezyjskiego.

– Sam pan tu jest?

Szwed skinął głową twierdząco.

– Dobra – ciągnął. – Chcę popłynąć do Tunezji. Pan mi będzie towarzyszył. Ile kilometrów i jak długo się płynie?

Szwed, zbity z pantałyku, słuchał z szeroko otwartymi oczami. Następnie wysunąwszy koniec języka, spojrzał na pistolet.

– Niech będzie – powiedział bez entuzjazmu. – Sto pięćdziesiąt kilometrów. Osiem godzin.

– Niech pan pilotuje i wychodzi w morze.

Odsunął się, żeby umożliwić Szwedowi manewrowanie kutrem i nie spuszczając go z oka, poszedł sprawdzić poziom paliwa – benzyny było rzeczywiście trzysta litrów.

Zadowolony, wyciągnął z szafy mapę marynarską i uważnie ją przestudiowawszy, podszedł do Szweda i podsunął mu ją pod oczy. Potem, nie tracąc jeńca z oczu, wrócił na poprzednie miejsce.

Był dostatecznie biegły w nawigacji, aby się zorientować, że tamten bierze odpowiedni kurs.

Gdy znaleźli się na pełnym morzu, Harry się odprężył, ale pistoletu postanowił nie chować. Szwed był atletycznej budowy, wolał więc nie ryzykować.

Mimo wielokrotnie ponawianej przez jeńca próby nawiązania rozmowy, Harry Shulz nie dał się na nią namówić. Ograniczył się do podania Szwedowi jednej z dwóch butelek piwa, które wyjął z małej lodówki; drugą wziął dla siebie.

Musiał się zastanowić. Na razie wszystko szło dobrze. Przynajmniej jeśli idzie o jego ucieczkę z Sycylii. Gdyby nie szczęśliwy pomysł z kutrem, trudno powiedzieć, czy by mu się udało umknąć policji i innym prześladowcom. Na Sycylii całkowicie opanowanej przez mafię, był sam przeciwko ogromnej armii dybiących na jego życie maffiosi. Przemyślawszy wszystko, doszedł do wniosku, że nawet mimo zlikwidowania pierwszej pogoni trudno było liczyć, żeby mógł ujść z wyspy cało i zdrowo.

Szczęśliwie, że trafił na ten kuter i jego pilota. Wyprawa na Sycylię zakończyła się jednak, musiał to przyznać, zupełnym fiaskiem.

No bo i czego dowiedział się za pośrednictwem mecenasa Rogazzina? Że Barto Scalisio ma dwie siostry? To niewiele. Prosił adwokata, żeby się zorientował, czy capo maffioso ma żonę i dzieci, czy utrzymuje z nimi – albo z siostrami – kontakt.

Mecenas Rogazzino musiał trafić na właściwy trop, wystawiając się tym samym pięknie na cel. Świadczy to dobitnie, że w tych stronach pełno jest ludzi oddanych bez reszty Bartowi Scalisio i że niebezpiecznie zadawać pytania na temat capo maffioso.

Należy także wziąć pod uwagę, że adwokat mógł mu nie powiedzieć całej prawdy. Gdyby jednak mecenas pracował na rzecz mafii, dlaczego by go zabito? Dziś oczywiście wszystko to nie ma już i tak wielkiego znaczenia, skoro Shulz, nie ryzykując bardzo poważnych kłopotów, nie może wrócić na Sycylię. Niedobrze tylko, że Barto Scalisio ma się teraz na baczności. Na pewno go ostrzeżono.

Schronił się niewątpliwie w jednej ze swych melin lub na którymś z jachtów. Ciężko byłoby go złapać, a nawet znaleźć.

Shulz pomyślał, że bez wątpienia dobrze zrobił, żądając miliona dolarów na ten obrzydliwy kontrakt. Nie jest to zbyt dużo za dotarcie do tak nieuchwytnego człowieka. Jeżeli dotrze!

Na tę myśl dreszcz przeszedł mu przez krzyż. Nigdy dotąd nie poniósł porażki. Czy niepowodzenie dosięgnie go właśnie teraz, gdy ma zarobić milion dolarów? A reputacja? Jeżeli chybi, będzie skończony. Ludziom jego zawodu nie darowuje się porażki. Wieść o przegranej rozniosłaby się po świecie i – po zwrocie zleceniodawcom miliona dolarów – zostałby bez roboty. A społeczeństwo XX wieku nie

jest jeszcze na tyle cywilizowane, żeby stworzyć biuro pośrednictwa pracy dla bezrobotnych zawodowych morderców.

Szczęście, że od dawna odkładał pieniądze na czarną godzinę. Zawsze może się wycofać i żyć z procentów w jakimś spokojnym kącie. Tyle że... brakowałoby mu tego dreszczyka emocji, który go przenika, gdy ma kontrakt. To jest jak narkotyk. Potrzebuje tego, jak inni kokainy, morfiny, alkoholu czy tytoniu. Kiedyś próbował już to wszystko rzucić, ale na próżno. Umierał z nudów i szybko zaprzągł się znowu w swoje jarzmo. Mimo przygnębienia nawet nie przeszło mu przez myśl, że w wypadku porażki mógłby po prostu zniknąć z milionem dolarów.

Harry Shulz był zawodowym mordercą, a nie złodziejem. Nigdy nie ukradł ani centa i za otrzymane pieniądze zawsze coś dawał.

Miał za sobą jedenastego papierosa i siódmą butelkę piwa, kiedy wreszcie na horyzoncie zamajaczyła niewyraźnie linia tunezyjskiego brzegu.

Kazał Szwedowi kierować się na południowy zachód od La Marsa, której słabe światła pobłyskiwały w ciemności. Od trzech godzin panowała już noc. Shulz, który znowu stał się czujny, uważnie obserwował swego więźnia.

Pół godziny później polecił mu zboczyć i kierować się ku jaśniejącej w świetle księżyca plaży. Kilkaset metrów od brzegu Szwed wyłączył silnik. Kiedy kuter dobił do brzegu, Harry uderzył Skandynawa w kark i wyruszył na poszukiwanie liny. Znalazł ją w jakimś kącie, związał nią jeńca, a następnie, z walizką w ręce, wyskoczył na wilgotny piasek i pobiegł plażą na przełaj.

Minąwszy rozległą przestrzeń porosłą rzadką roślinnością i usianą wielkimi kamieniami, dotarł do drogi. Postawił u podnóża zbocza walizkę i usiadłszy, cierpliwie czekał. Znał dobrze te strony. Wiedział, że droga, przy której się zatrzymał, biegnie wzdłuż brzegu morskiego i wiedzie z Menzel-Dżemil do Tunisu przez Ras-Djabel, La Marsa i La Goulette. Szosa ta nie jest tak uczęszczana jak główna, łącząca bezpośrednio Tunis z Menzel-Dżemil, ale jednak dość ruchliwa.

Czekał dwadzieścia minut. Obawiał się już, że Szwed może się obudzić, gdy zobaczył na zakręcie reflektory ciężarówki.

Stanął pośrodku drogi, trzymając w lewej ręce walizkę, a prawą energicznie machając.

Ciężarówka stanęła, w drzwiach ukazała się ogorzała twarz.

– Tunis? – zapytał Shulz.

Najpierw Harry usłyszał kilka arabskich słów, a dopiero potem odpowiedź po francusku.

– Wsiadaj, jedziemy do Tunisu.

Otworzono drzwiczki i Shulz usiadł obok kierowcy. Po jego prawej ręce znalazł się człowiek, który zwolnił dla niego miejsce. Pozycja nie była wygodna, walizkę musiał trzymać między kolanami, dźwignia skrzyni biegów wlazła mu w piszczele, co powodowało, że pistolet umieszczony za pasem cisnął go okrutnie w brzuch.

– Jedziesz do Tunisu? – zapytał kierowca po francusku, a więc w języku, którym Shulz mówił płynnie, jak zresztą wieloma innymi.

– Uhm.

– My też... Co tu robisz? Zabłądziłeś?

– Tak.

– Turysta?

– Tak.

– Znasz tu kogo?

– Nie.

– Co masz w walizce?

– Ubrania.

– Nic więcej?

– Nic.

Ciężarówka zjeżdżała po pochyłości wzniesienia położonego między wzgórzami, które w blasku księżyca wyglądały wprost niesamowicie.

W pewnym momencie kierowca i mężczyzna siedzący między Harrym a drzwiami wymienili kilka zdań po arabsku. Shulz, nie znając tego języka, nic nie zrozumiał.

Ciężarówka zwolniła raptownie, a siedzący na prawo od Harry'ego człowiek podniósł gwałtownie rękę. Shulz poczuł na gardle ostrze brzytwy.

Nawet nie drgnął, intensywnie myślał.

Wóz zatrzymał się po prawej stronie drogi. Kierowca zaciągnął ręczny hamulec i odwrócił się do Harry'ego Shulza. Wsunął mu rękę pod kurtkę i przeszukał kieszenie.

– Chcecie pieniędzy? – zapytał spokojnym głosem Harry.

– Wszystko chcemy – zarechotał kierowca. – Twoich pieniędzy, walizki i całej reszty...

Kierowca trzymał w dłoni portfel Shulza.

– W portfelu nie ma pieniędzy – jego głos był nadal spokojny. – Jeżeli mi nie zrobicie nic złego, powiem wam, gdzie są.

– Gdzie? – niecierpliwił się kierowca.

– Ukryte w moim wiecznym piórze. Tam...

Podniósł powoli prawą rękę i poczuł, że ostrze brzytwy silniej naciska na jego gardło. Nie zważając na to sięgnął do lewej wewnętrznej kieszeni.

Wyjął delikatnie pióro i pokazał je. Poczuł, że nacisk brzytwy słabnie.

Wtedy rzucił się na kierowcę, starając się równocześnie nie tracić z oczu tego, który trzymał brzytwę. Nacisnął skuwkę pióra i pojemnik z cyjankiem wybuchnął. Człowiek krzyknął przeraźliwie i wypuścił brzytwę.

Szofer obiema rękami chwycił Harry'ego za szyję. Shulz rzuciwszy pióro, wyciągnął zza pasa pistolet i strzelił trzykrotnie spod lewej łopatki. Ciałem umierającego wstrząsnęły śmiertelne drgawki. Pierwszy mężczyzna skonał już wcześniej.

Shulz, odsunąwszy walizkę, otworzył drzwi i wyciągnął na zewnątrz oba ciała. Ukrył je za zboczem, brzytwę rzucił na kupę kamieni, oczyścił pokrwawione siedzenia, schował pióro, postawił obok siebie walizkę i usadowił się za kierownicą.

Uruchomił silnik i ruszył. Po godzinie jazdy był w Tunisie.

Dojechawszy aleją Habiba Burgiby do Casbah zostawił ciężarówkę w wąskiej uliczce, gdzie, jak się spodziewał, szybko powinna znaleźć amatora. Potem, ciągle z walizką w ręce, ruszył piechotą i znalazł się w samym środku grupy krzykliwych muzyków, którzy dawali właśnie koncert. Zatykając nos, żeby nie czuć zapachów rozkładających się owoców, smażonego tłuszczu baraniego, ekskrementów, udał się na ulicę Zarkoun.

Skręcił w Zarkoun i wyminąwszy góry śmieci, zatrzymał się przed jednym z domów. Mieszkał w nim Ahmed Toufi, kontakt Organizacji TRAK na ten kraj. Harry liczył, że Ahmed ugości go i za okrągłą sumkę pomoże wyjechać z Tunezji.

• • •

Rozdział XI

Sobota, 18 maja 1974

List nadszedł poranną pocztą. Patrick Baudouin otworzył kopertę i wyjął dwie kartki wsunięte w folder reklamujący uroki Rio de Janeiro.

Nowy Jork, 16 maja

Kochany!

W Rio zostałam znacznie dłużej, niż planowałam, miałam straszną robotę. Dlatego nie mogłam pisać, ale nie przeszkadzało mi to ciągle o Tobie myśleć.

Wreszcie jestem znowu w N.Y.C. (Już widzę Twój uśmiech spowodowany amerykańską manią nadużywania inicjałów i skrótów. Pamiętasz, jak śmiałeś się ze mnie, kiedy na Los Angeles mówiłam L.A., na Kansas City K.C., a Philly na Philadelfię?)

Co porabiasz? Czy myślisz o mnie? Ilekroć przychodzi mi do głowy, że mógłbyś wymazać z pamięci te wszystkie szczęśliwe chwile, które przeżyliśmy, ogarnia mnie lęk. Ja o Tobie nie zapomniałam. Ze wszystkiego na świecie najbardziej pragnę znaleźć się znowu w Twych ramionach. Tylko... kiedy?

Wiesz, że Cię kocham. Nie zapominaj o tym.

Zastałam moje nowojorskie mieszkanie zupełnie odmienione. Ledwo je poznałam. Podczas mego pobytu w Rio wykonano tak dobrą robotę, że aż się sama zdziwiłam – to tu takie rzadkie. Mieszkanie wymagało remontu. Gdybyś się w nim znalazł, myślałbyś, że jesteś w stajni Augiasza.

Teraz jest tu jasno, czysto i przytulnie. Lubię ten nowy styl, w którym będę żyła, niestety, bardzo rzadko. Obawiam się, że czekają mnie podróże!

Na ścianie, naprzeciwko mego łóżka, zainstalowanego sześć cali nad podłogą (Sześć cali – ile to centymetrów? Praktyczne dla osób, które jak ty ryzykują, że spadną na podłogę w czasie miłosnych figli...) zawiesiłam reprodukcję obrazu fowisty Dufy'ego „Ulica w miasteczku". Przypomina ona stare, cudowne miasteczko francuskie, które mi pokazywałeś podczas naszych wędrówek po Francji. Ja, która tak ciężko zasypiam, kontemplując ten obraz przywołuję na pamięć nasze spacery starymi, wąskimi uliczkami i już nie potrzebuję środków nasennych.

Dzięki tobie nauczyłam się kochać Francję. Ale, na miły Bóg, nie próbujcie naśladować Amerykanów! Zachowajcie w waszym kraju to piękno Starej Europy, które nam się tak podoba.

Dobra, koniec moralizatorstwa. Idę spać, umieram ze zmęczenia. Kocham cię, Brenda.

Patrick Baudouin odłożył list. Na jego twarzy pojawił się wesoły uśmiech – Brenda wróciła do Nowego Jorku! Zrobi jej nie lada niespodziankę: poleci do niej. Dziewczyna nie podejrzewa nic, bo nie wie, że Rosenfeld przyjął jego scenariusze. Dzięki tym scenariuszom Patrick jest w dobrej sytuacji finansowej.

„To jest najgłupszy scenariusz, ale także najgenialniejszy, jaki czytałem" – oświadczył Rosenfeld wręczając mu drugi czek.

Patrick przechylił się przez oparcie fotela i sięgnął po słuchawkę. Numer telefonu Air France na Champs Elysées był już od dawna zanotowany w jego notesie.

– Air France, słucham – usłyszał melodyjny głos.

– Chciałbym zarezerwować miejsce w samolocie Nowy Jork – Paryż, tam i z powrotem.

– Taryfa wycieczkowa?

– Słucham?

– Taryfa wycieczkowa? – powtórzyła urzędniczka.

– Co to jest?

– Opłata z rabatem, jeżeli zostaje pan w Stanach jakiś czas, na przykład...

– Nie, nie. Pierwsza klasa!

Miał pieniądze i nie zamierzał podróżować jak nędzarz.

Poniedziałek, 20 maja 1974

Harry Shulz wysiadł na międzynarodowym lotnisku w Bejrucie z DC 9 linii tunezyjskich. Bez kłopotów przeszedł kontrolę policyjną i celną i wziąwszy taksówkę kazał się zawieźć do Fenicia, hotelu grupy Intercontinental.

Lubił te hotele: przyjmując niezwykle ruchliwą międzynarodową klientelę umożliwiały zachowanie anonimowości.

W Tunisie długo się zastanawiał nad najskuteczniejszym sposobem złapania Barta Scalisia. W końcu zdecydował, że najlepiej będzie skontaktować się z ludźmi, których TRAK ma we wszystkich głównych miastach śródziemnomorskich. Na pierwszy ogień wybrał Bejrut.

Bejrut, najbogatsze miasto tego rejonu, aż się roiło od miliarderów, bankierów, kryminalistów, wszelkiej maści bandytów, oszustów, konfidentów, szpiegów, terrorystów, prostytutek i awanturnic, zawsze gotowych sprzedać jeżeli nie siebie, to kogoś innego. Wystarczyło tylko podać cenę. Harry Shulz miał nadzieję, że w tym zbiorowisku znajdzie kogoś, kto mu sprzeda potrzebną informację.

Pierwszą wizytę złożył już w dniu przyjazdu Aboudowi Staboulie, właścicielowi kantoru wymiany.

Staboulie przyjął go w niewielkim pokoiku w swoim biurze. Był tłusty jak Budda, a brzuch wylewał mu się zwojami nad talią.

W kącie, na stosie książek telefonicznych z lat sześćdziesiątych, stał wentylator, który bezskutecznie walczył z panującym w kantorze zaduchem. Prąd powietrza nie zdołał nawet wysuszyć kropli potu spływających z czoła Libańczyka.

Harry Shulz mimo upału miał ochotę na whisky. Butelka cutty stark stała na zakurzonym stosie książek rachunkowych, otoczona wianuszkiem pięciu szklanek wątpliwej czystości.

– Łyk scotcha, Aboud – zaproponował.

– Przy tym upale? – zaprotestował Libańczyk.

– Scotch jest dobry w każdym klimacie.

– Jeżeli chcesz – ustąpił Libańczyk, wskazując butelkę. – Ja nie piję.

Shulz umywszy pod kranem szklankę, nalał sobie sporą porcję whisky i usiadł naprzeciw Libańczyka.

– Czym mogę ci służyć, Harry?

– Znasz Barta Scalisia?

Agent nawet nie drgnął, ale Shulz zauważył, że na jego czole pojawiły się nowe krople potu.

– Barto Scalisio? – powtórzył Aboud, żeby zyskać na czasie.

Zgadza się.

– I... czego ty od niego chcesz Harry?

– Nawiązać z nim kontakt, to wszystko.

– To wszystko?

– To wszystko.

– Nie chcę być przykry, Harry, ale zdajesz sobie chyba sprawę, że on się obraca w tych sferach co ty.

– Wiem.

– Nie masz przypadkiem jakiegoś kontraktu na niego? – głos Libańczyka był pełen podejrzliwości.

Harry uśmiechnął się dobrodusznie.

– Co też ci chodzi po głowie, Aboud.

– Z wami nigdy nie wiadomo.
– Chciałbym po prostu wiedzieć, gdzie on jest.
– To trudne.
– To także wiem.
– Niebezpieczny typ.
Harry uniósł brew.
– Wysiadasz, Aboud. Obleciał cię strach. Może już jesteś za stary do tego rodzaju roboty? Muszę o tym porozmawiać z naszymi przyjaciółmi. Dobra, zostawmy to i zapomnij, o czym ci mówiłem. – Podniósł się. – Dziękuję za whisky. Następnym razem postaraj się o lód. – Nagle się roześmiał. – Prawda, nie będzie następnego razu.
Wsunął obie ręce do kieszeni kurtki i podszedł do drzwi.
– Ależ, Harry – głos Libańczyka drżał – nie traktuj tego tak serio. Wróć, usiądź. Masz chyba czas, żeby pogadać?
– Pod warunkiem, że się porozumiemy i będziemy gadać bez ogródek. Co ty na to?
– Zgoda – westchnął.
Harry Shulz wrócił i usiadłszy, wypił resztę whisky.
– Przyszła mi pewna myśl – powiedział obojętnym głosem, odstawiając szklankę.
– Tak?
– Barto Scalisio przebywa na którymś z trzech swoich jachtów, które nie zawijając do portów, pływają stale po Morzu Śródziemnym. Jachty te trzeba zaopatrywać w paliwo i żywność. Kto się tym zajmuje? Ponadto Scalisio ma tutaj, w Bejrucie jakąś metę. Trzeba się dowiedzieć, gdzie to jest. Pętá się tu tyle różnych typów, że nie powinno być trudności z ustaleniem tego. Co o tym sądzisz?
Libańczyk z powątpiewaniem pokręcił głową.
– Wiesz Harry, nie lubię stykać się z tymi ludźmi. Typy z mafii to jak dynamit. Z tego, co wiem o tym twoim Barto, wychodzi, że to twardziel nad twardziele. I nie sądzę, żeby byle kto mógł wiedzieć, gdzie ma mafię, jeśli w ogóle ją w Bejrucie ma.
– Załóżmy. A zaopatrywanie jachtów?
– To już prędzej.
– Zajmiesz się tym?
Aboud Staboulie sposępniał.
– To będzie drogo kosztować. Kręcenie się wokół mafii, to jak wyjmowanie kasztanów z ognia. Można sobie nieźle poparzyć palce.
Shulz, zmarszczywszy brwi, spojrzał ostro na Libańczyka.
– Bez przesady. Ile, Aboud?
Libańczyk zawahał się.
– Dobra, na początek, powiedzmy... dziesięć tysięcy dolarów.
– Będziesz je miał! – uciął krótko Harry Shulz.
– Koszt ostateczny – ciągnął Aboud Staboulie – może się jednak okazać wyższy.
– Zobaczy się, jak będziesz miał wyniki – odpowiedział Harry Shulz wstając.

* * *

Gdy wczesnym popołudniem samolot Air France wylądował na nowojorskim lotnisku, świeciło wspaniałe słońce. Patrick Baudouin opuściwszy pokład wsiadł do autokaru, który zawiózł go do budynku kontroli celnej lotniska Kennedy'ego.
Podczas gdy celnik przetrząsał bagaże, Patrickowi przypomniał się incydent, jaki mu opisała Brenda w jednym z listów. Aromatyczne zioła umieszczone w dwóch reklamowych słoiczkach ofiarowanych dziewczynie przez restaurację na Wyspie Świętego Ludwika urzędnik celny wziął za narkotyki.
Celnik zrobił białą kredą krzyżyk na jego bagażach i dał znak, że może odejść.
Patrick machinalnie podniósł wzrok na oszkloną galerię, gdzie stali ciekawscy, którzy przyszli powitać krewnych lub przyjaciół. Mimo iż doskonale wiedział, że Brendy wśród oczekujących być nie może – nie zawiadamiał jej przecież o swoim przylocie – łudził się, że ją tu ujrzy. Przyjrzał się twarzom oczekujących, ale Brendy oczywiście nie zauważył. Westchnął i zwymyślawszy się od idiotów, poszedł do wyjścia.
Przed budynkiem odrzucił ofertę czarnego bagażowego i skręcił do postoju taksówek. Podszedł do pierwszej i otworzył drzwiczki. Kierowca był już przy nim.
– Pan sobie życzy?
– Manhattan.
– To będzie dwadzieścia dolarów na Manhattan, proszę pana.
– Zgoda.
– Niech pan się nie gniewa. Mówię, bo pan jest cudzoziemiec, a cudzoziemcy wyobrażają sobie, że taksówka na Manhattan nic nie kosztuje. Więc z góry uprzedzam. Nie pasuje cena, radzę wziąć autobus do terminalu na róg Park i 42 Ulicy.
– Mnie opłata odpowiada – oświadczył Patrick siadając z tyłu.
– Załaduję pańskie bagaże.
Taksówkarz był typem gaduły. Gdy tylko ruszyli, zaczął rozmowę.
– Pan skąd?
– Z Paryża.
– Fajne miasto! Trzy lata, jak tam byłem z moją starą i dzieciakami. Ale wszędzie człowieka chcą nabić w butelkę. W hotelach, restauracjach, kawiarniach, muzeach.
– Doprawdy?
– Tak, proszę pana. Ale i tak to fajne miasto. Tylko jednego u was nie mogę zrozumieć. Wszystko niszczycie. Niech pan sam powie. Prowadzą pana w jakiś zakątek i mówią: „Tu wznosiło się więzienie Bastylia. Paryżanie je zburzyli". Dalej: „Tu stał pałac Tuileries, paryżanie go spalili". Następnie: „Tu była wieża... już nie wiem jaka, gdzie jedna królowa wysyłała swoich kochanków... paryżanie zniszczyli wieżę". A jeszcze dalej: „Tu była wieża, gdzie króla Ludwika XVI, królową Marię Antoninę i ich dzieci więziono podczas rewolucji. Paryżanie zrównali ją z ziemią". I gdzie indziej tak samo. U nas, w Ameryce, jak mamy jakieś zabytki, to ich starannie strzeżemy. Na przykład dom Franklina D. Roosevelta w Hyde Park. Pan zna?
Patrick Boudouin wybuchnął śmiechem. Przez usta taksówkarza przemawiało prawdziwe dziecię Nowego Jorku. Typy takie nie były mu obce: stykał się z nimi często, gdy pracował dla prywatnej agencji detektywistycznej na Manhattanie.
– Co tam u was, w Paryżu, myślą o aferze Watergate? – ciągnął nie zrażony taksówkarz.
– Nic szczególnego – odpowiedział, rozbawiony, Patrick Baudouin.
– Tutaj tylko o tym się mówi. Rzygać się chce. Co otworzysz telewizor, jakiś kretyn ci opowiada, co o tym myśli.
Patrick Baudouin odwrócił głowę i przyglądał się domom.

* * *

Nick De Luca z wściekłością walił pięścią w biurko.
– Mam tego dosyć! – wykrzyknął. – Trwa to od miesięcy. Przez tego łobuza Scalisia muszę siedzieć zamknięty w tym pudle.

Wierny pomocnik, Joe La Casa, patrzył na niego ze spokojem, nieczuły na te wybuchy.

– Twoja wina, Nick. Dlaczego nie atakujesz?

Nick De Luca uspokoił się. Wystarczyło sekundy, żeby się opanował.

– Nie przejmuj się, Joe – odpowiedział tonem pełnym podtekstów. – To już nie potrwa długo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Nick De Luca oblizał wargi.

– Barto się kończy.

– Kończy się?

– A tak. W Europie też go już mają dość. Jest taki Francois Chaive, Francois Lyończyk, jak go nazywają we Francji. Był u mnie sześć tygodni temu – teraz mogę ci o tym powiedzieć. Pamiętasz go?

– Francois Chaive?

– Tak, z Berlina Zachodniego.

– Rzeczywiście, pamiętam.

– Chce sprzątnąć Barta. A że mnie to urządza, ułożyliśmy się. Jeden typ zażądał za kontrakt tysiąc patyków. Zgoda i podział kosztów. Po pięćset każdy. Gotówka z góry. Pierwszorzędni zabójcy zawsze działają na zasadzie gotówka z góry.

Joe La Casa słuchał uważnie.

– Tysiąc patyków – wykrzyknął. – Kto to taki?

Nicka De Lukę kusiło przez chwilę, żeby wymienić nazwisko Harry'ego Shulza, ale w ostatnim momencie ogarnęły go wątpliwości. Im mniej osób będzie znało zabójcę, tym lepiej.

– Nie wiem – odpowiedział naiwnie.

– Nie wiesz... Postawiłeś pięćset patyków na szkapę. której nie znasz? – dziwił się Joe La Casa.

Tak. To jest odkrycie Francoisa. Powiedział, że to pewny typ.

– I wziąłeś to za dobrą monetę?

– Tak. Mam zaufanie do Francoisa.

– Powiedzmy. Ale Barto to twarda sztuka. A jeżeli typowi Francoisa nie uda się?

– Uda – zapewnił Nick De Luca.

– A jak mu się nie uda? – nalegał Joe.

Nick De Luca wzruszył ramionami.

– Wtedy facet zwróci forsę.

– Nawet jak wam zwróci, to nie rozwiąże się problemu z Bartem.

– Nie – przyznał Nick.

– Chciałbym ci coś powiedzieć, Nick.

– Słucham?

– Pokaż się.

– Mam się pokazać? Oszalałeś?

– Zaczynają się buntować. Nasi ludzie pytają, czy mają jeszcze szefa. Wszystko im już wisi, a to nie jest dobre dla interesów.

– Weź się do nich.

– To na nic. Da to tyle, że przejdą do obozu Barta.

– Aż tak źle?

– Właśnie.

– Są prowodyrzy?

– Nie. Tak w ogóle.

– Niech będą cierpliwi. Jak się pozbędziemy Barta, pójdzie lepiej.

– To nie wystarczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że wtedy może być za późno.

Nick De Luca zamilkł na dłuższą chwilę. Zamyślił się. Wreszcie podniósł gwałtownie głowę.

– Co radzisz, Joe?

– Już ci mówiłem: pokaż się.

– Ale jak?

Joe La Casa wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Mam pomysł – powiedział w końcu.

– No?

– Kiedyś miałeś zwyczaj odwiedzać co dzień rano salon fryzjerski w Park Sheraton Hotel, żeby cię ogolili ze wszystkimi szykanami, gorącymi ręcznikami, masażami twarzy.

– Tak. Najlepszy salon w mieście.

– Przestałeś tam chodzić jak Barto wypłynął.

– Tak.

– Zacznij się tam pokazywać co rano, jakbyś się nikogo nie obawiał.

– Zbyt niebezpieczne, Joe.

– Nie tak bardzo, jak ja się tym zajmę. Pojedziesz z gorylami swoim opancerzonym samochodem. Sam hotel obsadzimy wyborowymi strzelcami.

Nick De Luca wahał się.

– Niedobre są te przyzwyczajenia – zauważył. – To ułatwia sprawę tym, co chcą wyciąć numer.

– Nie musisz przecież chodzić tam co dzień – zauważył Joe logicznie. – Dwa, trzy razy w tygodniu. To podniesie morale chłopców. Zobaczą, że mają szefa i że ten szef nikogo się nie boi.

– Myślisz?

– Z pewnością!

– Dobra – przystał Nick De Luca na propozycję, trochę wbrew sobie. – Zrobię, jak mówisz.

* * *

Taksówka dowiozła Patricka na Christopher Street w West Greenwich.

– Nie wierzę, że pan jest ciotą – zauważył taksówkarz, odliczając banknoty pięciodolarowe, które mu Patrick włożył do ręki.

– Nie rozumiem.

– To dzielnica pedałów. W nocy krążą po chodnikach i podrywają przechodniów. Nich pan patrzy. Tam. Gay Street – ulica pedzia!

Wskazał uliczkę naprzeciwko domu, przy którym zatrzymała się taksówka.

Patrick Baudouin uśmiechnął się i wysiadł. Taksówkarz wystawiał jego bagaże na chodnk, a Patrick podniósł głowę, by popatrzeć na dom, w którym mieszka Brenda.

Był trochę rozczarowany. Spodziewał się czegoś mniej nędznego.

– Gotowe, proszę pana, do widzenia i niech pan uważa na cioty! – zawołał z ironią taksówkarz.

Patrick pozbierał swoje walizy i ruszył do wejścia.

Na schodach siedzieli obdarci chłopcy. Patrzyli na niego spode łba, zerkając równocześnie na bagaże.

Baudouin pchnął drzwi i wszedł na ciemną klatkę schodową. Cuchnęło gotowaną kapustą. Ściany pokrywały sprośne rysunki. Brudny mur, zeskrobana farba, dziury, ślady tłustych paluchów, w kącie ciemne zacieki od psich siusków.

Zaskoczony Patrick postawił walizki na posadzce z terakoty, pełnej brudnych kałuż. Na jednej ze ścian wisiały metalowe skrzynki na listy. Poszedł sprawdzić nazwiska.

Brenda Chapman.

Nazwisko wypisano starannie czarnym tuszem. To była jedyna wizytówka pośród wszystkich tam widniejących.

Brenda Chapman.

Żadnej wskazówki – ani piętra, ani numeru mieszkania. Patrick rozejrzał się dokoła. Nie było windy. Jeśli dobrze pamiętał, budynek ma sześć kondygnacji. Będzie musiał obejść wszystkie mieszkania.

Szukał listy lokatorów, ale nie znalazł. Zobaczył dwie pary drzwi. Podszedł do jednych, nie było żadnej tabliczki. Nacisnął dzwonek, ale nikt się nie odezwał. Wybrał następne i zadzwonił.

Drzwi niemal natychmiast się otworzyły i ukazała się karykatura kobiety. Zatłuszczony szlafrok odsłaniał kosmatą pierś w poszarpanym biustonoszu. Włosy źle uczesanej peruki wisiały wzdłuż wysuszonej szyi. Chuda twarz z wargami ordynarnie uszminkowanymi, nos gruby. Oczy podkreślone niebieskawymi cieniami, głębokie zmarszczki, brwi wyskubane.

– Czego chcesz, mój skarbie?

Patrick przypomniał sobie, co mu mówił taksówkarz.

– Szukam niejakiej Brendy Chapman.

– Z branży?

– Kobieta. Prawdziwa – sprecyzował uprzejmym głosem.- – Lesbijka?

– Nie.

– No to nie znam. Ale to ci nie przeszkadza wejść, mój piesku. Ładny z ciebie chłopiec. Masz czas?

– Spieszę się.

– Masz dziwny akcent. Jak ten piosenkarz zagraniczny. Charles Nassavour czy jakoś tak, wiesz?

– Proszę posłuchać. Szukam Brendy Chapman. Mieszka pan na parterze, musiał ją pan widzieć. Wysoka dziewczyna...

– Dość. Twoja kizia mnie nie obchodzi. W ostateczności, gdyby była lesbijką, może bym ją znał. Odwiedzamy się między pedałami, rozumiesz? No, wchodzisz? To niedrogo, skarbeńku, odpalisz dziesięć kawałków i cię obsłużę. Chyba że chcesz ty mnie, wtedy będzie...

Patrick Baudouin wyciągnął z portfela dziesięć dolarów i podał transwestycie.

– Widzisz, zdecydowałeś się – triumfował tamten – wy inni wszyscy jesteście tacy sami. Najpierw plujecie, a potem zdychacie z pragnienia, żeby spróbować.

– Te dziesięć dolarów daję za to, żeby porozmawiać o Brendzie Chapman. Za nic innego.

Przebieraniec spojrzał na niego z przestrachem.

– Prywatny?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Pokaż papiery.

Patrick podał mu paszport.

– Francuz, co? Tak myślałem. Mówisz jak ten francuski piosenkarz Charles Vassanour czy jakoś tam. Dobra, właź, bo się przeziębię w tym szlafroku, ciągle się rozchyla.

Patrick wszedł do małego mieszkania zawalonego ubraniami, butami oraz wiszącymi na gwoździach perukami.

– Siadaj gołąbeczku.

Transwestyta, zrzuciwszy z krzesła gałgany, wcisnął za podszewkę płaszcza dziesięciodolarowy banknot i zwrócił się do Patricka:

– Dobra co chcesz wiedzieć?

– Brenda Chapman.

Patrick powoli odzyskiwał refleks z czasów, kiedy był prywatnym detektywem w Nowym Jorku.

Tamten westchnął.

– Mówiłem ci, nie znam.

Opisał mu Brendę.

– Nigdy nie widziałem takiej w tym domu – zapewnił szczerze.

– To niemożliwe. Jest skrzynka pocztowa na jej nazwisko.

W odpowiedzi usłyszał szyderczy śmiech.

– To nic nie znaczy.

– Jak to?

– Budynek ma pięć pięter. Dwóch lokatorów na każdym. To jest dziesięciu. A ile jest skrzynek na listy?

– Nie wiem.

– Powiem ci: dwadzieścia pięć.

– No i co?

– No i to, głupcze, że są ludzie, którzy tu nie mieszkają, ale każą sobie przysyłać pocztę.

Patrick Baudouin zmarszczył brwi. To niemożliwe, myślał. Ten pedał musi się mylić. A jeżeli mówi prawdę, nie może ona dotyczyć Brendy. Miałaby podawać ten adres i nie mieszkać tu?

Doskonale pamiętał, że mu długo opowiadała o swoim mieszkaniu przy Christopher Street i o planach urządzenia go na nowo. Zresztą, czy nie pisała w ostatnim liście, że robotnicy skończyli całkowicie remont podczas jej pobytu w Rio de Janeiro?

Transwestyta przerwał te rozmyślania.

Powiedz no, twoje te walizy na schodach?

– Tak.

– Lepiej zrobisz, jak je weźmiesz, bo gówniarze mogą ci je rąbnąć.

Patrick posłuchał rady. Postawił walizy w kącie pokoju i zapytał.

– Jest tu książka telefoniczna?

– Oczywiście. Tam – wskazał niski mebel.

Patrick wziął rejestr ulic i alfabetyczny spis abonamentów. Najpierw poszukał Christopher Street – nazwisko dziewczyny nie figurowało wśród lokatorów domu, zajrzał do listy alfabetycznej, ale i tam nie znalazł, chociaż była cała litania Chapmanów na Manhattanie.

Wyjął portfel i wyciągnął małą karteczkę, na której Brenda przed wyjazdem z Paryża zanotowała swój numer telefonu: AL 5-5411.

– Mogę zatelefonować?

– Pewnie.

Nakręcił numer. Odpowiedział mu automat: wzywany numer nie został jeszcze przydzielony. Proszę sprawdzić w ośrodku informacji.

Zadzwonił do informacji. Odpowiedź była kategoryczna: Brenda Chapman zrezygnowała z abonamentu dwudziestego ósmego lutego. Jej obecny adres to 698 Lexington Avenue.

Zupełnie w innej stronie.

– Odkryłeś, gdzie mieszka twoja Dulcynea? – zapytał transwestyta zachrypłym głosem.

– Może.

– Dobra, to zjeżdżaj.

– Jeszcze jedno czy dwa pytania.

– Pospiesz się. Muszę odpocząć.

– Jak długo tu mieszkasz?

– Cztery, pięć lat.

– Znasz ludzi, którzy pod ten adres kierują swoją korespondencję, ale tu nie mieszkają?

– Nie.

– Nigdy ich nie widziałeś?

– Aniołku, w Nowym Jorku im mniej się człowiek zajmuje cudzymi sprawami, tym lepiej dla niego.

– Kto może mnie poinformować?

– Administrator.

– Gdzie mieszka?

– Drzwi naprzeciwko. Ale nie masz fartu. Poszedł do szpitala. Przepuklina. Niektórzy nie mają, on miał ogromną.

– Kiedy wyjdzie?

– Dzisiaj. Tylko że rodzice zabiorą go ze szpitala na wieś na wypoczynek. Musisz wrócić za tydzień, kotku. Nie

zapomnij tu zajrzeć. Może się znajdzie jeszcze dla mnie jakieś dziesięć dolarów?

Patrick zebrał walizki i opuścił mieszkanie. Poszedł do Avenue of the Americas, którą nowojorscy ciągle nazywają 6 Avenue. Znaleziona tam przez niego taksówka zawiozła go do „Squire Inn", hotelu na rogu 7 Avenue i 52 Ulicy.

Następnie, zostawiwszy w pokoju bagaże, pojechał pod adres, który mu podano w informacji telefonicznej.

Taksówka zatrzymała się przed okazałym budynkiem. Sąsiedztwo było zamożne, pachniało bogactwem, co Patricka zdziwiło. Nie odpowiadało to standardowi Brendy, podobnie jak dom przy West Greenwich. Jedno za nędzne, drugie zbyt luksusowe..

Patrick zapłacił za kurs i wszedł do hallu. Od razu spostrzegł ogromne drzwi z napisem: administrator. Przycisnął dzwonek. Otworzył mu mężczyzna o czerwonej twarzy i siwiejących włosach.

– Słucham?

– Panna Brenda Chapman?

Mężczyzna wydawał się zdziwiony.

– Wyprowadziła się.

– Jest pan pewien?

– Pewien. Jestem administratorem.

– Kiedy?

– Chwileczkę. – Zmarszczył czoło z wysiłku. – Pan pozwoli, że sprawdzę... – Poszedł zajrzeć do spisu. – Koniec lutego – powiedział.

To by się zgadzało z datą likwidacji abonamentu telefonicznego.

– Zostawiła adres, dokąd przesyłać korespondencję?

Odpowiedź była stanowcza.

– Nie. Nawet ją pytałem, ale odpowiedziała, że nie ma potrzeby.

– Nie mówiła, że się przeprowadza do domu przy Greenwich?

– Nie.

– Nie zostawiła też numeru telefonu?

Administrator znów zajrzał do spisu.

– Nie.

Patrick Baudouin pokiwał bezradnie głową i podziękowawszy administratorowi, wyszedł na ulicę.

Co to wszystko znaczy?

cdn



Joanna Wiórkiewicz

Trochę chiromancji

Nie taki diabeł straszny, jak go malują – mówi znane i często będące w użyciu ludowym porzekadło. No właśnie, a jak go malują? Zarówno na starych rycinach, jak i na dziecięcych rysunkach diabeł ma szpiczasty nos, ostre rogi, ogon i parzyste kopyta. Lubieżną gębę z zapadniętymi policzkami wykrzywia dodatkowo nikczemne, trochę zezujące spojrzenie spode łba. Wszystko to razem dowodzi jego wrodzonej, diabelskiej istoty. No i oczywiście – musi być chudy. Diabeł jest zbyt aktywną naturą, aby obrastać tłuszczem.

Fakt, że w ten sposób diabeł portretowany bywał od stuleci, dowodzi istnienia czegoś, co można by nazwać „ludową psychologią". Oczywiście, nie ma wątpliwości, że pewne temperamenty warunkowane są określonymi cechami fizycznymi. Czyżby jednak tajemnice natury ludzkiej możliwe były do natychmiastowego odgadnięcia? Podobno tak. Podobno na naszej stopie znajdują swoje odbicie wszystkie wewnętrzne organy – zdrowe czy chore. Natomiast na naszej dłoni mają być opisane nasze cechy charakteru, talenty, możliwości i ... losy. Linie i bruzdy na ludzkiej dłoni kształtują się ostatecznie w ciągu pierwszych trzech miesięcy życia płodowego. Nie zmieniają się przez całe życie...

Chiromancja jest jednym z najstarszych wierzeń, powstałym z przekonania, że nasza powłoka cielesna jest fizyczną kopią naszego ducha, znakiem widzialnym naszej istoty, by nie rzec – duszy. To że chiromancja od tysięcy lat budzi stałe zainteresowanie, może dowodzić, że muszą być w niej zawarte elementy prawdy. Tylko bowiem prawda jest w stanie tak długo przyciągać ludzką uwagę. Na poparcie tej tezy przytoczyć można zdanie Junga na temat alchemii, sztuki jeszcze starszej od chiromancji – *...kiedy idea jest taka stara i tylu ma wyznawców, musi być prawdą przynajmniej w taki sposób, w jaki pojmują prawdę psychologiczną.*

Chiromancją zajmowali się już starożytni Grecy (czegóż to oni nie robili!), a przed nimi jeszcze Egipcjanie. Tyle tylko, że nazywali ją wówczas palmestrią, bowiem palce wyrastające z dłoni przypominały im pióropusze palmy. Dzisiejsza chiromancja to „sztuka mówienia o przyszłości, charakterze i indywidualnych predyspozycjach psychicznych na podstawie kształtu dłoni". Do takiego rozumowania chiromancji starał się powrócić w ubiegłym wieku Francuz D'Arpentigny. Szczerze mówiąc, nie miał on do czego wracać, była to już bowiem sztuka dosyć zapomniana. D'Arpentigny postanowił jednak odrodzić ją na nowo. Za jego przykładem poszli inni. Idą tak zresztą do dziś, usiłując oczyścić swą sztukę ze wszystkich „nienaukowych" związków i zaszczepić – według wszelkich recept najnowszej mody na naukowość – wiele nowych terminów na miejsce starych. Niestety, ich wysiłki nie uczyniły dotąd z chiromancji dyscypliny naukowej, a o chiromantów nie upominają się jeszcze uniwersytety, chociaż...

Chociaż, zupełnie na marginesie godzi się wspomnieć o pewnej wąskiej dziedzinie genetyki zajmującej się analizą układu linii papilarnych dłoni i stóp, analizą bruzd powstających na zgięciach i tak zwanych trójpromieni (przez chiromantów nazywanych „gwiazdkami") – wszystko to w celu jak najwcześniejszego rozpoznania chorób dziedzicznych lub wrodzonych, linie te bowiem, jak pamiętamy, kształtują się raz i nieodwołalnie w pierwszych trzech miesiącach życia ludzkiego organizmu. Stąd też niektóre choroby kobiet w pierwszych trzech miesiącach ciąży spowodować mogą wady wrodzone ich dzieci. Analizą tak zwanych dermatoglifów zajmują się więc naukowo dermatolodzy, genetycy i anatomopatolodzy. Jest to dziedzina młoda, ale na pewno czerpiąca inspirację z chiromancji.

W tradycyjnym nazewnictwie poszczególnych części dłoni, palce oraz linie papilarne mają swoje starożytne imiona, a że owe imiona były używane konsekwentnie przez wieki dowodzą tego najstarsze zachowane księgi chiromantyczne pochodzące z wczesnego średniowiecza. Sposób, w jaki nazwy bogów greckich i rzymskich nadano palcom oraz strefom dłoni, w żadnym razie nie jest dziełem przypadku. Nazewnictwo to wskazuje dość przekonująco na związki z teoriami astrologicznymi. Widocznie w jakimś czasie ręka musiała być uważana za miniaturę Zodiaku.

Zamieszczone tu ilustracje unaoczniają dwa zasadnicze systemy nazw. Warto je dobrze zapamiętać. Zanim jednak opiszemy każdą linię i strefę dłoni, zapoznajmy się najpierw z ich głównymi znaczeniami.

W najprostszym podziale dłoń składa się z czterech pól. Wyobraźmy sobie linię dzielącą dłoń na pół, pionowo, przez środek, linię przechodzącą wzdłuż przez środkowy palec i dalej, aż do nasady dłoni. W ten sposób jedna połowa dłoni zawiera kciuk, nasadę kciuka, palec wskazujący oraz połowę palca środkowego. Ta właśnie połowa ręki reprezentuje powierzchowność człowieka; tę aktywną część jego istoty, która świadczy o jego życiu zewnętrznym, jego ambicjach, sile woli i zdolnościach dominacji.

Druga połowa dłoni według tego podziału zawiera mały palec, średni oraz połowę środkowego i odpowiednią część dłoni; część reprezentująca tę część człowieka, która jest absolutnym przeciwieństwem jego zewnętrznego życia, a więc chodzi tu o ludzkie wnętrze, świat duchowych przeżyć i emocji.

Następna linia podziału przebiega w poprzek dłoni. Wówczas jedna jej połowa zawiera palce oraz tę część dłoni, z której one „wyrastają". Ta część wskazuje na przyrodzoną aktywność i na indywidualny rodzaj inteligencji.

Druga i zarazem dolna część dłoni określa stopień ludzkiej bierności, zdolności do podporządkowania się warunkom życia oraz te cechy, które – jak na przykład instynkt – posiadamy wspólne z innymi stworzeniami.

Gdybyśmy teraz te dwa zasadnicze systemy podziału – pionowy i poziomy – nałożyli jeden na drugi – wówczas dłoń składałaby się z czterech głównych pól. Pierwszą ćwiartkę tworzyłyby zatem: mały palec, serdeczny, połowa palca środkowego oraz ich nasady. Ta część ręki odnosi się do duchowej aktywności i odrębności natury ludzkiej. Mały palec świadczy o związku z ludźmi bliskimi, czy to ze względu na pokrewieństwo rodzinne, czy związek uczuciowy. Palec serdeczny mówi o więzach dalszego pokrewieństwa, jednakże takich, na które człowiek reaguje emocjonalnie. W chiromancji tradycyjnej mały palec nazywany jest palcem Merkurego, a palec serdeczny nazywany jest palcem Apolla. Palec Merkurego zawiadywał niegdyś sferami stosunków pomiędzy człowiekiem a bogami. Apollo był – jak wiadomo – patronem sztuki; sztuki i kunsztowne rzemiosło są najlepszymi przykładami tego, jak ludzie wyrażają wobec świata siebie i własne emocje. Oba palce – Merkurego i Apolla – związane były z porozumiewaniem: pierwszy – z porozumiewaniem osobistym z bliskimi oraz rozumieniem samego siebie, drugi – Apolla – z komunikowaniem adresowanym do świata w ogóle, świata rejestrowanego poprzez własne ośrodki zmysłów i emocji. Następna górna ćwiartka dłoni, tak zwana część radialna, zawiera palec wskazujący, górną część kciuka oraz radialną część środkowego palca. I tak, konsekwentnie trzymając się naszego uprzedniego podziału, część ta reguluje zewnętrzne, ekstrawertyczne przejawy aktywności i specyfiki ludzkiej natury. Palec wskazujący, na przykład, określa sposób, w jaki dana osoba chciałaby zaprezentować się światu, udowodnić własne ambicje i społeczną postawę. Górna część kciuka pokazuje indywidualną siłę woli i wytrwałość. W tradycyjnej chiromancji palec wskazujący nazywany jest palcem Jupitera, a kciuk związany jest zarówno z Marsem, jak i z Wenus. Typowy palec Jupitera znamionuje ekspansywność, przezorność, zapobiegliwość i cały zespół cech charakterystycznych dla osób o pogodnym usposobieniu, dobrodusznych, akceptujących wszystko to, co otaczający ich świat ma im do zaoferowania. Natomiast tradycyjne związki kciuka z Marsem i Wenus są zbyt skomplikowane, aby dały się w trzech słowach streścić, trzeba jednak mieć na uwadze agresywność Marsa i troskliwą opiekuńczość Wenus.

Palec środkowy, nazywany palcem Saturna, posiada podwójną rolę wynikającą z owego podziału wzdłużnego (choć mówiąc bardziej precyzyjnie, to natura owego palca jest dwoista i stąd taki jego podział). Jego strona „radialna", bliższa palcowi wskazującemu, skierowana zewnętrznie, świadczy o wrażliwości na świat, podczas gdy druga połowa tego palca określa sferę prywatności.

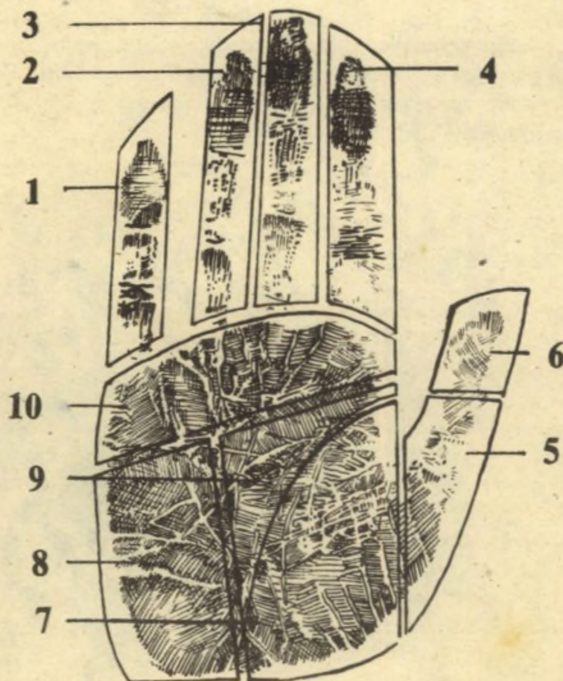
Jako że palec Saturna mieści w sobie dwa przeciwstawne kierunki ludzkiej osobowości, uważany jest za palec pojednania. Jest to palec, który dowodzi stopnia zrównoważenia (lub niezrównoważenia) danej osobowości. Palec ten był swego czasu nazywany palcem Losu. Jest to dosyć znaczące, bowiem drogę człowieka przez życie można by zdefiniować jako próbę dostosowania wewnętrznych pragnień do czysto zewnętrznych możliwości. Życie człowieka, jego los jest ogólną sumą tego nieustannego, trwającego aż do kresu godzenia pragnień z możliwościami.

Dolna część dłoni, ta od strony łokcia, zawierająca przede wszystkim wzgórze Księżyca, mówi o wewnętrznej bierności i uległości. Wzgórze Księżyca jest natomiast odbiciem podświadomości. Księżyc jest planetą falowania, przypływów i odpływów, wzrastania, medytacji, ale i ... szaleństwa.

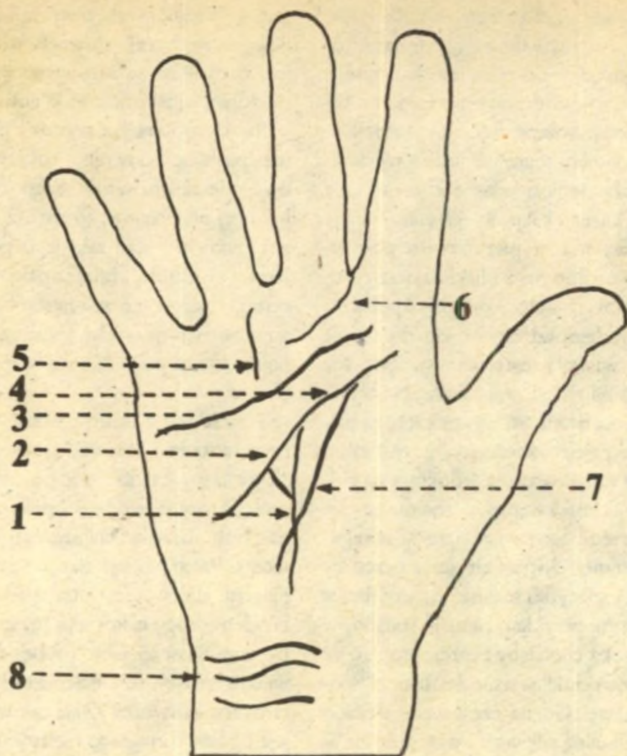
Ostatnia ćwiartka naszej dłoni z przynależną jej nasadą kciuka mówi o wewnętrznej, duchowej aktywności człowieka, o jego wrażliwości wobec potencjalnej energii życiowej.

Wypukłość dłoni poniżej nasady kciuka nazwana została wzgórzem Wenus. Wenus, jak wiadomo, była boginią piękna i miłości. Czego w związku z tym oczekiwać powinniśmy po naszym wzgórzu Wenus, niech jeszcze pozostanie niespodzianką.

Zupełnie odrębna rzecz to linie zarysowane na dłoni (najogólniej ilustruje je rysunek 2). Ich położenie, punkty początkowe oraz zbiegi linii mają również swój porządek ściśle od wieków ustalony. Poczekajmy trochę z ich szczegółowym opisem, warto im bowiem poświęcić nieco więcej miejsca, ale żeby choć trochę zaspokoić ciekawość, zajmiemy się pokrótce czterema głównymi liniami, widocznymi na każdej dłoni. Pierwsza z nich to słynna linia życia. Linia życia okalająca wzgórze Wenus oddziela kciuk od reszty dłoni. Żaden z chiromantów nie zanotował po dziś dzień przypadku dłoni pozbawionej linii życia. Linia ta wskazuje na jakość i rodzaj energii życiowej, jaką rozporządza właściciel dłoni. Na niej też widoczne są wszelkiego rodzaju wrodzone cechy patologiczne, przy czym wbrew powszechnej opinii, opartej zapewne na bezpośrednim porównaniu, które często bywa myłą-



Części dłoni
1 – palec Merkurego, 2 – palec Apolla, 3 – palec Saturna, 4 – palec Jupitera, 5 – palec logiki, 6 – czubek woli, 7 – wzgórze Wenus, 8 – wzgórze Księżyca, 9 – pole Marsa, 10 – nasada palców.



Linie dłoni
1 – linia losu, 2 – linia Merkurego, 3 – linia serca, 4 – linia głowy, 5 – linia Apolla, 6 – linia Wenus, 7 – linia życia, 8 – bruzdy.

ce – długość linii życia nie jest równoznaczna z przewidzianą przez los długością naszego życia. Tyle o linii życia – na razie.

Tak zwana linia głowy – najczęściej zaczynająca się na dłoni u podnóża wzgórza Księżyca, przecina niemal poziomo dłoń na pół, kończąc się w styku z linią życia, choć jej położenia mogą być też zupełnie inne. Linii głowy przede wszystkim przypisane są zdolności umysłowe człowieka, a także wszelkie trwałe urazy psychiczne i zmiany w mentalności.

Linia serca, biegnąca zazwyczaj nieco poniżej nasady palców aż do nasady palca wskazującego, czyli palca Jupitera, łączy się czasem z linią głowy lub wygina łukiem pomiędzy palcami Jupitera i Saturna. Skupia w sobie głównie życie emocjonalne i przeciwstawne cechy indywidualności. Informuje o typie, temperamencie i doświadczeniach uczuciowych właściciela dłoni.

·Linia Saturna, czyli linia Losu biegnie przez środek dłoni aż do nasady palca Saturna. Sama w sobie stanowi różnorodny i złożony problem. Nie można więc na razie powiedzieć o niej nic więcej prócz tego, że reprezentuje nasze zdolności przystosowania się do środowiska.

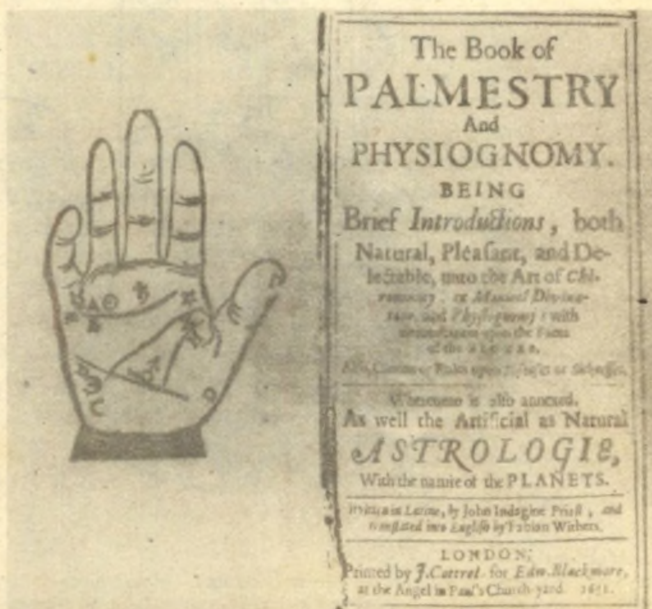
Drogi Czytelniku, jeżeli zainteresował Cię rzeczywiście ten najkrótszy na świecie wstęp do chiromancji i jeżeli chciałbyś teraz spojrzeć na swoje dłonie inaczej aniżeli dotąd, to znaczy jak na źródła informacji o Tobie samym, potraktuj serio zawarte na tych kilku stronach informacje, zrób sobie krótki egzamin z rozmieszczania sfer i linii dłoni oraz ... czytaj dalej.

Chiromanta, opisując czyjąś dłoń, bierze pod uwagę jakby dwa główne punkty: wielkość, kształt, stosunek długości palców do reszty dłoni oraz stosunek linii. Dopiero skojarzenie tych dwóch spraw pozwala wyciągnąć prawidłowe wnioski.

Tradycyjnie uważa się, że lewa ręka reprezentuje nasze wewnętrzne skłonności, natomiast prawa – wyłącznie kulturowy sztafaż, jaki narzuciło nam wychowanie w określonym środowisku oraz wykształcenie. Doświadczeni chiromanci twierdzą jednak, że obie dłonie jednocześnie muszą być poddane dokładnej analizie, aby obraz życia i charakteru badanego był jasno skrystalizowany. Przyjmuje się jednak i potwierdzają to teorie Freuda i Junga, że u osób praworęcznych lewa ręka uważana jest za wyrazicielkę podświadomości, natomiast prawa – specyficznych cech, określających naszą indywidualność. Ciekawe, że na ogół na lewych dłoniach znacznie więcej jest wszelkich znaków, bruzd i linii aniżeli na prawych. Lewa dłoń zawiera także sporo cech atawistycznych, których trafne odczytanie mogłoby stanowić „klucz" do podświadomości i wyrosłych z niej kompleksów i problemów (któż ich nie ma!). Natomiast prawa ręka, znacznie bardziej ukształtowana, „wyrobiona", wskazuje na główny kierunek indywidualnego rozwoju i skłonności.

Najwyższy czas, abyśmy owe elementarne informacje sprawdzili na własnych dłoniach. Niewiele jednak dałoby nam przyglądanie się im, bowiem odczytywanie rysunku linii oraz kształtu samej dłoni możliwe jest dopiero po uzyskaniu odbicia dłoni na papierze. Jak to zrobić? Po prostu – metodą znaną z filmów kryminalnych: farbę drukarską należy rozprowadzić równo wałkiem po dłoni i sporządzić kilka odbitek na papierze. Dopiero dokładne przyjrzenie się odbitkom oraz porównanie z podobnymi odbitkami innych dłoni może pozwolić nam na próbę odpowiedniego zaszeregowania i sklasyfikowania własnych odbitek.

A więc – do roboty! I do następnego odcinka.



The Book of
PALMESTRY
And
PHYSIOGNOMY.
BEING
Brief *Introductions*, both
Natural, Pleasant, and De-
lectable, unto the Art of Chi-
...
Whereunto is also annexed,
As well the Artificial as Natural
ASTROLOGIE,
With the nature of the PLANETS.
...
LONDON;
Printed by *J. Cottrel* for *Edw. Blackmore*,
at the Angel in Paul's Church-yard.

Frederick Forsyth

tłumaczył Stefan Wilkosz

Niewypał

Cała ta historia zdarzyła się tylko dlatego, że Samuel Nutkin jadący pociągiem podmiejskim z Edenbridge do Londynu, upuścił w przedziale futerał do okularów pomiędzy poduszki siedzenia. Bo kiedy wcisnął dłoń pomiędzy te poduszki, żeby go wydostać – stało się.

Jego palce natrafiły nie tylko na futerał, ale na cienkie czasopismo, pozostawione tam zapewne przez poprzedniego pasażera. Nutkin wyciągnął je w przekonaniu, że jest to rozkład jazdy. I to wcale nie dlatego, że był mu potrzebny. Od dwudziestu pięciu lat jeździł codziennie tym samym pociągiem o tej samej porze z małego i nudnego miasteczka Edenbridge do stacji Charring Cross w Londynie. Wieczorem zaś wsiadał do pociągu na stacji Cannon Street także zawsze o tej samej godzinie i powracał do hrabstwa Kent. Nutkinowi niepotrzebny więc był rozkład jazdy. Powodowała nim po prostu zwykła ciekawość.

Kiedy spojrzał na okładkę czasopisma, twarz mu poczerwieniała. Czym prędzej wsunął je z powrotem pomiędzy poduszki i rozejrzał się badawczo. Nikt na niego nie patrzył. Po drugiej stronie przedziału dwa Financial Timesy, jeden Times i jeden Guardian kiwały się nadal rytmicznie w takt jadącego pociągu. Ich czytelnicy czytali tabele notowań giełdowych. Po lewej stronie stary Fogarty męczył się nad krzyżówką, a po prawej, za oknem, przesuwała się właśnie obojętnie stacja Hither Green. Samuel Nutkin odetchnął z ulgą.

Magazyn miał nieduży format, ale błyszczącą okładkę. Widniały na niej słowa: „Nowy Krąg" – był to tytuł pisma – a niżej: „Samotni – Pary – Grupy – magazyn kontaktowy dla seksualnie wyzwolonych. Środek okładki zajmowała fotografia dorodnej kobiety o wydatnych piersiach. Twarz modelki zakrywał biały kwadrat z napisem „Ogłoszenie Nr 331". Pan Nutkin nigdy w życiu nie widział takiego pisma, ale przez całą drogę aż do stacji Charring Cross zastanawiał się nad konsekwencjami swojego odkrycia.

Drzwi wagonów rozsunęły się, aby wyrzucić swój ludzki ładunek na zatłoczony peron numer sześć. Ale Samuel Nutkin ociągał się, majstrował coś przy teczce, zwijał parasol, szukał melonika i to tak długo, aż znalazł się sam w przedziale. Wtedy, przerażony własną odwagą, wyciągnął magazyn spomiędzy poduszek, wsunął go do teczki i włączył się w strumień meloników i biletów sezonowych, zmierzających ku wyjściu.

W drodze z pociągu do kolejki podziemnej, w czasie przejazdu do Mansion House, w windzie prowadzącej na Cannon Street, wreszcie w czasie krótkiego spaceru do biurowca towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym pracował jako urzędnik, czuł się dość niewyraźnie. Słyszał kiedyś o człowieku, który został przejechany przez samochód. Kiedy w szpitalu zbadano zawartość jego kieszeni, znaleziono paczkę pornograficznych zdjęć. Historia ta od dawna prześladowała Samuela Nutkina. Jak można się z czegoś takiego wytłumaczyć? Cóż to za wstyd dla człowieka, który leży w szpitalu z nogą na wyciągu i wie, że wszyscy znają jego tajemne grzechy. Toteż tego dnia Nutkin niezwykle ostrożnie przechodził przez ulice. W końcu dotarł jednak do lokalu towarzystwa ubezpieczeniowego.

Samuel Nutkin nie był przyzwyczajony do „tych rzeczy". Ktoś kiedyś odkrył, że ludzie nabierają cech odpowiadających przydomkom, przypadkowo im kiedyś nadanym. Wystarczy, żeby zaczęto wołać na chłopca „łobuziak", a będzie chodzić z przymrużonymi oczami i mówić jak Humphrey Bogart. „Figlarz" będzie tak długo małpować i wymyślać kawały, aż mu się to znudzi. Samuel Nutkin miał dziesięć lat, kiedy jeden ze starszych kolegów nazwał go „wiewiórką". Ten przypadek przesądził o jego losie.

Po wojnie dwudziestopięcioletni Nutkin został zdemobilizowany w randze kaprala. Udało mu się dostać stałą posadę z niezłą pensją i zapewnioną emeryturą. Był już od dwudziestu pięciu lat urzędnikiem olbrzymiej, światowej firmy ubezpieczeniowej, równie solidnej jak Bank Angielski, którego gmach królował tuż obok, mieszczącej się w samym środku City. W ten sposób Nutkin pracował w sercu tych kilku kilometrów kwadratowych, w siedzibie gigantycznej, bankowej ośmiornicy, rozpościerającej swe macki na wszystkie strony świata.

Na początku swej kariery w latach czterdziestych Nutkin kochał City. Wykorzystywał przerwę obiadową, żeby spacerować po starych uliczkach o tradycyjnych nazwach – Chlebowa, Kukurydziana, Kurza – i po miejskich murach. Myślał, jak to było w średniowieczu, kiedy naprawdę sprzedawano tu chleb, kukurydzę i drób, a mury rzeczywiście broniły miasta. Podziwiał ludzi, którzy wśród tych zimnych kamieni umieli zdobywać się na finansowanie awanturniczych wypraw do najdalszych zakątków świata. Z ich inicjatywy żeglarze i handlarze sprzedawali i kupowali, oszukiwali czarnych, żółtych i brunatnych ludzi, zdobywali skarby, rabowali i odsyłali łupy do City, aby tu inwestować, pożyczać, spekulować. Tutaj, na tym skrawku ziemi, zabudowanym bankami, spółkami akcyjnymi i domami ubezpieczeniowymi, zapadały decyzje o losach milionów ludzi, o ich pracy, zamożności czy nędzy. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że było to siedlisko największych

rozbójników świata. Samuel Nutkin był bowiem bardzo lojalnym obywatelem.

Minęło ćwierć wieku, magia zbladła i wtopiła się w szary strumień ciemnych garniturów, parasoli, meloników i teczek, które wlewały się codziennie do City, aby po ośmiu godzinach pracy odpłynąć do podmiejskich rezydencji.

Był więc Nutkin w dżungli City przyjaznym i nieszkodliwym stworzeniem o cechach określonych przez jego młodzieńczy przydomek. W ciągu tych lat dopasował się do swojego biurka, był zażywnym, sympatycznym człowieczkiem w okularach, bliskim pięćdziesiątki. Był uprzejmy i miły dla sekretarek, które traktowały go po macierzyńsku i mówiły, że jest „słodki". Ale zupełnie nie był przyzwyczajony do czytania czy choćby noszenia w teczce pornograficznych pism. Jednakże tego ranka w jego życiu nastąpił przełom. Samuel Nutkin przekradł się do ubikacji, zamknął się tam i zabrał do czytania wszystkich ogłoszeń w „Nowym Kręgu".

Zaskoczyły go i zdumiały. Przy niektórych znajdowały się zdjęcia, przeważnie amatorskie fotografie pań w samej bieliźnie. Inne ogłoszenia odznaczały się wymownym tekstem reklamującym tajemnicze – w każdym razie dla Samuela Nutkina – usługi. Szybko zrozumiał, że kobiety ogłaszające się w tym piśmie marzyły głównie o tym, żeby osobiście poznać zamożnych i hojnych dżentelmenów. Nutkin przeczytał magazyn od deski do deski, wsunął go na dno teczki i szybko wrócił do swojego biurka.

Wieczorem udało mu się przewieźć pismo do mieszkania w Edenbridge, chociaż przez całą drogę zdawało mu się, że czyha na niego policja obyczajowa. Schował swój skarb pod dywan przy kominku. Lettice nigdy tam nie zajrzy.

Lettice, czyli pani Nutkin, była niemal całkowicie przykuta do łóżka. Twierdziła, że cierpi na ciężki artretyzm i dolegliwości sercowe. Diagnoza doktora Bulstroda określała jej chorobę jako zaawansowaną hipochondrię. Była to wątła i sucha kobieta o ostrym nosie i jeszcze ostrzejszym głosie. Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy była źródłem jakichkolwiek fizycznych uciech Samuela Nutkina, czy to w łóżku, czy też poza nim. Mimo to pozostał wiernym jej i przywiązanym mężem, zawsze gotowym do największych poświęceń, aby zaoszczędzić żonie najmniejszych przykrości. Nie zajmowała się, na szczęście, domem ze względu na ból w plecach. Nie było więc obawy, że zajrzy pod dywan.

Następne trzy dni upłynęły Nutkinowi na głębokich rozmyślaniach, które dotyczyły przede wszystkim jednej z ogłaszających się pań. Z krótkich informacji, które podawała, można było wnioskować, że była wysoka i miała zaokrąglone kształty. Trzeciego dnia zdecydował się; usiadł i napisał do niej list. Napisał krótko i rzeczowo na kartce zwykłego biurowego papieru. Zaczął od zwrotu „Droga Pani", po czym wyjaśnił, że autor listu czytał jej ogłoszenie i bardzo chciałby się z nią spotkać.

W samym środku magazynu widniały szczegółowe instrukcje co do sposobu przesyłania odpowiedzi na ogłoszenia. Po napisaniu listu należało włożyć go wraz z zaadresowaną do siebie i opatrzoną w znaczki pocztowe kopertą do czystej koperty, oznaczonej numerem ogłoszenia wypisanego ołówkiem. Kopertę tę wraz z należnością za usługę polecono włożyć do trzeciej koperty i wysłać pod londyński adres czasopisma. Pan Nutkin wykonał to wszystko starannie, podał się za niejakiego pana Henry Jonesa, zamieszkałego na Acacia Avenue 27. Był to notabene jego prawdziwy adres.

Przez następne kilka dni Nutkin biegł do drzwi wejściowych, gdy tylko słyszał kroki listonosza. Szóstego dnia zobaczył wśród listów kopertę zaadresowaną do Henry Jonesa. Wsunął ją do kieszeni i poszedł na piętro, żeby zabrać od żony tacę, na której podał jej śniadanie.

W pociągu, w drodze do miasta, poszedł do toalety i drżącymi palcami otworzył kopertę. Znalazł własny list, a na jego odwrocie ręcznie wypisaną odpowiedź: „Drogi Henry, bardzo dziękuję za zainteresowanie się moim ogłoszeniem. Jestem pewna, że będziemy się mogli dobrze zabawić. Zadzwoń pod numer... Ściskam. Sally". Numer telefonu wskazywał, że Sally mieszkała w centrum Londynu, w dzielnicy Bayswater.

Nic więcej w kopercie nie było. Samuel Nutkin przepisał numer telefonu na kartkę papieru i schował ją do portfela, a list wraz z kopertą wrzucił do klozetu i spuścił wodę. Kiedy wracał do przedziału, czuł, że ma wypieki i obawiał się, że towarzysze podróży zwrócą na to uwagę. Stary Fogarty wpisywał jednak właśnie pozycję numer piętnasty (poziomo) krzyżówki, a z pozostałych pasażerów żaden nie uniósł nawet głowy.

W przerwie obiadowej Nutkin zadzwonił pod podany mu numer z automatu w najbliższej stacji kolejki podziemnej. Usłyszał niski głos kobiecy „Hallo?". Nutkin wepchnął monetę do szpary, odchrząknął i powiedział:

– E... Hallo?... Czy to panna Sally?

– Zgadza się – odpowiedział matowy głos. – A kto mówi?

– O... e... Nazywam się Jones, Henry Jones. Otrzymałem od pani dziś rano odpowiedź na mój list w sprawie pani ogłoszenia...

W słuchawce słychać było szelest przewracanych kartek papieru.

– Ależ tak, pamiętam cię, Henry. Czy chciałbyś do mnie wstąpić, Henry?

Samuel Nutkin poczuł, że zamiast języka ma w ustach kawał starej gumy.

– Tak, bardzo chętnie – wyjąkał.

– Doskonale. Jest tylko jedna mała sprawa... Drogi Henry, widzisz, moi przyjaciele na ogół dają mi niewielki prezent. Pomaga mi to w płaceniu komornego. Jakieś dziesięć funtów. Czy ci to odpowiada?

Nutkin skinął głową i powiedział: – „Tak".

– Świetnie, wobec tego, kiedy będziesz?

– Mogę tylko w przerwie obiadowej. Pracuję w City, a wieczorem jadę do domu.

– Czy jutrzejszy dzień ci odpowiada? Doskonale, w takim razie jutro o dwunastej trzydzieści. Podam ci adres...

Kiedy o dwunastej trzydzieści następnego dnia Nutkin stanął przed drzwiami mieszkania na niskim parterze w jednym z zaułków Bayswater, był pewny, że ma gorączkę. Zastukał nerwowo do drzwi. Usłyszał kroki w przedpokoju.

Potem nastąpiła cisza. Ktoś najwyraźniej przyglądał mu się przez wziernik w drzwiach.

– Proszę wejść – usłyszał.

Zamknęła za nim drzwi i powiedziała cicho:

– Więc jesteś, Henry? Proszę, wejdź do pokoju, porozmawiamy sobie.

Poszedł za nią do pokoju. Serce biło mu jak młotem. Była starsza niż się spodziewał. Stuknęła jej na pewno czterdziestka. Na zniszczonej twarzy miała grubą warstwę makijażu. Poza tym była dobre piętnaście centymetrów od niego wyższa, może dzięki wysokim obcasom. Pomimo sięgającego do ziemi szlafroka, widać było, że ma stanowczo za szerokie biodra. A kiedy szlafrok rozchylił się, zauważył, że nosi pod nim czarne nylonowe majtki i czerwoną koszulkę. Drzwi do przedpokoju zostawiła otwarte.

Pokój był licho umeblowany i było w nim mało przedmiotów osobistych. Kobieta uśmiechnęła się zalotnie.

– Czy masz dla mnie ten mały prezencik, Henry?

Samuel Nutkin skinął głową i wyciągnął z kieszeni spodni dziesięciofuntowy banknot. Wzięła go i włożyła do leżącej na komodzie torebki.

– Usiądź i odpocznij sobie. I nie denerwuj się tak. Czy masz jakieś szczególne życzenia?

Nutkin przysiadł na brzegu fotela. Zdawało mu się, że ma usta wypełnione szybko schnącym cementem.

– To bardzo trudno wytłumaczyć – wymamrotał.

Sally znów się uśmiechnęła.

– Nie wstydź się. Mów, co masz na myśli.

Powiedział jej to, nie bez wahania. Nie zdziwiła się.

– W porządku – powiedziała lekko. Wielu panów o to prosi. Zdejm marynarkę, spodnie i buty i chodź do sypialni.

Usłuchał jej i poszedł za nią przez przedpokój do sypialni, która była niespodziewanie jasno oświetlona. Zamknęła drzwi na klucz i włożyła do kieszeni szlafroka, który następnie zdjęła i powiesiła na haku.

Po trzech dniach listonosz doręczył na Acacia Avenue 27 wraz z innymi listami zwykłą, dość grubą kopertę. Samuel Nutkin wybrał pocztę ze skrzynki i położył ją na stół, przy którym jadł śniadanie. Prócz grubej koperty nadanej w Londynie i zaadresowanej na nazwisko Samuel Nutkin był jeszcze list do Lettice od jej siostry i rachunek z kwiaciarni za jakieś rośliny doniczkowe. Nutkin beztrosko otworzył grubą kopertę, spodziewając się, że jest w niej jakaś reklamówka. Mylił się jednak.

Z koperty wypadło sześć fotografii. Leżały teraz na stole, a Nutkin wpatrywał się w nie z niemym zdziwieniem. Kiedy zrozumiał całą sprawę, ogarnęło go przerażenie. Zdjęcia te, dalekie od technicznej doskonałości, były jednak dostatecznie wyraźne, a co najmniej na dwóch jego własną twarz rozpoznać można było doskonale. Trzęsącymi się rękami szukał słowa wyjaśnienia w głębi koperty. Nie znalazł nic. Na jej odwrocie też nic nie było. Wystarczyły same zdjęcia. Pokazywały wszystko czarno na białym.

Ogarnięty ślepą paniką Samuel Nutkin wsunął fotografie pod dywan przy kominku, tam, gdzie wciąż spoczywał numer feralnego magazynu. Po chwili namysłu wziął jednak całą tę paczkę papierów i spalił je za garażem, wdeptując obcasem popiół w mokrą ziemię. Wrócił do pokoju. Miał ochotę pozostać w domu i symulować chorobę, ale po namyśle doszedł do wniosku, że wzbudzi to tylko podejrzliwość Lettice. Zdążył jeszcze zanieść jej list na górę, zabrać tacę po śniadaniu, po czym pobiegł na stację, żeby zdążyć na pociąg do City.

Patrzył przez okno przedziału i starał się uspokoić skołataną głowę. Dopiero kiedy mijał New Cross, zorientował się, w jaki sposób został nabrany.

– Marynarka! – krzyknął. – Marynarka i portfel!

Stary Fogarty, który zastanawiał się właśnie nad „siódmym poziomym" numerem, pokręcił głową.

– Nie – mruknął. – Za dużo liter.

Samuel Nutkin wpatrywał się ponuro w południowe przedmieścia Londynu, przelatujące poza oknem wagonu. Nie był przystosowany do takiej sytuacji. Zimny strach ściskał mu żołądek. Tego ranka nie był w stanie skoncentrować się na swojej pracy.

W przerwie obiadowej spróbował połączyć się z numerem podanym przez Sally, ale odpowiedział mu schrypły głos męski, który oświadczył, że nie zna żadnej Sally i że to pomyłka. Nutkin spróbował połączyć się przez telefonistkę, odpowiedział jednakże ten sam mężczyzna. Nie było więc pomyłki.

Zadzwonił do informacji i próbował sprawdzić adres podanego numeru. Okazało się jednak, że numer był zastrzeżony i bez polecenia sędziego pokoju biuro numerów nie udzielało informacji.

Nutkin pojechał taksówką na Bayswater. Okazało się, że mieszkanie jest zamknięte, a na bramie wisi napis „Do wynajęcia". Wtedy Nutkin zrozumiał, że nawet przy pomocy policji nie dowie się niczego. Mieszkanie zostało najwyraźniej wynajęte na jeden tydzień i to na fałszywe nazwisko, i już zostało opuszczone. Biuro czasopisma przesyłało na pewno odpowiedzi na ogłoszenia na jakiś jeden umówiony adres, a numer telefonu należał do obcego człowieka, który po powrocie z urlopu zastał sforsowany zamek u drzwi. Odebrał od tego czasu wiele telefonów do jakiejś Sally, której oczywiście nie znał. Nazajutrz ten człowiek na pewno zniknie.

Kiedy Nutkin wrócił do domu, Lettice zrzędziła gorzej niż zwykle. Tak, były do niego trzy telefony, które przerwały jej popołudniową drzemkę.

Po raz czwarty telefon zadzwonił zaraz po ósmej. Samuel Nutkin zerwał się z fotela i zostawiając żonę przed telewizorem pobiegł do aparatu znajdującego się w przedpokoju. Mówił mężczyzna, ale Nutkinowi trudno było się zorientować, czy był to ten sam, z którym rozmawiał po południu. Głos był stłumiony, brzmiał jak gdyby przez chustkę zakrywającą mikrofon.

– Pan Nutkin?

– Tak.

– Pan Samuel Nutkin?

– Tak.

– A może pan Henry Jones?

Samuel Nutkin poczuł ucisk w dołku.

– Kto mówi? – spytał.

– To nieważne, przyjacielu. Czy otrzymałeś mój bilecik dzisiejszą pocztą?

– Czego ode mnie chcecie?

– Zadałem ci pytanie, przyjacielu. Czy dostałeś odbitki?

– Tak.

– Przyjrzałeś im się dobrze?

Samuel Nutkin zacisnął zęby.

– Tak.

– No cóż, niegrzeczny z ciebie chłopiec. Mam chyba obowiązek posłać te zdjęcia do twojego szefa. Ależ tak, wiem gdzie pracujesz i znam nazwisko twojego zwierzchnika. A potem mogę posłać drugi komplet odbitek do pani Nutkin. A może do sekretarza twojego klubu tenisowego. Pan nosi w portfelu bardzo wiele legitymacji, panie Nutkin...

– Panie, panie, niech pan tego nie robi – wybuchnął Nutkin, ale głos w słuchawce przerwał jego protesty.

– Zaraz się rozzłoszczę. Nie próbuj zwracać się do policji. Zresztą nic mi nie mogą zrobić. Zastanów się nad całą sprawą trzeźwo i na zimno. Możesz dostać to wszystko – klisze i odbitki. Zastanów się więc. O której godzinie wychodzisz do pracy?

– Ósma trzydzieści.

– Zadzwonię jutro rano o ósmej. Dobrej nocy.

Telefon zamilkł.

Nutkin dobrej nocy nie miał. Odwrotnie. Kiedy Lettice poszła spać, powiedział, że musi wyregulować ogrzewanie, pozostał na dole i dokładnie skontrolował zawartość portfela. Kolejowy bilet sezonowy, książeczka czekowa, legitymacja członkowska klubu tenisowego, dwa listy, dwa zdjęcia z żoną, prawo jazdy, karta członkowska klubu ubezpieczeniowego – więcej niż trzeba, aby dowiedzieć się sporo o nim i jego miejscu pracy.

Później w bladym świetle ulicznej latarni, przenikającym przez firanki sypialni, Nutkin patrzył na niesympatyczną twarz żony śpiącej w sąsiednim łóżku – Lettice zawsze chciała spać osobno – i usiłował sobie wyobrazić, co powiedziałaby po otwarciu grubej koperty, która może nadejść w czasie jego pobytu w biurze. Wyobrażał sobie dyrektora Murogatroyda w gabinecie na najwyższym piętrze, jak siedzi i trzyma w ręku paczkę odbitek. Myślał o zebraniu prezydium klubu tenisowego, zwołanego specjalnie dla ponownego rozpatrzenia jego członkostwa w klubie, na którym wszyscy podają sobie z rąk do rąk te straszne fotografie. To wszystko przekraczało jego wyobraźnię. Jedno było jednak pewne. Taki wstrząs zabiłby biedną Lettice. Nie przeżyłaby tego. A więc trzeba zapobiec temu, żeby się o czymkolwiek dowiedziała.

Telefon zadzwonił punktualnie o ósmej. Samuel Nutkin czekał już w hallu, ubrany jak zwykle w szare ubranie, białą koszulę, z melonikiem, parasolem i teczką w ręce, gotowy do szybkiego marszu na stację.

– Zastanowiłeś się? – zapytał nieznajomy.

– Tak – odpowiedział drżącym głosem Nutkin.

– Chcesz te negatywy?

– Tak, proszę pana.

– Obawiam się, że będziesz je musiał kupić, przyjacielu. Musimy pokryć nasze wydatki, a poza tym należy ci się mała nauczka.

Nutkin przełknął ślinę.

– Nie jestem bogaty – wyjąkał. – Ile żądacie?

– Pięćset funtów – odpowiedział głos bez chwili wahania.

Samuel Nutkin był wstrząśnięty.

– Ależ ja nie mam takich pieniędzy! – zaprotestował.

– W takim razie postaraj się o nie – szydził głos w słuchawce. – Możesz dostać pożyczkę na hipotekę swojego domku, albo, jeżeli wolisz, samochodu. Ale zdobądź tę forsę i to szybko. Jeszcze dziś. Zadzwonię wieczorem o ósmej.

Głos umilkł i w słuchawce rozległ się sygnał. Nutkin poszedł na górę, pocałował żonę w policzek i udał się do pracy. Tego dnia nie wsiadł jednak jak zwykle do pociągu odchodzącego o ósmej trzydzieści jeden do Charing Cross, ale poszedł do parku i usiadł na ławce. Siedział niby samotny karzełek w meloniku pośród kwiatów i drzew. Wiedział, że musi się zastanowić, a to było niemożliwe w towarzystwie starego Fogarty'ego z tymi jego wiecznymi krzyżówkami.

Przypuszczał, że gdyby się postarał, to pożyczyłby jakoś te pięćset funtów, ale wywołałoby to niewątpliwie duże zdziwienie w banku. Zwłaszcza gdyby zażądał od dyrektora, żeby wypłacono mu tę sumę zaraz i to w gotówce. Mógłby powiedzieć, że chodzi o dług karciany, ale nikt by mu nie uwierzył, bo wszyscy wiedzieli, że Nutkin w karty nie grał. Nie pił, jeżeli nie liczyć kieliszka wina od czasu do czasu. Nie palił. Może wyjątkowo jedno cygaro po proszonej kolacji. A więc – pomyślał – domyślą się z pewnością, że chodzi o kobietę. Co robić? Co robić? – pytał w kółko samego siebie.

Może pójść na policję. Oni mogliby, oczywiście, znaleźć tych ludzi mimo fałszywych nazwisk i adresów. Ale potem odbyłaby się sprawa sądowa, na której trzeba by było wystąpić w charakterze świadka. Nutkin nieraz czytał w gazetach, że w takich przypadkach można nie podać nazwiska, że figuruje się jako p.X, ale tyle osób mogło rzecz rozszyfrować. Po dwudziestu pięciu latach monotonnego życia biurowego nie można ukryć sprawy sądowej.

O dziesiątej trzydzieści opuścił park, poszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do biura. Powiedział kierownikowi swojego działu, że źle się czuje, ale że po południu będzie na pewno za biurkiem. Potem poszedł do banku. Po drodze łamał sobie głowę szukając jakiegoś wyjścia i przypominając sobie wszystkie sprawy o szantaż, o jakich czytał w gazetach. Jak można by określić to, co mu się przytrafiło? Chyba wymuszaniem pieniędzy za pomocą pogróżek. Niezła prawnicza formułka – pomyślał z goryczą. – Ale czy może pomóc ofierze szantażu?

Gdyby był młodszy i do tego kawalerem, powiedziałby im, żeby go pocałowali. Ale jak teraz zmienić posadę, a poza tym istniała przecież Lettice, nieszczęsna, przewrażliwiona Lettice. Ten szok na pewno by ją zabił. Nutkin postanowił za wszelką cenę oszczędzić Lettice takiego ciosu.

Przy drzwiach banku opuściła go jednak odwaga. Nie mógł stanąć przed dyrektorem banku z tak dziwnym i trudnym do wytłumaczenia żądaniem. To tak, jakby mu powiedział: „Jestem ofiarą szantażu i proszę o pożyczkę w wysokości pięćset funtów." A poza tym, czy tamci nie zażądają następnych sum? Na pewno wyciągną z niego cały majątek, a potem i tak roześlą fotografie! To prawie pewne. Postanowił w każdym razie nie brać tych pieniędzy z miejscowej filii banku. Rozwiązania trzeba szukać w Londynie – powiedział sobie po długich wahaniach Nutkin, który był człowiekiem delikatnym i uczciwym. Podjąwszy tę decyzję wsiadł do pociągu. Była godzina dziesiąta trzydzieści jeden.

Do City przyjechał tuż przed przerwą obiadową, więc dla wypełnienia czasu poszedł po zakupy. Był człowiekiem zbyt ostrożnym na to, żeby nosić przy sobie pięćset funtów.

Wszedł więc do sklepu z artykułami biurowymi, zakupił stalową, zamykaną na klucz kasetę na pieniądze. W kilku innych sklepach nabył: pół kilo lukru – tłumacząc sprzedawcy, że zamierza zalać nim urodzinowy tort żony – puszkę sztucznego nawozu, przeznaczonego pod róże w ogródku, pułapkę na myszy, miedziane druciki do bezpieczników, dwie baterie do latarki elektrycznej, kolbę do zalutowania dziury w czajniku i kilka innych drobnych przedmiotów, które każdy człowiek powinien mieć w domu.

O drugiej po południu siedział za biurkiem. Zapewnił szefa, że czuje się znacznie lepiej i zabrał się do pracy nad księgami rachunkowymi. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że Samuel Nutkin potrafiłby w podstępny sposób podjąć jakiekolwiek pieniądze z konta swojego przedsiębiorstwa.

O godzinie ósmej tegoż wieczoru siedział jak zwykle z Lettice przed telewizorem. Zadzwonił telefon, a w słuchawce odezwał się zachrypły głos.

– No i co, pieniądze są, panie Nutkin?

– Eee... tak... – odpowiedział Nutkin i zanim tamten mógł się odezwać, pospiesznie dodał: – Panie, niech mi pan odeśle te negatywy i zapomnijmy o wszystkim.

Po drugiej stronie zapanowało nasycone zdumieniem milczenie.

– Czyś ty zwariował?! – odezwał się wreszcie zachrypnięty głos.

– Nie – odrzekł poważnie Nutkin. – Ale chciałbym, żeby pan przemyślał wszystkie przykre konsekwencje, jakie wynikną z pańskich żądań.

– Posłuchaj, durny człowieku – rozzłościł się tamten. – Albo zrobisz, co ci każę, albo posyłam te fotki dla samej przyjemności – do twojej żony i szefa!

Nutkin westchnął.

– Właśnie tego się obawiałem. Mów dalej!

– Jutro w przerwie obiadowej wsiądziesz w taksówkę i pojedziesz na Albert Bridge Road. Wejdziesz do parku Battersea i pójdziesz aleją Zachodnią w kierunku rzeki. W

połowie alei skręcisz w lewo i pomaszerujesz w stronę centralnego parku. Dojdziesz do takiego miejsca, w którym stoją dwie ławki, jedna obok drugiej. O tej porze nie powinno tam być nikogo. Miej ze sobą paczkę zawiniętą w brązowy papier. Wsuń ją pod pierwszą ławkę i pójdź dalej, i wyjdź z parku drugą bramą. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– W porządku. I jeszcze jedno. Pamiętaj, że od momentu, kiedy znajdziesz się w parku, będziesz obserwowany. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że gliny mogą ci pomóc. Najmniejsze podejrzenie, że w pobliżu jest jakiś tajniak i ulatniam się. A wiesz, co się wtedy stanie, prawda, Nutkin?

– Wiem – odparł cicho Nutkin.

– To dobrze. Zrób, co ci każę, a wszystko pójdzie gładko.

Mężczyzna odwiesił słuchawkę.

Po kilku minutach Samuel Nutkin przeprosił żonę i poszedł do garażu. Chciał być przez pewien czas sam.

Następnego dnia postąpił dokładnie tak, jak mu kazano. Kiedy szedł aleją po zachodniej stronie parku i dotarł do zakrętu prowadzącego do placu centralnego, zatrzymał go motocyklista. Stał rozkraczony nad swoim pojazdem i studiował mapę. Na głowie miał hełm, a twarz zasłaniały mu gogle i kolorowa chustka.

– Hej, kolego, czy może mi pan pomóc? – krzyknął.

Nutkin był człowiekiem uprzejmym, więc podszedł do motocyklisty i pochylił się nad jego mapą.

– Dawaj tę paczkę, Nutkin! – syknął tamten.

Nutkin poczuł ostre szarpnięcie i jego paczka znalazła się w mgnieniu oka w koszyku pod kierownicą motocykla. Potem rozległ się ryk motoru i po chwili motocykl znalazł się na zatłoczonej Albert Bridge Road. Wszystko to stało się błyskawicznie. Nawet gdyby ich policjant obserwował, to nie zdołałby zatrzymać motocyklisty. Nutkin potrząsnął głową ze smutkiem i powrócił do City, do swojego biura.

Minął tydzień. Pewnego wieczoru do drzwi domku Samuela Nutkina zadzwonił człowiek o długiej, końskiej jak gdyby twarzy i brązowych, smutnych oczach. Stał w progu w długim czarnym płaszczu i na tle pochmurnego wieczornego nieba jego sylwetka wyglądała jak sylwetka przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Pan Nutkin?

– Tak.

– Pan Samuel Nutkin?

– Tak, to ja.

– Sierżant detektyw Smiley. Czy mogę prosić pana o kilka chwil rozmowy? – Człowiek wyciągnął legitymację, ale Nutkin nie patrząc na nią skinął głową na znak zgody.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Sierżant Smiley był wyraźnie zmieszany.

– Chciałbym z panem pomówić o bardzo osobistej i może nawet ambarasującej sprawie... – zaczął.

– Mój Boże – przerwał Nutkin – nie musi się pan krępować, sierżancie.

Smiley patrzył zdziwiony.

– Nie muszę się krępować?...

– Oczywiście, że nie. Chodzi panu o bilety na bal policji. W klubie tenisowym zawsze kupujemy kilka. Będąc w tym roku sekretarzem klubu spodziewałem się nawet...

Smiley odchrząknął z zażenowaniem.

– Obawiam się, że tym razem nie chodzi o bal policji. Jestem tu w związku z pewnym dochodzeniem.

– To jeszcze nie powód, żeby się pan czuł zaambarasowany.

Mięśnie szczęk sierżanta drgnęły pod napiętą skórą.

– Miałem na myśli to, że może to pana zaambarasuje, nie mnie – wyjaśnił cierpliwie. – Czy żona jest w domu?

– Tak, ale leży w łóżku. Jej zdrowie...

Właśnie w tej chwili rozległ się z góry rozdrażniony głos:

– Kto tam przyszedł, Samuelu?

– Pan z policji, kochanie.

– Z policji?

– Bądź spokojna, kochanie – odpowiedział Nutkin. – Chodzi o zbliżający się turniej tenisowy z policyjnym klubem sportowym.

Sierżant Smiley skinął głową ze zrozumieniem i przeszedł za Nutkinem do salonu.

– Może powie mi pan teraz, o co panu chodzi i dlaczego miałbym być zaambarasowany? – spytał Nutkin po zamknięciu drzwi.

– Przed kilkoma dniami – zaczął sierżant Smiley – moi koledzy ze Stołecznej Policji odwiedzili pewne mieszkanie w centrum Londynu. Przeszukując je natrafili na paczkę kopert w zamkniętej na klucz szufladzie.

Samuel Nutkin patrzył na policjanta z dobrotliwym zainteresowaniem.

– Każda z tych kopert – a było ich około trzydziestu – zawiera kartkę z nazwiskiem i adresem jakiegoś mężczyzny, a w niektórych przypadkach był również i adres miejsca pracy. Poza tym w każdej z tych kopert znajdowało się około tuzina negatywów, przedstawiających panów w średnim wieku w towarzystwie kobiety w pozycjach, które można by nazwać kompromitującymi.

Samuel Nutkin zbladł i nerwowo zagryzł wargi. Smiley spojrzał na niego surowo i ciągnął dalej:

– Na wszystkich fotografiach była ta sama kobieta. Jest znana policji jako zawodowa prostytutka, kilkakrotnie karana. Niestety, muszę panu powiedzieć, że na jednej z tych kopert widnieje pańskie imię, nazwisko i adres, a część negatywów przedstawia pana w różnych sytuacjach z tą właśnie kobietą. Ustaliliśmy, że zajmowała ona przez pewien czas wraz z pewnym osobnikiem mieszkanie, w którym policja dokonała rewizji. Czy pan mnie słucha?

Samuel Nutkin siedział z pochyloną głową i wpatrywał się w dywan. Wreszcie westchnął głęboko.

– O, mój Boże – westchnął – fotografie. Więc robili zdjęcia. Co za wstyd, gdyby to wyszło na jaw. Przysięgam panu, panie sierżancie, że nie wiedziałem, że to, co robię, jest nielegalne.

Sierżant Smiley zatrzepotał powiekami.

– Panie Nutkin, niech mnie pan dobrze zrozumie. To co pan robił nie jest nielegalne. Pańskie życie prywatne należy do pana i policja nie interesuje się nim, dopóki działa pan w ramach prawa. A odwiedziny u prostytutki nie są przez żadne prawo zabronione.

– Nie rozumiem... przecież pan mówił, że toczy się dochodzenie?

– Nie dotyczy ono pana – oświadczył zdecydowanie sierżant. – Czy mogę mówić dalej? Dziękuję. Otóż policja stołeczna jest pewna, że mężczyźni, którzy bywali w mieszkaniu tej kobiety, bądź zarekomendowani przez osobistych znajomych, bądź zwabieni przez ogłoszenia, byli fotografowani i identyfikowani po to, żeby ich potem można było szantażować.

Samuel Nutkin patrzył na sierżanta ze zdumieniem. Nie był przyzwyczajony do takich rozmów.

– Szantaż – wyszeptał. – O mój Boże, to jeszcze straszniejsze...

– Ma pan rację... Otóż... – detektyw wyciągnął z kieszeni fotografię. – Czy pan poznaje tę kobietę?

Samuel Nutkin przyjrzał się uważnie zdjęciu. Widniała na nim kobieta, którą znał jako Sally. Skinął potakująco głową.

– Dziękuję – powiedział sierżant, chowając fotografię do kieszeni. – Chciałem pana jednak prosić, żeby opowiedział mi pan własnymi słowami, w jaki sposób pan tę kobietę poznał. Nie będę robił żadnych notatek i zachowam wszystko w dyskrecji, chyba że się okaże, że posiada pan istotne dla śledztwa informacje.

Samuel Nutkin jąkając się, zrelacjonował sprawę od samego początku. Opowiedział sierżantowi, jak przypadkowo znalazł magazyn, zapoznał się z jego treścią w toalecie biurowej, powiedział mu nawet o trzydniowej rozterce i swojej walce z pokusą napisania listu, wreszcie o wysłaniu go i podpisaniu nazwiskiem Henry Jones. Opowiedział o tym, jak otrzymał odpowiedź, zanotował numer telefonu i zniszczył list, a także o rozmowie telefonicznej i umówieniu się na następny dzień na dwunastą trzydzieści. Opowiedział, jak kobieta kazała mu zdjąć marynarkę i zostawić ją w salonie, a później zaprosiła go do sypialni. Wyznał, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu.

Przyznał też, że po powrocie do domu natychmiast spalił magazyn zawierający ogłoszenie i przysięgał sobie, że już nigdy w życiu nie zrobi czegoś podobnego.

– A teraz – odezwał się Smiley – spytam pana o rzecz bardzo istotną. Czy od tego popołudnia odebrał pan jakiś telefon, czy może telefonowano w pańskiej nieobecności z pogróżkami i żądaniem pieniędzy za te fotografie?

Samuel Nutkin przecząco potrząsnął głową.

– Nie – powiedział. – Jeszcze chyba do mnie nie dzwonili.

Smiley uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Nie doszli do pana i już chyba nie dojdą. Zdjęcia są w ręku policji.

Nutkin spojrzał na niego z nadzieją w oczach.

– Oczywiście. Przecież prowadzicie śledztwo. Zdemaskowaliście ich, zanim się do mnie zabrali. Proszę mi powiedzieć, sierżancie, co teraz będzie z tymi okropnymi fotografiami?

– Gdy poinformuję Scotland Yard, że te, które dotyczą pana osoby, nie są istotne dla śledztwa – zostaną spalone.

– O! Jakże się cieszę! Ale proszę mi powiedzieć, czy ta para próbowała szantażować innych mężczyzn?

– Na pewno – odparł sierżant Smiley, wstając. – I na pewno inni detektywi na żądanie Scotland Yardu rozmawiają w tej chwili z kilkunastoma dżentelmenami, figurującymi na zdjęciach. Z ich zeznań dowiemy się, do kogo zwracali się po pieniądze, zanim zajęliśmy się tą sprawą.

– Ale w jaki sposób dojdziecie do prawdy? Przecież niektórzy z tych panów może nawet już zapłacili haracz, ale ze wstydu nie przyznają się do tego – nawet policji.

Sierżant Smiley spojrzał z uśmiechem na urzędnika biura ubezpieczeń.

– Zestawienia bankowe, proszę pana. Większość ludzi ma rachunek w banku. Po to, aby zgromadzić większą kwotę, ludzie ci musieli zwrócić się do banku albo sprzedać coś wartościowego. Zawsze pozostaje jakiś ślad.

– Podziwiam człowieka, który zwrócił się do policji i zdemaskował tych łajdaków – powiedział Nutkin, kiedy znaleźli się już w przedpokoju. – Nie jestem pewien, czy zdobyłbym się na to, gdyby się do mnie dobrali. Mam nadzieję, że nie będę musiał składać formalnych zeznań? Wiem, że są one teoretycznie poufne, ale ludzie się zawsze jakoś o wszystkim dowiadują...

– Nie, panie Nutkin, nie będzie pan świadkiem w tej sprawie.

– Bardzo mi żal człowieka, który zdemaskował tę bandę i będzie musiał stanąć przed sądem.

– Nikt spośród osób znajdujących się na liście nie będzie musiał zeznawać.

– Nie rozumiem. Przecież zdemaskowaliście tę parę na podstawie czyichś zeznań. Na pewno aresztujecie kogoś. Śledztwo...

– Panie Nutkin – powiedział sierżant już w drzwiach – my nie prowadzimy śledztwa w sprawie szantażu. Tu chodzi o morderstwo.

Nutkin patrzył na policjanta ze zdumieniem.

– Morderstwo... – wyjąkał. – A więc oni kogoś zabili?

– Kto?

– Szantażyści.

– Nie, proszę pana – oni nikogo nie zabili. To ich ktoś zabił. Nie wiemy jeszcze, kto. Śledztwo w takich sprawach jest trudne. Mogli szantażować setki ludzi, aż wreszcie komuś udało się dotrzeć do ich kryjówki. Prowadzili wszystkie rozmowy z automatów telefonicznych. Niszczyli wszystkie dowody z wyjątkiem materiałów fotograficznych. Bardzo trudno będzie znaleźć jakieś dowody.

– Tak, rozumiem – mruczał Nutkin. Ale... czy ich... zastrzelono?

– Nie. Sprawca po prostu dostarczył do ich mieszkania paczkę. Musiał więc znać ich kryjówkę. W paczce była kasetka na pieniądze z kluczykiem przywiązanym taśmą do wieka. Kiedy zbrodnicza para otworzyła zamek, wieko odskoczyło na skutek działania mechanizmu, który nasze laboratorium określiło jako pułapkę na myszy. Wtedy ładunek umieszczony w kasecie wybuchł i rozszarpał oboje na kawałki.

Pan Nutkin patrzał na sierżanta jak na bóstwo greckie, które zstąpiło z Olimpu i stanęło przed nim.

– To nie do wiary – wyszeptał. – Ale gdzie, u Boga Ojca, szacowny obywatel angielski mógł zdobyć bombę?

Smiley potrząsnął głową.

– W dzisiejszych czasach, proszę pana, nie jest to takie trudne. Pełno tu Arabów, Irlandczyków i różnych innych cudzoziemców. Zresztą można sobie przeczytać instrukcje w różnych książkach. To nie to, co za moich czasów. Dzisiaj byle szesnastolatek uczący się chemii, może skonstruować ładunek wybuchowy, jeżeli tylko zdobędzie odpowiednie materiały. Dobranoc, panie Nutkin. Nie sądzę, abym musiał pana jeszcze trudzić.

Następnego dnia, korzystając z pobytu w City, Nutkin wstąpił do ramiarza i odebrał fotografię, którą oddał tam przed dwoma tygodniami do oprawy. Prosił wtedy o zrobienie nowej ramy i zatrzymanie zdjęcia do czasu, aż się zjawi. Tego wieczoru fotografia powróciła na honorowe miejsce obok kominka.

Była to stara fotografia, przedstawiająca dwóch młodych ludzi w mundurach Królewskich Saperów z odznakami jednostki specjalistów od min. Siedzieli okrakiem na olbrzymiej pięciotonowej bombie niemieckiej, znanej jako „Wielki Fryc". Przed nimi na kocu leżało kilkadziesiąt części skomplikowanego mechanizmu bomby, zawierającego sześć zabezpieczeń przed rozbrojeniem. Jeden z młodzieńców był szczupły, miał długą, niemal końską twarz i nosił odznaki majora na naramiennikach. Drugi, niski i tęgi, miał na nosie okulary. Podpis pod zdjęciem głosił: „Od wdzięcznych mieszkańców wsi Steeple Norton – Czarodziejom Rozbrojonej: majorowi Mike Halloranowi i kapralowi Samuelowi Nutkinowi. Lipiec 1943".

Samuel Nutkin patrzył z dumą na zdjęcie.

– Byle szesnastolatek! – roześmiał się.

Rafał Brzeski

NIEUCHWYTNE ZŁOTO

Sztabki, bilon, papiery wartościowe na równi z armatami i czołgami liczyły się w kampaniach II Wojny Światowej. Czasami bardziej nawet od najnowocześniejszego sprzętu i najlepszych generałów. Mimo to jednak niewiele wiadomo o transakcjach finansowych zawieranych podczas wojny przez przedstawicieli i pełnomocników rządów, wielkich banków i koncernów. Otacza je tajemnica równa najtajniejszym operacjom wywiadów i dopiero teraz z kurzu archiwów dobywa się dokumenty i relacje dotyczące wojennych losów zawartości bankowych skarbców. Powstaje z nich historia równie sensacyjna co zmagania najinteligentniejszych agentów.

Polska

Rozpoczynając wojnę Hitler zdawał sobie doskonale sprawę z wagi, jaką w światowych zmaganiach odegra złoto. Dlatego też ostrze potęgi wermachtu, szybkie dywizje zmotoryzowane, otrzymały specjalne rozkazy opanowania w szybkim tempie polskich miast, w których zgromadzono przed wojną państwowe zapasy złotego kruszcu. Ze złotem i jego znaczeniem liczono się również w Warszawie, chociaż nie zdawano sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji i zagrożenia. Ministerstwo Finansów jeszcze w końcu sierpnia 1939 roku odmawiało uparcie przeprowadzenia wcześniejszej ewakuacji krajowych rezerw złota. Kiedy wreszcie zdecydowano się, zabrakło czasu na planową ewakuację. Improwizowanymi środkami, specjalnym pociągiem i kolumnami zarekwirowanych samochodów, trzeba było wywozić z Warszawy złoto już pod bombami. Pierwszym etapem był Lublin, gdzie należało poczekać na dotarcie ostatnich ciężarówek z Warszawy i miast środkowej Polski. Niemcy dowiedzieli się widocznie o trasie ewakuacji i postoju, gdyż Luftwaffe otrzymała rozkaz dokonania nalotu na Lublin i jego węzeł kolejowy, a oddziały pancerne wermachtu polecenie jak najszybszego opanowania miasta.

Z Lublina i innych miast południowo-wschodniej Polski złoto przetransportowano konwojami do Śniatynia, gdzie załadowano je do pociągu specjalnie eskortowanego przez żołnierzy i urzędników bankowych. Załoga pociągu otrzymała polecenia jak najszybszego dotarcia do rumuńskiego portu Konstanca i... życzenia powodzenia. Na nic innego nie było czasu. Nie starczyło go nawet na sprawdzenia papierów i zawartości skrzyń. Nikt dokładnie nie wiedział, ile złota znajduje się w transporcie, a mimo to później okazało się, że nic nie zginęło.

Gdy zawiodła pogoń pancerna, Niemcy rozpoczęli manewry dyplomatyczne, których celem było zagarnięcie polskiego złota. Rząd rumuński gotów był przymknąć oczy na tranzyt kruszcu przez swoje terytorium, ale dobra wola Rumunów wyczerpywała się wraz ze zbliżaniem niemieckich czołgów do własnych granic. Przychylne stanowisko zaczęło się zmieniać, a Niemcy naciskali protestując przeciwko... naruszaniu neutralności Rumunii przez polski pociąg specjalny.

Władze rumuńskie znalazły się w trudnej sytuacji. Z jednej strony chciały pomóc sojuszniczej Polsce, z drugiej nie wykluczały możliwości szybkiego rajdu niemieckiego w kierunku Konstancy w celu „ochrony neutralności Rumunii". Czas znów zaczął odgrywać decydującą rolę i Polacy, nie mając w portach Morza Czarnego własnych statków, zwrócili się o pomoc do dyplomatów Francji i Wielkiej Brytanii. Konsul brytyjski zaczął gorączkowe poszukiwania jakiegokolwiek wolnego statku i znalazł... stary zbiornikowiec „Eocene" o nośności czterech tysięcy ton, zdecydowanie nie nadający się do przewożenia złota. Lepszy był jednak rozpadający się zbiornikowiec niż nic i piętnastego września 1939 roku ręcznie załadowano na jego pokład siedemdziesiąt pięć ton polskiego złota.

Nie był to jednak koniec kłopotów. Agentom niemieckim o mały włos nie udało się w ostatniej chwili zablokować statku w porcie. Rozpowszechniając plotkę o niemieckich samolotach czekających tylko na wyjście „Eocene" w morze, by go zbombardować, spowodowali panikę wśród rumuńskich członków załogi. Kilkunastu marynarzy zeszło na ląd nie chcąc ginąć za nie swoje złoto. Stracono sporo cennego czasu, zanim udało się zwerbować nowych marynarzy, ale w końcu „Eocene" wypłynął z Konstancy, a rząd rumuński mógł z całym spokojem zawiadomić ambasadora III Rzeszy, że brytyjska jednostka „uciekła" z portu i to mimo zakazu wypłynięcia.

Mały zardzewiały tankowiec szczęśliwie przemknął się wodami terytorialnymi Rumunii, Bułgarii i Turcji do Bosforu, gdzie musiał zaczekać, aż dyplomaci Polski, Francji i Wielkiej Brytanii znajdą okręt wojenny bardziej nadający się do ewakuacji złota niż

powolny „Eocene”. Sytuacja bowiem wcale nie była łatwa. Rząd turecki, oficjalnie neutralny, w przeciwieństwie do Rumunii sprzyjał po cichu III Rzeszy, uważając ją za potężniejszą niż Anglia i Francja razem wzięte. Turecki bank narodowy sugerował, by kruszec został złożony w jego skarbcach, ale polscy urzędnicy bankowi odmówili, obawiając się, że wówczas Nimcy będą mogli położyć łapę na polskim złocie. Nie bez słuszności uważali, że jest ono bardziej bezpieczne w ładowniach brytyjskiego tankowca. W odpowiedzi Turcy – zasłaniając się zasadami neutralności – nie wpuścili do Bosforu szybkiego francuskiego krążownika „Emile Bertin”, który miał ewakuować „ładunek specjalny” do Tulonu. Koniec końców przewieziono złoto koleją do Bejrutu, skąd pięćdziesiąt siedem ton popłynęło na pokładzie „Emilie Bertin”, a resztę – osiemnaście ton – zabrały niszczyciele „Vaubant” i „Epervier”. Z bazy morskiej w Tulonie polskie złoto przewieziono opancerzonym pociągiem do Nevers, gdzie spoczęło w skarbcu Banku Francji wpisane na konto Banku Polskiego. Nie na długo.

Niemieckie zagony pancerne posuwały się przez Francję w jeszcze szybszym tempie niż przez Polskę. Na pomoc Francuzów w ewakuacji polskiego złota nie można było zbytnio liczyć. Mieli dość kłopotów z wywiezieniem własnych olbrzymich rezerw, nie mówiąc już o dwustu tonach belgijskiego kruszcu złożonego w depozyt w Banku Francji w lutym 1940 roku.

Polscy bankowcy jeszcze podczas tak zwanej „dziwnej wojny” proponowali, by, dla zapewnienia bezpieczeństwa, połowę rezerw zdeponować w Anglii, a połowę we Francji. Na taką, rozsądną, koncepcję nie zgodził się jednak Bank Francji, zazdrosny o każdą uncję złota znajdującego się w jego skarbcach. W czerwcu 1940 roku na wszelkie dyskusje było jednak za późno, rozpoczął się okres przetargów. Każdy wyciągał ręce po polskie złoto, ale najbliżej były ręce niemieckie.

Szesnastego czerwca stacjonujący w Lorient francuski okręt wojenny „Victor Schoelcher” otrzymał rozkaz przyjęcia na pokład dwustu ton belgijskiego złota i siedemdziesięciu pięciu ton polskiego złota. Sześć tysięcy skrzyń pełnych sztabek i monet przybyło do portu pociągiem specjalnym i zostało złożone w podziemnym bunkrze. Stamtąd przewieziono je, w trakcie niemieckiego nalotu, ręcznymi wózkami na pokład „Victora Schoelchera”, który miał wypłynąć z portu natychmiast po zakończeniu załadunku. Jednakże nie wypłynął, mimo że nadeszła wiadomość, iż pancerne szpice niemieckie dotarły już do Rennes. Kapitanat portu nie zezwolił na wypłynięcie, gdyż podobno wejście do Lorient zostało zaminowane. Wiarygodność tej informacji była podejrzana, kapitan okrętu argumentował, że jego jednostka posiada urządzenia do neutralizacji min magnetycznych, ale władze portowe były nieubłagane. Postanowiły wstrzymać okręt pełny złota aż do czasu przetrałowania toru wodnego. Rzecz w tym, że ani w Lorient, ani w pobliżu nie było żadnych trałowców, a port był niemal bez przerwy bombardowany. Uciekał też drogocenny czas. W końcu okazało się, że wiadomość o minach była fałszywa, a o zbliżaniu się Niemców bardzo prawdziwa i „Victor Schoelcher” został „wypchnięty” przez zdesperowanego tym razem kapitana portu. Wypłynął dosłownie tuż przed nosem Niemców.

Na otwartych wodach odebrano rozkaz dołączenia do konwoju wiozącego francuskie złoto, który pod dowództwem admirała Cadarta zmierzał do Casablanki. Ledwie jednak „Victor Schoelcher” połączył się z konwojem szybkich krążowników, otrzymał rozkaz powrotu do portu Royan w Zatoce Biskajskiej. Kapitan zawrócił posłusznie w paszczę lwa, mimo protestów dyrektora Banku Polskiego – Michalskiego. Polakowi dziwny rozkaz wydał się podejrzany, tym bardziej, że wcześniej zapewniano go wielokrotnie, że polskie złoto zostanie przetransportowane bezpośrednio do Stanów Zjednoczonych.

Ostre protesty i argumentacja dyrektora Michalskiego wzbudziły podejrzenia kapitana. Zaczął uważnie słuchać komunikatów radiowych i zorientował się, że otrzymany rozkaz nie pochodził od francuskiego dowództwa. Na własną rękę zawrócił do Casablanki. Po drodze jego podejrzenia potwierdziła szyfrowana depesza z bazy amerykańskiej informująca, że Niemcy posługują się zdobytymi szyframi francuskimi, by ściągnąć różne jednostki na Biskaje pod bomby Stukasów.

Dwudziestego pierwszego czerwca 1940 roku „Victor Schoelcher” zawinął do Casablanki, polskie złoto wymknęło się Niemcom.

Norwegia

Kilkanaście minut przed północą, ósmego kwietnia 1940 roku, król Haakon VII musiał się oderwać od pracy w swoim prywatnym gabinecie, gdyż przez drzwi wpadł, łamiąc wszystkie przepisy etykiety, adiutant z wiadomością, że III Rzesza zaatakowała Norwegię. Tej samej nocy, gdy tylko skończył się pierwszy nalot na Oslo, odbyło się nadzwyczajne posiedzenie rządu. Ogłoszono mobilizację, a minister Finansów Oscar Torp wydał polecenia ewakuacji pięćdziesięciu ton norweskiego złota.

Podobnie jak przed kampanią w Polsce, również przed atakiem na Norwegię szturmowe oddziały wermachtu i SS otrzymały tajny rozkaz zagarnięcia, za wszelką cenę, rezerw złota Banku Norwegii. Zadanie to stawiano na równi z zatrzymaniem rodziny królewskiej. Specjalne ekipy zaokrętowano na pokład krążownika „Bluecher”, który miał niespostrzeżenie wślizgnąć się do Oslofjard. Plan nie udał się. Eskadra Kriegsmarine została zauważona, a artylerzyści fortu Oscarborg posłali „Bluechera” na dno. Złoto Norwegii zyskało kilka godzin i świtem dziewiątego kwietnia ładowano je już na dwadzieścia trzy poobijane ciężarówki. Te kilka godzin zadecydowało, gdyż kiedy Niemcy wkraczali do Oslo, przeładowane do granic wytrzymałości samochody opuszczały podwórzec bankowy. W ostatniej chwili. Urzędnicy banku i żołnierze, którzy pomagali ładować, nie ochłonęli jeszcze ze zmęczenia, gdy z przerażeniem zauważyli, jak na pobliskich placach i w parkach lądują niemieccy spadochroniarze.

Konwój ciężarówek atakowany kilkakrotnie przez Stukasy dotarł po południu do Lillehammer, małego miasteczka, którego bank miał potężny skarbiec i został przewidziany jako magazyn ewakuacyjny jeszcze przed wojną. Ledwie jednak przetransportowano do niego złoto, okazało się, że trzeba uciekać dalej na północ, gdyż niemieckie kolumny zbliżają się coraz szybciej do miasta.

Polecenie ewakuowania w bezpieczne miejsce rezerw złota otrzymał od rządu Frederik Haslund, polityk i inżynier, znany ze swej energii i rzutkości. Udał się on do Lillehammer z siostrą, szwagrem, poetą Nordahlem Griegiem i kilkoma żołnierzami. Sobie tylko wiado-

mymi sposobami zarekwirował ciężarówki oraz kilka zdezelowanych wagonów i lokomotywę. Załadował złoto i zaczął się przebijać nocami na północ do portu Molde, ukrywając się w dzień na ustronnych stacyjkach lub w tunelach.

Tymczasem w porcie Andalsnes koło Molde, gdzie znajdowała się kwatera główna ekspedycyjnych wojsk brytyjskich, późną nocą obudzono w hotelu admirała Philipa Viana, dowódcę eskadry brytyjskich kontrtorpedowców. Norweska delegacja rządowa przedstawiła mu plan przejęcia przez Royal Navy całej olbrzymiej floty handlowej Norwegii oraz prośbę o wywiezienie złota. Kiedy wymieniano, że warte jest ono trzysta dwadzieścia sześć milionów koron Vian poderwał się i oświadczył: „Panowie! Myślę, że po raz pierwszy w historii brytyjskiemu admirałowi ofiarowano w środku nocy flotę handlową i fortunę w złocie".

Brytyjczycy działali błyskawicznie. W ciągu kilkunastu godzin do portu Andalsnes, bombardowanego przez Stukasy wpłynął krążownik „Galatea" i pod osłoną jego dział przeciwlotniczych rozpoczęto załadunek szesnastu ton złota dowiezionych przez „pociąg specjalny" Frederika Haslunda. Haslund podstawił tylko trzy wagony ze swego składu, gdyż rząd podjął decyzję ewakuowania rezerw kruszcu partiami, tak, by jedna celna torpeda nie pozbawiła Norwegii całych zapasów złota. Pozostałe pięć wagonów wypełnionych czterdziestoma dwoma tonami sztabek i monet czekało na stacyjce Romsdalshorn.

Gdy po wypłynięciu krążownika, Haslund powrócił na stacyjkę, włos mu się zjeżył z przerażenia. Wokół jego pociągu biwakowali żołnierze brytyjscy, a na dodatek lokomotywa gdzieś zniknęła. Co gorsza, był bezsilny. Nie mógł rozkazać Anglikom, by wynieśli się ze stacji i nie ściągali na kark Stukasów. Będąc cywilem, bez pełnomocnictw, nie mógł, ot tak, zarekwirować lokomotywy, a rozpowiadać, co wiezie, nie było wskazane. Po licznych perypetiach udało się jednak Haslundowi przetransportować „swoje" złoto do nie używanego tunelu, odległego o kilkanaście kilometrów od pechowego Romsdalshorn. Spokój nie trwał jednak długo. Minister Finansów Oscar Torp przysłał gońca z wiadomością, że Niemcy zbliżają się drogą lądową do kryjówki i złoto trzeba jak najszybciej ewakuować do Molde. Do Molde powinien też udać się natychmiast kurier z jedną ze skrzyń zawierających dwanaście milionów koron w banknotach, bowiem rząd i dwór królewski nie mają płynnej gotówki.

Skrzynkę banknotów Haslund wysłał bez kłopotów pod konwojem siostry, szwagra i czterech żołnierzy, ale z czterdziestoma dwoma tonami złota było gorzej. Udało mu się jednak wybłagać od dowódcy wojskowej kolumny ewakuacyjnej dwadzieścia sześć ciężarówek, załadować na nie tysiąc trzysta skrzyń, przejechać przez płonące i nadal bombardowane Andalsnes i dotrzeć bocznymi drogami do Molde. Tam połowę ładunku ukryto w fabryce tekstylii, a połowę zawieziono do bombardowanego portu. Przez kilka godzin norweskie złoto czekało na płonącym wybrzeżu na brytyjski krążownik „Glasgow", skrzynie polewano wodą, by nie zajęły się od bliskich pożarów.

„Glasgow" zabrał jednak tylko część skarbu, członków rządu oraz dwór królewski wraz z Haakonem VII. Haslund pozostał z resztą na wybrzeżu i w fabryce „obdarzony" mglistą instrukcją „staraj się jechać na północ".

Polecenie to było łatwiej wydać niż wykonać, ale niezmordowany Haslund wyszperał gdzieś w zakamarkach portu stary parowiec „Driva", załadował na niego całe złoto i wypłynął lawirując między niemieckimi bombami. Nie był to jednak koniec odysei norweskiego złota. Haslund dotarł „Drivą" do małego portu Gjemnes, gdzie kapitan parowca, atakowany przez niemieckie samoloty, przytomnie wprowadził go na mieliznę. Lepiej stracić statek niż zawartość ładowni. W Gjemnes złoto przeładowano na trzy kutry, które lawirując przedzierały się fiordami na północ. Na wysepce Froya jeszcze raz przenoszono ciężkie skrzynie, tym razem pod pokład sporych kutrów „Stolvag" i „Alfhild", którymi szczęśliwie udało się dostać do Trosmoefjord. Haslund i jego ekipa gonili resztkami sił i nerwów. Już miesiąc grali z Niemcami w kotka i myszkę, gdy dziewiątego maja, około ósmej rano oba kutry dobiły do nabrzeża w Trosmoe witane przez uszczęśliwionego ministra Finansów. Dwa tygodnie później, dwudziestego szóstego maja 1940 roku, złoto norweskie zostało wywiezione, już bez większych kłopotów, do Wielkiej Brytanii na pokładach krążowników „Enterprise" i „Emerald".

Holandia

Kiedy Frederik Haslund zasypiał w Trosmoe po raz pierwszy spokojny o los powierzonego mu złota, nad granicą holenderską szykowały się do ataku specjalne oddziały pancerne wermachtu. Ich zadaniem było błyskawiczne dotarcie do Amsterdamu i zagarnięcie holenderskich rezerw złota. Atak nastąpił świtem dziesiątego maja 1940 roku i chociaż armia nie była przygotowana do walki, to jednak finansiści tak. Dyrektorzy Banku Holandii już jesienią 1939 roku przerzucili część rezerw do USA. W listopadzie 1939 roku spakowano w metalowe skrzynie najcenniejsze monety i zmagazynowano razem ze sztabkami złota w skarbcach banków w Rotterdamie i Amsterdamie. Teraz prezes Banku Holandii zwrócił się do Królewskiej Linii Żeglugowej o pilne dostarczenie dwóch statków. Przekazano mu jednostki „Iris", „Titus" i „Perseus", ale... stojące w porcie Ijmuiden, gdzie trzeba było złoto dowieźć.

Po południu z Amsterdamu wyruszyła kolumna dwunastu ciężarówek plus bankowy samochód opancerzony, w którym siedząc na skrzyniach ze złotem uciekała następczyni tronu, księżniczka Juliana z dziećmi. Na kolanach trzymała pudełko po butach, w którym wiozła... klejnoty koronne. Cały „złotokrólewski" konwój eskortował książę Barnhard uzbrojony w pistolet maszynowy. Innej eskorty nie wysłano w obawie przed wzbudzaniem podejrzeń. Pomysł ten miał swoje dobre i złe strony. Konwój nie stał się wprawdzie przedmiotem ataku licznej w Holandii V Kolumny, ale samochody ze złotem były wielokrotnie zatrzymywane przez patrole i tylko obecność popularnej następczyni tronu i księcia Bernharda sprawiła, że puszczano je dalej.

W bombardowanym Ijmuiden działy się dantejskie sceny, przez płonące nabrzeża przewalały się fale uciekinierów usiłujących za wszelką cenę dostać się do Anglii czy Francji. Rodzinę królewską zabrał brytyjski niszczyciel „Codrington", a złoto zaczęto przeładowywać na statki. Kapitan „Iris" Klaas de Jong do ostatniej chwili nie miał pojęcia, po co otrzymał rozkaz trzymania maszyn pod parą i czekania w porcie. Gdy późnym wieczorem podjechały ciężarówki, a całe nabrzeże obstawili żołnierze, zrozumiał, że otrzyma

ładunek specjalny, a po małych rozmiarach skrzyń, pod którymi uginali się niosący, domyślił się, że chodzi o złoto. Wszelkie wątpliwości rozwiał urzędnik bankowy dając mu do podpisania dokumenty opiewające na sumę osiemdziesięciu milionów guldenów.

Pierwszy opuścił Ijmuiden „Titus", a w kilka godzin później „Iris". Obaj kapitanowie otrzymali „błogosławieństwo": „Uciekaj i staraj się dostać do Wielkiej Brytanii". Kapitan de Jong napotkał brytyjską eskortę u wejścia do kanału La Manche i jedenastego maja 1940 roku jego „Iris" przycumował do nabrzeża Tilbury na Tamizie. Żądania de Jonga, by natychmiast skontaktować go z dowódcą lokalnej bazy Royal Navy oraz by obstawić tak nabrzeże, aby nie prześlizgnęła się nawet mysz wzbudziło zdumienie, które po chwili zmieniło się w osłupienie kapitana portu Tilbury, gdzie de Jong ze spokojem wyjaśnił: „Mój ładunek to złoto".

Złoto z Amsterdamu było już bezpieczne w skarbcu Banku Anglii w Londynie, a nadal nie znane były losy dwustu skrzyń złota, jakie zostały w skarbcu banku w Rotterdamie. Gmach Netherlands Bank w Rotterdamie stał w fatalnym miejscu, tuż koło mostu na rzece Mass, który już w pierwszych godzinach wojny został opanowany przez członków V Kolumny i spadochroniarzy niemieckich. Niemieckie stanowiska znajdowały się niespełna dwieście metrów od bramy banku, a mimo wszystko prezes Stanfert Kroese wraz z częścią urzędników i grupą żołnierzy piechoty morskiej zorganizował ewakuację. Tuż pod nosem Niemców na podwórzec wjechały trzy ciężarówki, na które w absolutnej ciszy załadowano nocą pięćdziesięciokilogramowe skrzynie. Cenny ładunek powolutku przewieziono bocznymi uliczkami do portu, gdzie skrzynie z tysiącem złotych sztab przeniesiono na pokład łodzi pilotowej nr 19. Przypłynęli nią do Rotterdamu brytyjscy saperzy i komandosi, by wysadzić w powietrze najważniejsze urządzenia portowe. Teraz łódź była pusta i udała się do Hook van Holland, gdzie oczekiwał na nią niszczyciel brytyjski „Wild Swan". Nie doczekał się. Po drodze mały kuterek pilotowy wyleciał na minie magnetycznej, postawionej w nocy przez Niemców. Dwieście skrzyń złota poszło na dno. W czasie okupacji Niemcy dowiedzieli się o nich i część nawet wydobyli.

Francja

O ile francuscy politycy i wojskowi nie wykazywali większej przenikliwości przed II Wojną Światową, o tyle finansiści tak. Już po konferencji w Monachium gubernator Banku Francji Pierre Fournier nakazał opracować plany ewakuacji olbrzymich rezerw złota, liczących dwa tysiące czterysta trzydzieści ton. Nie miał złudzeń co do planów Hitlera. Dlatego też jeszcze przed wybuchem wojny wysłał do USA trzysta ton złota pod pozorem ewentualnego przyszłego gwarantowania francuskich zakupów wojskowych. Nieco później, trafnie przewidując, że Paryż będzie głównym celem niemieckiego ataku, w wielkiej dyskrecji opróżnił skarbiec centralny przy ulicy de la Vrilliere. Całe złoto przewieziono do pięćdziesięciu jeden kryjówek przygotowanych w pobliżu baz morskich nad Morzem Śródziemnym i Atlantykiem. We wrześniu 1939 roku w kryjówkach tych znajdowało się dwa tysiące dwieście dwadzieścia sześć ton złota. Wówczas gubernator Fournier rozpoczął drugi etap ewakuacji. Jedenastego listopada na pokład pancernika „Lorraine" oraz krążowników „Marseillaise" i „Jean de Vienne" załadowano sto ton złota wartości czterech miliardów siedmiuset sześćdziesięciu milionów franków. Tysiąc pięćset skrzyń „makaronu" przyjął pancernik, a krążowniki po dwieście siedemdziesiąt pięć skrzynek. Złoto dla większej dyskrecji przewożono w skrzynkach podobnych do amunicyjnych, a całą operację utrzymywano w największej tajemnicy. Raz, by nie wzbudzić paniki wśród ludności, dwa, by nie prowokować ataku U-bootów.

Wkrótce po pierwszym udanym przerzucie za Atlantyk popłynął pancernik „Dunkerque" z ładunkiem kolejnych stu ton złota. Jednak pozorny spokój „dziwnej wojny" potrafił uśpić czujność nawet finansistów i trzeci konwój popłynął do Halifaxu dopiero dwunastego marca 1940 roku. Tym razem krążowniki „Algerie" i „Bretagne" przewiozły sto siedemdziesiąt cztery tony, które, podobnie jak poprzednie, trafiły, po krótkiej podróży lądem, do skarbców Banku Rezerw Federalnych w Nowym Jorku.

Spokojna i planowana ewakuacja przekształciła się w paniczną, gdy Niemcy zaatakowały Francję. Minister Finansów Lucien Lamoureux nakazał natychmiastowe przewiezienie pozostałych tysiąca ośmiuset dwudziestu trzech ton „makaronu" z kryjówek do portów Brest, Le Verdon i Tulon, a następnie w bezpieczne miejsce za Atlantyk lub do baz amerykańskich. Łatwiej powiedzieć niż wykonać. Z dowozem złota do Tulonu i Le Verdon nie było większych problemów, gdyż sieć kolejowa była w tych rejonach gęstsza i okolice spokojniejsze. Natomiast dojazd do Brestu był zablokowany przez kolumny uchodźców, komunikacja kolejowa w stanie chaosu, Niemcy dosłownie na karku, a właśnie w Bretanii zmagazynowano większość złota.

Dwudziestego pierwszego maja o ósmej wieczorem z Brestu wymknęły się cichaczem dwa całkowicie zaciemnione krążowniki: „Emile Bertin" i „Jeanne d'Arc". W ich magazynach amunicyjnych spoczywały metalowe skrzynie z herbem Banku Francji, zawierające w sumie przeszło dwieście ton złotych monet. Skrzynie te były powodem niepokoju krążowników. Nie było czasu w ewakuacyjnym chaosie zmienić „opakowań", a więc nie dało się ukryć, co wiozą krążowniki. W konsekwencji niemiecka radiostacja dywersyjna podała tuż przed wypłynięciem jednostek z portu: „życzymy dobrej podróży dwóm francuskim krążownikom, które opuszczają Brest wioząc złoto Banku Francji do Stanów Zjednoczonych". Nie udało się zachować tajemnicy, ale udało się dowieźć złoto. Dwudziestego piątego maja na Atlantyku „Emile Bertin" i „Jeanne d'Arc" spotkały się z bazą wodnosamolotów „Beam", która wypłynęła siedemnastego maja z Tulonu wioząc sto dziewięćdziesiąt cztery tony złota. Późnym wieczorem pierwszego czerwca bezcenny konwój dotarł do Halifaxu. Rozładunek rozpoczęto natychmiast i ledwie go zakończono, gdy „Emile Bertin", największy wówczas krążownik świata, wypłynął „całą naprzód" do Brestu po kolejny ładunek.

W międzyczasie w porcie tym na pokład pomocniczego krążownika „Pasteur" załadowano dwieście trzynaście ton rzadkich i cennych złotych monet. Ładowano je w workach od ziemniaków i gdy jeden z worków pękł, marynarze z załogi „Pasteura" zostali zasypani złotymi „napoleonami". Bez słowa błyskawicznie porwali miotły, by sprzątnąć cenne „śmiecie". Mieli w tym interes. Zdradzenie tajemnicy ładunku

zmniejszało szanse prześlizgnięcia się przez pierścień U-bootów otaczających Brest. „Pasteur" również dopłynął szczęśliwie do Halifaxu, ale przewiózł on zaledwie drobną część francuskich rezerw, którym z dnia na dzień coraz bardziej zagrażały pancerne szczypce wermachtu. Nic więc dziwnego, że rząd francuski z wielkim zadowoleniem powitał dyskretną ofertę prezydenta Roosevelta oddania do dyspozycji krążownika „Vincennes" w eskorcie niszczycieli. Oficjalnie Stany Zjednoczone były neutralne, ale czegóż nie robi się dla złota! Ustalono, że USS „Vincennes" załaduje złoto w Bordeaux, gdzie wysłano wysokiego urzędnika Banku Francji, pana Moreton. Wprawdzie z odpowiednimi pełnomocnictwami, ale w takiej tajemnicy, że sam nie wiedział, jaką misję ma spełnić. Dopiero na miejscu zorientował się, jaki ciężar – dosłownie – włożono mu na barki. Miał przyjąć w Bordeaux pociągi ze złotem i ich ładunek skierować dalej w dół Girondy do bazy Le Verdon. Tak, ale Bordeaux ma trzy stacje kolejowe i do tego wszystkie zapchane były pociągami ewakuacyjnymi i uciekinierami. Pierwszy „złoty" transport" przybył dwudziestego szóstego maja na stację Bastide w tak zdezelowanych wagonach, że nie było mowy by ujechały jeszcze choćby kilometr. Sprawny eszelon stał na stacji Saint Louis, ale manewrowanie nim pociągnęłoby stratę co najmniej jednego dnia. Moreton zarekwirował więc miejskie taksówki i po kilku godzinach pierwszy transport odjechał do Le Verdon. Stopniowo napływały dalsze. Postrzelane, spóźnione, raz nawet złoto przyjechało na końskim łajnie, gdyż nie było czasu wymieść wagonów po transporcie koni dla jednostek kawalerii. W końcu uzbierało się dwieście dwanaście ton złota, tylko okrętów nie było widać. Nie czekając na Amerykanów Moreton „wyżebrał" krążownik pomocniczy „Ville d'Oran" i po krótkim sporze z celnikami (nie miał właściwych papierów wywozowych) załadował na jego pokład cały „uzbierany" kruszec. Ledwie zakończono załadunek, zjawili się Amerykanie i w powietrzu zawisła afera dyplomatyczna. Z jednej strony jak tu nie urazić Amerykanów, z drugiej, jak ominąć zakaz wchodzenia neutralnych okrętów do bazy morskiej, z trzeciej – jak szybko wywieźć złoto. Po kilku godzinach manewrów znaleziono kompromisowe wyjście. „Ville d'Oran" zawiózł złoto do Casablanki, gdzie złożono je w skarbcu Banku Maroka. Stąd odebrać je miał USS „Vincennes", ale, gdy Amerykanie wpłynęli już do portu i wymieniono pełne kurtuazji saluty, okazało się, że przepisy o neutralności zabraniają okrętom wojennym przewozić złoto jednej z walczących stron. Od czegóż jednak wieloletnia praktyka finansistów w omijaniu przepisów prawnych. Całe złoto sprzedano Amerykanom ustalając, że po bezpiecznym przywiezieniu go do Stanów Zjednoczonych rząd Francji odkupi je za tyle samo dolarów, za ile go sprzedał. Teraz było to już amerykańskie złoto i wymogom prawnym stało się zadość.

Konieczność omijania przepisów była jednak w tym czasie najmniejszym kłopotem dla dyrektorów Banku Francji. Znacznie większym był fakt, że na Champs Elysees maszerowali już Niemcy, a w okolicach Brestu spoczywało nadal przeszło tysiąc ton ukrytego złota. Podjęto wyścig z czasem. I chociaż marszałek Petain rozmyślał już o kapitulacji, a Francja rozłaziła się w szwach, myśl o konieczności oddania francuskiego złota „boszom" pobudzała do działania. Zmobilizowano dziesięć ostatnich sprawnych ciężarówek w mieście, zarekwirowano każdy nadający się do użytku pojazd i przewożono złoto ze schowków dzień i noc. Dowództwo bazy morskiej dostarczyło statki: „El Djezair", „El Kantara", „El Mansour" oraz „Ville d'Oran", który zdążył wrócić z Casablanki i „Ville d'Alger". Siedemnastego i osiemnastego czerwca dostarczono na nabrzeża setki ton złota i chociaż Stukasy bombardowały port, marynarze pięciu jednostek, wspomagani przez kolegów z innych statków i okrętów, bez przerwy ręcznie ładowali skrzynie Banku Francji i wory ze złotym bilonem. Gdy zaczęli opadać z sił, a Niemcy zbliżać coraz bardziej, zaapelowano do „pensjonariuszy" więzienia Pontaniou – „Wolność za załadowanie reszty złota". Rzadko ponoć można było spotkać tak sprawnych i chętnych do pracy dokerów. Wszystkich w porcie ogarnął szał. Nie dać złota Niemcom! W południe osiemnastego czerwca nad portem pojawiły się samoloty obserwacyjne Luftwaffe. O wpół do szóstej po południu skończono załadunek, a o wpół do ósmej ostatni statek opuścił Brest. Trzy godziny później do portu wjechały pierwsze czołgi niemieckiej grupy szturmowej. Na horyzoncie widać jeszcze było dymy z kominów. Tysiąc dwieście ton złota płynęło spokojnie do Casablanki, gdzie przybyło bezpiecznie dwudziestego pierwszego czerwca. Złoto Francji wymknęło się z zaciskającej się już niemieckiej dłoni.

Wielka Brytania

Wczesnym rankiem piętnastego maja 1940 roku Winston Churchill, od kilku dni premier Zjednoczonego Królestwa, obudzony został przez pilny telefon. Paul Peynaud – szef rządu francuskiego – rozhisteryzowanym głosem informował, że kampania została przegrana, front się rozpada, a Francja ginie. Churchill poleciał natychmiast do Paryża upewnić się, czy sytuacja rzeczywiście jest tak zła. Wrócił przekonany, że Anglia musi szykować się na najgorsze, czyli na prowadzenie dalszej wojny z terytoriów zamorskich. Konsekwencją takich poglądów stało się polecenie przygotowania programu alarmowej ewakuacji „bogactw Albionu" – złota i papierów wartościowych. Program ten opracowany przez Bank Anglii, Ministerstwo Finansów i Admiralicję był tak tajny, że nie sporządzono z posiedzeń żadnych notatek, wydawano polecenia wyłącznie ustne, a krąg „tych, co wiedzą" ograniczono do kilku osób.

Pierwsze transporty angielskiego złota wysłano do Kanady już w październiku 1939 roku, wykorzystując do tego celu szybkie krążowniki i pancerniki. Chodziło wówczas o zabezpieczenie zakupów amerykańskiego uzbrojenia, operację stosunkowo niewielką, po dwa miliony funtów szterlingów w złocie na okręt. Teraz – jak obliczono – należało wywieźć prawie pięćset milionów funtów w sztabach i monetach, w piorunującym tempie i bez zwracania uwagi przeciwnika. Ponadto należało ewakuować papiery wartościowe, znajdujące się w posiadaniu banków i osób prywatnych: akcje, obligacje, weksle. Anglia była w latach czterdziestych potęgą finansową świata i gdyby papiery te wpadły w ręce niemieckie, III Rzesza mogłaby uzyskać kontrolę nad całymi gałęziami gospodarki światowej. Osobny kłopot miał Bank Anglii z trzystu milionami funtów w banknotach stanowiącymi rezerwę na wypadek zbombar-

dowania obu wytwórni papierów wartościowych. Banknoty te zmagazynowane w różnych bankach kraju należało przygotować do ewentualnego szybkiego zniszczenia, by nie wpadły w ręce wroga. Spalenie nie wchodziło w grę, gdyż funty, a zwłaszcza ich całe paczki, bardzo źle się paliły. Zebrano więc całą rezerwę i przesłano do bazy marynarki wojennej w Scapa Flow. Tam zapakowano dla niepoznaki w skrzynki od amunicji i załadowano pod pokład SS „Cressado", stateczku o nośności tysiąca dwustu ton wynajętego przez Bank Anglii za tysiąc funtów miesięcznie. Statek przemalowano i zarejestrowano jako magazyn amunicji Royal Navy. Stał zakotwiczony, pod czerwoną flagą, oznaczającą niebezpieczeństwo, w pobliżu wyjścia z portu. Jego załoga złożona z uzbrojonych po zęby marynarzy otrzymała polecenie wyprowadzić statek z portu na pierwszą wiadomość o lądowaniu Niemców w Wielkiej Brytanii. Następnie miała czekać na rozkaz zatopienia „pływającego banku", lub zatopić go bez rozkazu, gdyby istniało niebezpieczeństwo, że wpadnie on w ręce wroga.

Znacznie bardziej skomplikowana była operacja ewakuacji papierów wartościowych. Najpierw trzeba było wydać specjalną ustawę, że rząd ma prawo, w sytuacji zagrożenia, dysponować własnością prywatną obywateli. Chodziło tu głównie o akcje znajdujące się w prywatnych rękach, ale ogłaszając ustawę nie można było nawet o tym wspomnieć bez zdradzania całego planu i wzbudzania paniki. Przecież był to okres płomiennych przemówień Churchilla pobudzającego obywateli do wytrwania i oporu. Następnie zaprzysiężono gubernatorów pięciu najwyższych banków i dopuszczono ich do tajemnicy. Wspólnie zorganizowano akcję zbiórki papierów wartościowych w setkach oddziałów bankowych w całym kraju. Operacja ta, oraz sortowanie akcji, trwała dziesięć dni. Równocześnie w podziemiach Banku Anglii przy Threadneedle Street w Londynie zabijano wieka skrzynek ze złotem.

Dwudziestego trzeciego czerwca 1940 roku przy nabrzeżu w Greenock na pokład szybkiego krążownika HMS „Emerald" załadowano dwa tysiące dwieście dwadzieścia dziewięć skrzynek, po cztery sztabki złota w każdej. W sumie trzydzieści milionów funtów w złocie. Następnie pod pokład powędrowało pięćset skrzyń z papierami wartościowymi, szacowanymi z grubsza na dwieście milionów funtów.

HMS „Emerald" był weteranem „złotego szlaku" do Kanady. Przewoził pierwszy transport w październiku 1939 roku, „marne" dwa miliony funtów w złocie, i jego załoga nie zdziwiła się, gdy po sześciu dniach podróży w porcie Halifax czekał już na nabrzeżu pociąg specjalny pod nadzorem urzędników Banku Kanady i uzbrojonych agentów Canadian National Express, firmy zajmującej się przewozem pieniędzy i kosztowności.

Lwią część fortuny Zjednoczonego Królestwa przewiózł jednak konwój, który wyruszył ósmego lipca, w składzie: pancernik HMS „Revenge", świeżo ukończony krążownik „Bonaventure" oraz pasażerskie liniowce, zmobilizowane jako szybkie transportowce: „Monarch of Bermuda", „Sobieski" i „Batory". Lekko licząc tych pięć jednostek wiozło czterysta pięćdziesiąt milionów funtów w złocie i papierach wartościowych, a pancernik „Revenge" dodatkowo polską delegację rządową z generałem Władysławem Sikorskim. Mały, ale cenny konwój, mimo uszkodzenia maszyn na „Batorym", przebył Atlantyk szczęśliwie. Cała operacja przerzutu bogactw Wielkiej Brytanii do Kanady przebiegała zresztą z niewiarygodnym szczęściem. Nie stracono ani jednej sztabki złota, ani jednej monety. Te, które wypadły z pękniętych worków bądź skrzynek, znaleziono. Jak w porządnym banku wszystko się zgodziło, a przecież niemieckie U-booty zatapiały wówczas na Atlantyku co miesiąc statki o łącznym tonażu około trzysta tysięcy ton.



Feliks Kiryk

Żywoty królów

MIESZKO II

„...W sądzie przewidujący, z dobroci znany, szlachetnością obyczajów sławny”.
Z listu dedykacyjnego Matyldy lotaryńskiej.

Następca Chrobrego na tronie królewskim nie miał szczęścia do obszerniejszych relacji kronikarskich. Zafascynowany dziejami pierwszego koronowanego władcy Polski poskąpił Gall Anonim informacji o Mieszku II tak dalece, że skwitował jego rządy zaledwie pięcioma krótkimi zdaniami, z których ostatnie brzmi osobliwie: *„Lecz zamilczmy o Mieszku, a przejdźmy do Kazimierza, odnowiciela Polski”.* Nietrudno tu dostrzec niechęć do rozstrząsania losów Mieszka II i opisywania dziejów kraju za jego panowania oraz niecierpliwości, z jaką kronikarz starał się przejść do charakterystyki Mieszkowego następcy. Był wyrazicielem wielkości Piastów i piewcą sukcesów towarzyszących ich rządom; chętniej opisywał blaski ich panowania niż niepowodzenia i upadki. A w czasach Mieszka II doszło właśnie do katastrofy kraju i zaprzepaszczenia dorobku jego wielkich poprzedników.

Bardzo ogólnie i jakby dla przestrogi wspomniał o Mieszku II kolejny kronikarz polski, Mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem, stwierdzając zaledwie, że panowanie tego władcy upływało pod gwiazdą niepomyślną, a on sam nie dorównywał sławą swojemu ojcu i nie był tak groźny, jak Chrobry, dla nieprzyjaciół. A więc i dla kroniki Mistrza Wincentego obszerniejsza charakterystyka monarchii Mieszka II była niepożądanym elementem psującym kompozycję dzieła. Wszak on przedstawiał głównie wizerunki Piastów, dla których los dziejowy był łaskawszy, a ich czyny i powodzenia dawały modelować ciekawsze i bardziej optymistyczne wzorce osobowe dla celów wychowawczych. Jeżeli Gall Anonim oraz Mistrz Wincenty woleli przemilczeć wydarzenia z czasów Mieszka II, to kronikarze późniejsi odsądzili tego króla od zdolności politycznych i wojskowych i nie zauważyli czynionych przezeń prób przeciwstawienia się upadkowi kraju i władzy monarszej. Co gorsza, niesprawiedliwy sąd, że Mieszko II ponosił główną winę za ten upadek, przejął Jan Długosz i na całe wieki ugruntował złą sławę tego władcy. Od Długosza pochodzi bowiem opinia, że *„Mieczysław, król polski, już z samego początku panowania okazywał się gnuśnym i tępym, w obyczajach surowym, w działaniach płochym, niezdatnym do rady i spraw wymagających więcej godności i powagi. Porzuciwszy rozsądnych, wiekiem i przymiotami zaleconych doradców, dawał się wieść namowom ludzi młodych i lekkomyślnych. I to była najgłówniejsza przyczyna, dla której królestwo polskie za jego czasów wiele poniosło uszczerbku, gdy ani starać się chciał o nabycie światła, ani ludzi rozumnych miał w poważaniu”.*

Od z górą stu lat patrzymy inaczej na pełne wojen, napięć i tragedii wewnętrznych czasy Mieszka II. Poddane naukowej weryfikacji dawniejsze sądy o tamtym okresie naszych dziejów okazały się często błędne. Badania historyków odsłoniły także zasadniczo inne kontury osobowości tego króla. Wypowiedziano nawet opinię, że uratowanie jedności państwowej i korony królestwa przerastały możliwości samego Chrobrego, gdyby jemu przypadło rządzić krajem w czasach panowania syna. Nie udało się przeprowadzić jednak pełnej rehabilitacji Mieszka II. Od lat siedemdziesiątych XIX w. powraca uparcie pogląd, że nie dorównywał on wielkiemu ojcu nie tylko zdolnościami, lecz także siłą charakteru. Nie brak i dzisiaj uczonych, którzy przyznają następcy Chrobrego niemałe umiejętności wykonawcze, odmawiając mu zarazem predyspozycji do działań samodzielnych. Jest w tym z pewnością jakaś cząstka prawdy, wszak gwiazda Mieszka rzucała blask najjaśniejszy w czasach Chrobrego i bezpośrednio po jego śmierci, po czym niebawem zbladła i zgasła za chmurami przesilenia dynastycznego, nieprzyjaznych sojuszów pomiędzy państwami sąsiednimi i wewnętrznych rozruchów socjalnych. Ale nie da się oznaczyć stopnia odpowiedzialności Mieszka za sytuację w kraju w ciągu jego dziesięcioletnich rządów. Nie wolno zapominać jednak, że starał się upadkowi kraju skutecznie zapobiec.

Urodził się w 990 r., a więc jeszcze za życia dziada, Mieszka I. Nie był pierworodnym synem Chrobrego, ale urodzonym przez Emnildę, ukochaną żonę Bolesława. Na widowni dziejowej pojawił się w 1013 r., wypełniając w Magdeburgu ważną misję dyplomatyczną, polegającą na omówieniu z cesarzem warunków przyszłego pokoju Polski z Niemcami, który został istotnie zawarty w Merseburgu jeszcze tego samego roku. Informacja, że przyjazdu Mieszka do Magdeburga zażądał sam cesarz, skłania do sądu, że młody polski książę był znany już w otoczeniu Henryka II i na dworach książąt niemieckich. Wynika z tego również, że nie był to jego debiut polityczny, jakkolwiek wiadomości o działalności dyplomatycznej i wyprawach wojennych, wypełnianych przezeń przed 1013 r., się nie zachowały.

Brak przekazów źródłowych także o jego dzieciństwie i latach młodości, wychowaniu i nauce, nauczycielach i opiekunach. Kiedy objął tron po ojcu i ukoronował się na króla Polski, otrzymał szczególny dar od Matyldy, żony palatyna Dolnej Lotaryngii. Była nim księga liturgiczna z zamieszczonym na początku listem dedykacyjnym i kolorowym obrazem przedstawiającym w miniaturze scenę wręczenia wspomnianej księgi przez Matyldę królowi polskiemu. Czy przekazuje on rysunek prawdziwej postaci Mieszka, czy tylko pewne cechy jego wyglądu, trudno odgadnąć. Faktem jest, że przedstawia siedzącego na tronie dojrzałego mężczyznę z płowym zarostem na brodzie i podgoloną głową, przykrytą koroną, zasłaniającą całkowicie włosy. Można przyjąć, że Mieszko posiadał urodę słowiańską, odziedziczoną po swoich przodkach.

O wiele ważniejsza jest treść dedykacji. Wynika z niej

bowiem bezspornie, że był on władcą wykształconym, znającym nie tylko język łaciński, lecz także grecki. Miał odznaczać się nadto prawością i dobrocią oraz miłosierdziem wobec wdów i sierot, być *„niezachwianym obrońcą ubogich i potrzebujących pomocy"*. Cechy to piękne i ponadczasowe, chociaż z pewnością nieco wyidealizowane. Mieściły się jednak dobrze we wzorcu władcy chrześcijańskiego, a takim widziano Mieszka na dworach książęcych w Europie Zachodniej.

Podarunek Matyldy z niecodziennym listem dedykacyjnym pozwala na stwierdzenie, że Mieszka przygotowywano do objęcia rządów według praktyki zachodniej, wypełniając jego późne dzieciństwo i wczesną młodość nie tylko ćwiczeniami fizycznymi z bronią w ręku, lecz także obowiązkami szkolnymi. Domyślać się można, że owe nauki pobierał chętnie, uznając je za niezbędne w drodze do tronu i władzy królewskiej. Wielu historyków przychyla się do sądu, że Mieszko był dopuszczany wcześniej przez ojca do współrządów. Było tak prawdopodobnie rzeczywiście, ale źródła pozwalają owe współrządy udokumentować – jak już wiadomo – dopiero podczas drugiej fazy wojen z Niemcami.

W 1014 roku został wysłany do Czech w celu pozyskania tamtejszego księcia Oldrzycha dla antyniemieckich planów politycznych Chrobrego, ale książę czeski potraktował propozycje polski jako próbę skompromitowania go wobec cesarza i uznał je za prowokację. Była to podróż niebezpieczna, a co gorsza, bezowocna. Nienawiść Oldrzycha do Chrobrego sprawiła, że obszedł się z poselstwem polskim okrutnie, wiążąc jego uczestników, a następnie dokonując na nich mordu. Oszczędzono tylko Mieszka, ale i on oczekiwał grożącej mu egzekucji. Ratunek przyszedł w porę, na interwencję cesarza, który pod wpływem książąt niemieckich, a z pewnością i próśb Chrobrego, zażądał przekazania więźnia na dwór cesarski, skąd niefortunny poseł powrócił szczęśliwie do kraju, a dwór polski słał do Henryka II dary i podziękowania.

Niedługo potem (1015 r.) otrzymał Mieszko samodzielne zadanie obrony przed oddziałami cesarskimi przejścia do Wielkopolski przez Odrę pod Krosnem, które wypełnił chlubnie i zgodnie z założeniami taktycznymi ojca, nie bacząc na to, że wypominano mu niewdzięczność wobec cesarza za niedawno uratowane życie. Kiedy siły cesarskie były w odwrocie, zapędził się z oddziałem do Miśni i tylko wzbierająca w wody Łaba przeszkodziła mu zdobyć gród Miśnieński. Odznaczył się także podczas kampanii w 1017 r., uderzając na posiłkującego oddziały cesarskie Oldrzycha, pustosząc Czechy i uprowadzając ogromną liczbę ludności w celu osiedlenia jej w Polsce. Brał prawdopodobnie udział również w wyprawie na Ruś, lecz niedostatek przekazów źródłowych nie pozwala określić jego roli w tej zwycięskiej wojnie Chrobrego. Widać z tego, że był przysposobiany do objęcia steru rządów w Polsce przez wiele lat.

Również małżeństwo z Rychezą, córką Ezona, palatyna lotaryńskiego, i Matyldy, siostry cesarza Ottona III, było obliczone na długie lata panowania Mieszka i perspektywę przyjaznych kontaktów z antycesarską opozycją w Niemczech. Ślub odbył się w 1013 roku w Merseburgu, kiedy Mieszko liczył 23 lata. Wątpliwe zatem, aby Rycheza była pierwszą kobietą w życiu następcy tronu w Polsce, a tym bardziej kobietą wybraną przezeń na żonę. Konstruktorem związku był Chrobry. Jakkolwiek pożycie Mieszka z Rychezą znane jest dość słabo, to jednak wiadomo, że małżeństwo to nie było szczęśliwe. Tkwił w tym zawiązek późniejszych komplikacji i widmo (przeprowadzonego faktycznie) nieuniknionego rozwodu.

Śmierć Chrobrego i równoczesna niemal koronacja Mieszka II na króla Polski w 1025 r. zapoczątkowały dziesięcioletni okres jego samodzielnych, ale też dramatycznych i tragicznych rządów w kraju. Zrazu nic nie zapowiadało upadku królestwa i katastrofy osobistej jego władcy. Mieszko kontynuował politykę ojca wobec sąsiadów, nie zmieniał także polityki wewnętrznej. Na czasy powodzenia przypadła prawdopodobnie próba założenia przezeń biskupstwa w Kruszwicy oraz wyposażenie katedry w Bambergu. Atmosferę ich zatruwał jedynie konflikt z Rychezą, wydaloną z dworu królewskiego, wzgardzoną i zamienioną na inną kobietę, a także roszczenia o zaopatrzenie ze strony braci przyrodnich Bezpryma i Ottona, których usunął z kraju.

Zbliżały się lata nieszczęśliwe. Odżył konflikt z Niemcami, rządzonymi przez cesarza Konrada II, poirytowanego koronacją Mieszka oraz losami wzgardzonej Rychezy. Jesienią 1029 r. król polski uprzedził atak wojsk cesarskich na Polskę i pod Budziszynem zadał im dotkliwe straty. W roku następnym uderzył natomiast na ziemie saskie, których połać wschodnią silnie spustoszył. Na tym jednak zakończyło się, niestety, jego powodzenie wojenne.

Już w 1031 r. nastąpiło równoczesne uderzenie na państwo Mieszka II ze strony Niemiec i Rusi, kroki nieprzyjazne wszczęło również, pozostające dotąd w sojuszu z Polską, królestwo węgierskie. Pokój z sąsiadami został okupiony utratą Łużyc na rzecz cesarstwa, Grodów Czerwieńskich na rzecz Rusi, a także Słowacji, którą zagarnęły Węgry, i Moraw, które odebrali Czesi. Jednakże nie uderzenie niemiecko-ruskie poraziło Mieszka II, lecz przybycie do królestwa z siłami zbrojnymi z Rusi brata Bezpryma, który wkroczył do Gniezna, zmuszając króla w listopadzie tego tragicznego roku do opuszczenia kraju. Mieszko udał się do Czech, co okazało się decyzją błędną, gdyż pamiętano tam twarde rządy Chrobrego i Mieszkowe niedawne zagony wojenne. Nie znalazł tam zatem nie tylko pomocy, lecz nawet gościny. Polska tradycja dworska zawiera okropną informację, że uwięzionego króla polskiego okrutnie okaleczono, dokonując na nim kastracji.

Tymczasem w kraju rozgorzała wojna domowa, a to, czego dokonał w tych strasznych warunkach zhańbiony i poniżony Mieszko II, budzi wielki podziw. Zdołał się bowiem otrząsnąć z nieszczęść jeszcze na wygnaniu i w porozumieniu z młodszym, ale równie nienawidzącym Bezpryma, bratem Ottonem zmonotwać w kraju stronnictwo, które pozbyło się krwawego uzurpatora. Bezprym został bowiem zgładzony. Ułatwiło to Mieszkowi powrót do ojczyzny, skąd udał się po pomoc do cesarza. W lipcu 1032 roku pojawił się w Merseburgu z braćmi Ottonem i Dytrykiem (bratem stryjecznym) przed obliczem Konrada II, który udzielił mu wsparcia za cenę zrzeczenia się korony polskiej i zgody na uposażenie w kraju wspomnianych braci odrębnymi dzielnicami. Warunki te musiał przyjąć, nie rezygnując jednak z dążeń jedynowładczych, zwłaszcza że już w następnym roku zmarł Otto. Dytryk został zmuszony do wyjazdu zagranicę. W ten sposób w 1034 r. dokonał Mieszko wielkiego dzieła zjednoczenia Polski pod swoim berłem. Nie zdołał jednak doprowadzić do poprzedniej siły, gdyż już 10 maja tego roku zmarł przedwcześnie śmiercią naturalną. Pogląd, jakoby zginął z ręki własnego giermka, jest konstrukcją późniejszą i nieprawdziwą. Podobnie nauka odrzuciła pogląd o rzekomym Mieszkowym starszym synu, tak zwanym Bolesławie Zapomnianym, który miał po 1034 r. objąć w Polsce tron. W rzeczywistości następcą Mieszka II został jego jedyny syn Kazimierz Odnowiciel.

Nie doszło do tego od razu. Po śmierci Mieszka rządy objęła zrazu Rycheza, matka dorastającego Kazimierza. Panowanie rządnej władzy królowej trwało krótko, gdyż rychło zbuntowani możni pozbawili ją rządów na rzecz królewicza, który nie kwapił się jednak do przyjęcia z ich rąk berła monarszego, co przypłacił, tak jak i jego matka, wygnaniem z kraju. Na czele buntowników stał Miecław (nazywany też Masławem), nie pretendujący do roli władcy całej Polski, lecz odgrywający wówczas czołową rolę w kraju objętym zamieszkami wewnętrznymi.

To wszystko, co udało się ustalić o życiu i działalności Mieszka II, świadczy, że był to człowiek mocnego charakteru. Nie zdołały go złamać klęski dotykające królestwo, ani też nieszczęścia osobiste. Ogromna siła woli i wcale niemałe uzdolnienia dyplomatyczne i militarne umożliwiły mu odbicie się z dna upadku i poniżenia. Zdołał zebrać ziemie pod swoim władztwem, lecz prace nad umocnieniem zjednoczonej Polski przerwała mu śmierć. Byłby to z pewnością władca wielki, gdyby trafił na czasy bardziej sprzyjające. Problemów swojej epoki nie był w stanie rozwiązać. Przerosły one jego możliwości.

Janina Pałęcka

Tajemnica Agaty Christie

Siódmego stycznia 1926 roku w londyńskim dzienniku „Daily News" ukazał się sensacyjny anons: STO FUNTÓW NAGRODY, sumę na owe czasy zaiste ogromną, oferowano każdemu, kto dostarczy wiadomości o miejscu pobytu zaginionej jedenaście dni wcześniej pisarki Agaty Christie. Sprawa ta wzburzyła opinię publiczną, rzuciła cień na dobre imię męża popularnej pisarki, pułkownika Archibalda Christie, i dostarczyła brukowej prasie okazji do sensacyjnych nagłówków na szereg tygodni. Po czym ucichła na lat przeszło pięćdziesiąt. W tym czasie Agata Christie stała się narodową legendą, niemal żywym pomnikiem. Do śmierci najpopularniejszej pisarki naszych czasów – osiemdziesiąt pięć powieści przełożonych na sto trzy języki, piętnaście sztuk scenicznych, wśród których najpopularniejsza *Pułapka na myszy* grana jest w jednym z londyńskich teatrów od trzydziestu lat bez przerwy – nikt nie wracał do owych dramatycznych tygodni roku 1926. Zrobił to dopiero biograf Agaty Christie, Charles Osborne, wielce szanowany w Anglii dyrektor Rady do Spraw Sztuki, w książce zatytułowanej *Życie i zbrodnie Agaty Christie* wydanej w 1982 roku.

Powróćmy do tamtych dni.

Poprzedni 1925 rok był bardzo pomyślny dla młodej pisarki. Wymyślona przez nią postać korpulentnego detektywa belgijskiego Herkulesa Poirot została zaakceptowana przez czytelników. Książki rozchodziły się świetnie, czytelnicy domagali się stale nowych przygód pana Poirot, wydawca kusił coraz wyższymi stawkami. Lato 1925 roku Agata spędzała na Korsyce, w towarzystwie swej siostry; wykorzystała ten czas na napisanie *Błękitnego ekspressu*, jednej ze swych najświetniejszych powieści, majstersztyku precyzyjnej konstrukcji i zagadkowości. Ale po powrocie do Anglii dosięgła ją wiadomość o ciężkiej chorobie matki, którą Agata bardzo kochała. Jednocześnie pojawiły się ciężkie chmury nad jej małżeństwem. Pułkownik Christie zainteresował się nader poważnie młodą znajomą swej żony, panną Nancy Neel. W końcu poprosił żonę o rozwód, pragnąc poślubić Nancy. Agata odmówiła. Trzeciego grudnia doszło do poważnej kłótni między małżonkami i tego samego wieczoru pan Christie spakował walizkę i wyjechał ze swą ukochaną na weekend. W parę godzin później Agata zostawiła swą małą córeczkę pod opieką niańki i także wyjechała w nieznanym kierunku.

Sekretarka znalazła nazajutrz na jej biurku dwa listy: jeden do niej, z żądaniem odwołania wszystkich spotkań ustalonych na najbliższe dni, drugi do męża; co było w tym liście – nikt się nie dowiedział.

Charles Osborne z uporem godnym Herkulesa Poirot zabrał się do rozszyfrowania zagadki zniknięcia sławnej pisarki. Dotarł do żyjących jeszcze świadków, przestudiował wszystkie doniesienia prasowe, sięgnął do akt policyjnych. Przebieg wydarzeń owego grudnia 1925 roku był bez wątpienia niecodzienny.

Zaczęło się od listu noszącego podpis Agaty Christie. Dotarł on wkrótce po zniknięciu pisarki do rąk szefa policji hrabstwa Surrey, na terenie którego leżała posiadłość państwa Christie i wyrażał obawy nadawczyni listu o życie i prośbę o opiekę. Jednakże list nie precyzował, jakie to mianowicie niebezpieczeństwo grozi pani Christie. Wkrótce potem kilkunastoletni chłopiec natknął się w niezbyt odległej okolicy, zwanej Newlands Corner, opodal jeziora Silent Pool, na porzucony samochód pisarki. Światła były zapalone, na siedzeniu leżało futro i mała walizka z trzema sukienkami, pantoflami i innymi drobiazgami. W torebce było też prawo jazdy, przedawnione zresztą.

Wkrótce sprawa przeniknęła na łamy prasy i stała się sensacją dnia. Opinie dziennikarzy podzieliły się: jedni sugerowali samobójstwo wskutek depresji spowodowanej zdradą męża, inni optowali na rzecz zbrodni. Tok myślenia reporterów przypominał rozumowanie powieściowych detektywów. Poszlaki układały się logicznie, a podejrzenia koncentrowały na osobie męża.

Rozpoczęto zakrojone na wielką skalę poszukiwania. Setki ludzi przeczesywały las, sondowano przez kilka dni dno stawu. Zgłaszali się nieoczekiwani świadkowie: jakiś chemik zeznał, że Agata Christie wielokrotnie wypytywała go o najskuteczniej działające trucizny; jakaś kobieta przysięgała, że widziała pisarkę krążącą w tym właśnie dniu w pobliżu jeziora; miała sprawiać wrażenie nieprzytomnej.

Pułkownik Christie znalazł się w areszcie domowym, a jego telefon na podsłuchu. Pewnego dnia zarejestrowano fragment jego rozmowy z jednym z kolegów: padły słowa *„oni myślą, że zabiłem swoją żonę"*. Sędzia śledczy był już niemal zdecydowany podpisać nakaz aresztowania, gdy nagle sprawa przybrała nieoczekiwany obrót.

Do policji zgłosił się członek orkiestry z eleganckiego hotelu w wypoczynkowej miejscowości Harrowgate, oświadczając, że, jego zdaniem, bawiąca w tym hotelu od kilku dni elegancka dama, zameldowana pod nazwiskiem Teresa Neele, to nikt inny, jak zaginiona pisarka Agata Christie!

Gdy tylko wiadomość ta przeniknęła do prasy, tłum reporterów pospieszył do Harrowgate. Chcąc uprzedzić rywali potężny „Daily Mail" wynajął pociąg specjalny. Wbrew oczekiwaniom, rzekoma pani Neele już pierwszemu reporterowi, który pozdrowił ją jako „panią Christie", uprzejmie się odkłoniła, a następnie odpowiedziała, że nie potrafi wyjaśnić, skąd i jak znalazła się w Harrowgate, gdyż cierpi na amnezję i niczego nie pamięta.

Wiadomość o odnalezieniu Agaty Christie – prawdziwej czy rzekomej? – znalazła się na łamach dodatków nadzwyczajnych wielu dzienników. „Daily News" wysłał do niej

depeszę, którą natychmiast opublikował:

„Ze względu na powszechną krytykę przedsięwzięć łączących się z historią pani zniknięcia, stanowczo żądamy wyczerpujących wyjaśnień; mają do tego prawo tysiące osób, które uczestniczyły w niesłychanie kosztownych poszukiwaniach, a obecnie nie potrafią zaakceptować teorii o utracie pamięci".

Jednakże Teresa Neele zamknęła się w swym pokoju i odmówiła wszelkich wyjaśnień. Miejscowego konstabla poinformowała, że przybyła z Afryki Południowej, którą opuściła, by otrząsnąć się z szoku spowodowanego niedawną utratą dziecka. Prosiła o opiekę i zapewnienie ochrony przed natręctwem reporterów.

Zrozpaczona matka zachowywała się jednak dość dziwnie: tego samego wieczoru, podobnie zresztą jak w poprzednie dni, wzięła udział w dansingu, bawiąc się szampańsko i demonstrując publicznie solowy popis charlestona.

Zaalarmowany przez policję, przybył do Harrowgate pułkownik Archibald Christie. Pani Teresa Neele powitała go bez zdziwienia i oświadczyła swemu towarzystwu: *„To zabawne, właśnie przyjechał mój brat"*, – po czym udała się z pułkownikiem do ustronnego saloniku, gdzie – jak wspominają świadkowie – wywiązała się między nimi burzliwa wymiana zdań. Po rozstaniu pułkownik oświadczył prasie: *„Nie ulega wątpliwości, że rzekoma pani Neele jest moją żoną, panią Agatą Christie, która uległa kompletnej amnezji i nie zdaje sobie sprawy z tego, kim jest i gdzie się znajduje. Jutro wyjeżdżamy do Londynu; sądzę, że odpoczynek, spokój i pomoc specjalistów pozwolą jej wrócić do siebie i odzyskać pamięć"*. Tezę o utracie pamięci potwierdziło nazajutrz dwóch sławnych londyńskich psychiatrów. Nakazali, by pisarka pozostała w domu i aby nic i nikt nie zakłócał jej spokoju.

Reporterzy zostali odcięci od swej największej sensacji. Wówczas to właśnie „Daily News" ogłosił swój apel o informacje, poparty poważną sumą pieniędzy. Przynęta okazała się trafnie dobrana: już w parę dni później wpłynęła pierwsza informacja. Urzędnik sławnego sklepu Harrodsa zastrzegając całkowitą anonimowość, informował, że pani Agata Christie na kilka dni przed swym zniknięciem zgubiła podczas zakupów w ich sklepie cenny pierścionek. Niedługo później do Harrodsa nadszedł list z hotelu w Harrowgate z pytaniem o losy pierścionka i prośbą, by ewentualne informacje adresować na panią Teresę Neele.

Mistyfikacja wydała się być zdemaskowana ostatecznie. Prasa prześcigała się w złośliwościach pod adresem pisarki, oskarżając ją o wyrafinowaną próbę zrobienia sobie reklamy. Nikt nie zastanawiał się, że właśnie tego rodzaju reklamy nie potrzebowała autorka, której książki rozchodziły się w setkach tysięcy egzemplarzy, a w dodatku słynąca z powściągliwości, ukrywania swego prywatnego życia i niechęci do rozgłosu.

Pułkownik Christie po rycersku stanął w obronie żony. Wsparty orzeczeniami lekarskimi, potwierdzającymi amnezję, uzyskał prawne podstawy do oświadczenia, że wytoczy proces każdemu pismu, które nadal będzie powątpiewać w prawdomówność jego żony. Sprawa ucichła i wkrótce została zupełnie zapomniana; wiosną 1926 roku wybuchł w Anglii strajk generalny.

Zagadki zniknięcia Agaty Christie nie rozwikłał żaden Herkules Poirot. Charles Osborne rozmawiał z autorką *Pułapki na myszy* niedługo przed jej śmiercią. Był oczarowany bystrością umysłu, błyskotliwością i osobistym czarem wielkiej damy. Ale i on, w trakcie długich wywiadów, nie uzyskał wyjaśnienia. *„Nic nie pamiętam"* – powtarzała Agata Christie.

I prawdopodobnie tak właśnie było, konkluduje Osborne w swej książce. Pod wpływem szoku spowodowanego perspektywą rozstania z mężem, którego bardzo kochała, szoku wywołującego długotrwałe, niezwykle silne napięcie nerwowe, Agata Christie precyzyjnie zaaranżowała swoje zniknięcie, odtwarzając jak gdyby scenariusz jakiejś nie napisanej powieści. Znalazły się w niej wszystkie elementy zagadki: fałszywe tropy, prowadzące w kierunku rzekomego zbrodniarza – jej męża, inne tropy, sugerujące samobójstwo, i wreszcie owo zaskakujące rozwiązanie, nie pozwalające rozwiać do końca wszystkich wątpliwości. Wytrawna znawczyni techniki pracy policji skomplikowała ślady jedynie na tyle, by ich rozwikłanie nie zajęło zbyt wiele czasu prowincjonalnym konstablom i inspektorom. Podejrzenia rzucone na męża były na tyle realne, by pan Christie poczuł dreszcz niepokoju, ale nigdy nie był zagrożony naprawdę; być może starała się w ten sposób dać mu do zrozumienia, ile dla niej znaczy.

Ale to wszystko są tylko rozważania biografa. Prawdę o swym tajemniczym zniknięciu Agata Christie zabrała ze sobą do grobu.

Jerzy Siewierski

Duchy w Harrow Manor

– Duchy? Nie mówcie mi o nich! Te wszystkie historie o duchach są okropnie monotonne i mało pomysłowe. I zawsze bywają to opowieści z drugiej albo trzeciej ręki. Ktoś znał kogoś, którego ciotka... i tak dalej... Wiecie chyba, o co mi chodzi?

Stanley zapalił cygaro i popatrzył na nas wojowniczo. Jak zwykle uważał za stosowne mieć odrębne zdanie i demonstracyjnie się nim popisywać.

Był grudniowy wieczór i siedzieliśmy jak co tydzień we czwartki w klubie przy Bond Street, którego członkiem byłem już od lat prawie dwudziestu. Za oknami panowała typowa dla tej pory roku pogoda. To tylko na kartach powieści angielskich grudzień przysypany jest puszystym, nieskazitelnie białym śniegiem, który skrzy się milionami iskierek w promieniach słońca. W rzeczywistości o tej porze roku pogoda na Wyspach jest zwykle paskudna. Siąpi wtedy deszcz, a wszystko zasnute jest burymi mgłami i przeniknięte ohydną wilgocią. Wiatry zaś bywają wówczas wyjątkowo nieprzyjemne.

I tego wieczora londyńskie ulice zalewane były potokami deszczu i wymiatane porywami przenikliwego wichru. Za to w naszym starym klubie było jak zwykle cicho i przytulnie. Dobroczynny gaz dawał przyjemne i ciepłe oświetlenie, ogień na kominku pozwalał zapomnieć o chłodzie panującym za szczelnie zasłoniętymi pluszowymi kotarami oknami, a głębokie i wygodne fotele nakłaniały do leniwego wypoczynku. Jak się często w takie wieczory zdarzało, po wyczerpaniu najnowszych ploteczek o znajomych i znajomych znajomych ktoś zaczął wspominać jakąś zasłyszaną historyjkę o niewytłumaczalnych zjawiskach, sugerujących istnienie nadnaturalnej, duchowej siły zdolnej czasem manifestować swą obecność.

I to właśnie wywołało wojowniczą uwagę Stanleya.

Herbert, któremu Stanley przerwał dość zresztą nieskładnie snutą opowieść, stropił się nieco.

– Nie masz chyba racji, Stanleyu – powiedział – istnienie duchów, a ściślej mówiąc różnych ponadnaturalnych manifestacji zostało dawno udowodnione. Nie mówiąc już o takich sławnych widmach jak szary chłopiec z Surrey czy duch lady Beatrix w St. Medows. Wystarczy wspomnieć tylko o ostatnich badaniach prowadzonych przez Towarzystwo Metapsychiczne w domach, w których straszy. Badano te sprawy bardzo starannie, wykluczono wszelkie możliwe naturalne przyczyny i stwierdzono, że istnieją domy, w których nie sposób spokojnie spędzić nocy. Profesor Lund mógłby ci powiedzieć niejedno na ten temat...

Wezwany w ten sposób przez Herberta do udzielenia pomocy profesor Lund, znakomity etnograf, a zarazem ważna figura we władzach Towarzystwa Metapsychicznego, był starym członkiem klubu i od czasu do czasu czynił nam zaszczyt, przyłączając się do pogawędek prowadzonych w naszym ścisłym kółku. Teraz siedział jednak milczący, jakby nieobecny.

Stanley, widząc, że Herbert pozostaje osamotniony, nie myślał ustąpić:

– Domy, w których straszy? Bzdura, mój chłopcze! Słyszałem o starym domu na wybrzeżu Walii. Istniało w nim podziemne przejście łączące posiadłość z miejscowym cmentarzem. Krążyła legenda, że w tym przejściu zamordowano kiedyś rozbójnika, którego duch miał odtąd włóczyć się po piwnicach. Prawie co noc dochodziły stamtąd jakieś tajemnicze szmery, hałasy, a nawet jakby jakieś pijackie przyśpiewki. Właściciel domu był bardzo dumny ze swego ducha i chętnie o nim opowiadał. Aby zrobić mu przyjemność, goście musieli zapewniać gospodarza, że te nocne hałasy wywierają na nich niesamowite wrażenie...

Pewnego razu jednak wszystko to skończyło się nagle i raz na zawsze. W tym samym czasie usunięto ze służby w tym domu kamerdynera, który już zbyt często zaglądał do kieliszka i zupełnie opuścił się w obowiązkach. Potem okazało się, wyznała to pokojówka, której ów kamerdyner nie dotrzymał obietnicy małżeństwa, że to właśnie on, stary pijanica, całymi latami buszował po piwnicach, spijał wino prosto z beczek – bo trzeba wam wiedzieć, że w tym domu starodawnym zwyczajem przechowywano wino w beczkach – i po pijanemu wyprawiał najrozmaitsze brewerie, które składano potem na konto owego widma...

Uśmiechnęliśmy się słuchając tej zabawnej historyjki, a Stanley, zachęcony naszą aprobatą, tokował dalej:

– Kiedy słyszę, jak ktoś opowiada o nawiedzonym domu, to mówię mu tak: Kup, przyjacielu, porządne pułapki na szczury i wyłóż trutki. Najczęściej te wszystkie niespokojne poltergeisty mają spiczaste pyski, ostre zęby i bardzo długie ogony...

Skończył, zaciągnął się dymem z cygara i powiódł po nas triumfalnym spojrzeniem.

Jego pewność siebie wywołała moją przekorę. Jakoś nigdy nie mogę zdobyć się na pełną aprobatę ludzi, którzy nie dopuszczają do siebie ani cienia myśli, że wygłaszane przez nich sądy nie są jednak prawdami objawionymi i mogą budzić wątpliwości.

– Nie wiem, jak bywa najczęściej z nawiedzonymi domami – powiedziałem – ale zdarzają się wypadki zupełnie niewytłumaczalne. Sam zresztą zetknąłem się z czymś takim. I muszę wam wyznać, że długo nie potrafiłem o tym doświadczeniu zapomnieć...

– Jeżeli w tym domu nie było szczurów – stanowczo oznajmił Stanley – a tego właściwie nie można zupełnie nigdy wykluczyć, to prawdopodobnie były tam przeciągi. W starych domach, a straszy przecież tylko w starych budowlach, jest mnóstwo rozmaitych przewodów kominowych i wentylacyjnych, często już nieczynnych, o których istnieniu nikt nie pamięta. Nie macie pojęcia, co potrafią zdziałać przeciągi... Prądy powietrza krążące w starych przewodach mogą spowodować tak niesamowite odgłosy, że...

– W tym wypadku, Stanleyu, z pewnością nie były to przeciągi ani szczury. Charakter zjawisk, które występowały w tym domu, zupełnie wykluczał możliwość takiego tłumaczenia. Mogę wam zresztą opowiedzieć, co mnie tam spotkało. Oczywiście, jeżeli uznacie, że może to być interesujące...

Wszyscy, łącznie z demonstrującym sceptyczny uśmieszek Stanleyem, wyrazili chęć wysłuchania tej historii, więc rozpaliwszy porządnie fajkę, zacząłem opowieść.

– Zdarzyło się to jesienią roku 1883 w Glebshire, a ściślej w niewielkiej wiosce opodal St. Mary's Moor. Ten nawiedzony dom nazywał się Harrow Manor i zbudowano go gdzieś za czasów królowej Anny...

– Ach, Harrow Manor! – przerwał mi milczący dotąd Pearcy. – Bardzo piękny dom! Postawiono go chyba około roku 1710. To doskonały przykład ówczesnej wiejskiej architektury...

Pearcy był zapalonym wielbicielem starożytności i miał skatalogowaną w pamięci chyba większość starych angielskich budowli. Spojrzałem na niego pytająco, a on uśmiechając się przepraszająco, powiedział:

– Nie przeszkadzaj sobie, Haroldzie... Tak mi się tylko wyrwało. Przepraszam.

Skinąłem głową i kontynuowałem opowieść:

– Dom był stary, bardzo ładny i jak już mówiłem, nawiedzony. Ale żebyście zrozumieli, jak doszło do tego, że się w nim znalazłem w listopadzie roku 1883, muszę się cofnąć w jeszcze odleglejszą przeszłość. W Eton przyjaźniłem się z niejakim O'Toole'em. Walter był Irlandczykiem i bardzo poczciwym chłopiskiem. Przez kilka lat dzieliliśmy jedną sypialnię. Potem nasze drogi rozeszły się. Ja znalazłem się w Cambridge, a Walter, który nie zdradzał zbyt wielkiego zamiłowania do łaciny i greki, wylądował w Sanhurst. Od czasu do czasu pisywaliśmy do siebie, ale jak to najczęściej bywa w takich wypadkach, zdarzało się to coraz rzadziej i rzadziej. W końcu całkowicie zaprzestaliśmy korespondencji.

Potem dochodziły do mnie tylko sporadyczne, raczej przypadkowe wieści o jego losach. Walter, skończywszy Sanhurst, objął służbę w pułku kawaleryjskim, który stacjonował w Bengalu, i to na samym pograniczu. Ranny w czasie wojny z Afganami, otrzymał odznaczenie za męstwo okazane w tej kampanii. Był więc dobrym żołnierzem, a że znałem jego inteligencję i zdolności, wydawało mi się, że droga kariery wojskowej stoi przed nim otworem. Byłem pewien, że jeżeli zdarzy mi się go kiedyś po latach spotkać, będzie z pewnością nosił generalski mundur.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy po jakimś czasie powiedziano mi, że odszedł ze służby. Przyczyną gwałtownego załamania się jego wojskowej kariery było niefortunne małżeństwo. Znacie wszyscy obyczaje panujące w naszej armii, a zwłaszcza w elitarnych pułkach kawaleryjskich ze starą tradycją. Pewnych postępków nie wybacza się tam nigdy, nawet najzdolniejszym i najmężniejszym oficerom. Walterowi nie wybaczono małżeństwa. Początkowo próbował walczyć, ale presja otoczenia i dokuczliwe szykany, których nie szczędzili mu przełożeni, złamały tego dzielnego człowieka. Po roku zmagań podał się do dymisji, którą skwapliwie przyjęto.

Jego winą było to, że niepomny tradycji obowiązujących w pułku, poślubił nie jakąś posażną pannę, która potrafiłaby wywieść swój ród od czasów zamierzchłych, ale dziewczynę miejscową, tubylkę.

Takie związki, tolerowane od biedy w służbie cywilnej czy wśród podoficerów, są czymś absolutnie niedopuszczalnym w korpusie oficerskim. Zgorszenie i oburzenie było więc ogromne. I nic tu nie pomogło, że dziewczyna była podobno bardzo piękna i wykształcona, a Walter poznał ją w zupełnie nieprawdopodobnie romantycznych okolicznościach. Dowodzony przez niego patrol rozgromił bandę thugów, którzy właśnie zamierzali uśmiercić ową dziewczynę w sposób szczególnie okrutny. Chcieli ją spalić na stosie, choć wcale nie była wdową, które w Indiach często bywają narażone na tego rodzaju śmierć... Thugowie przywiązali dziewczynę do jakiegoś drzewa, obłożyli całą górą suchego chrustu i przystroili w trzy wieńce z kwiatów lotosu.

– Trzy wieńce z kwiatów lotosu? Na pewno trzy? – przerwał mi z nagłym zainteresowaniem profesor Lund, w którym zapewne obudził się etnograf...

– Tak mi właśnie opowiadano, panie profesorze. To zapewne jakiś barbarzyński rytuał...

– Właśnie... słyszałem o czymś takim... – Profesor pokiwał w zamyśleniu głową, pyknął z fajki i w milczeniu oczekiwał dalszego ciągu opowieści.

– Walter zjawił się dosłownie w ostatniej chwili, kiedy thugowie zabierali się już do podpalania stosu. Ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Omdlała z przerażenia dziewczyna, której Walter osobiście rozciął więzy, po ocuceniu podziękowała mu piękną angielszczyzną za ocalenie, a po miesiącu odbył się ich ślub.

Po wystąpieniu z wojska Walter pozostał w Bengalu. Podjął pracę jako skromny urzędnik w służbie cywilnej. Tu jego małżeństwo było co prawda tolerowane, ale trudno powiedzieć, żeby nie utrudniało mu życia. Mimo swych niewątpliwych zdolności nie miał właściwie żadnych perspektyw awansu.

Podobno niewiele się tym przejmował i uważał, że jest szczęśliwy, szczególnie gdy żona urodziła mu córeczkę.

Idylla ta jednak skończyła się wkrótce, i to wielkim nieszczęściem. Thugowie nie zapomnieli o niedoszłej ofierze. Gdy pewnego dnia Walter wrócił z podróży służbowej, pełna niepokoju służba powiadomiła go o tajemniczym zniknięciu żony. Ostatni raz widziano ją w wigilię jego przyjazdu, około południa, jak się przechadzała, nucąc jakąś piosenkę, alejkami ogrodu, który otaczał ich dom. I właśnie w tym ogrodzie znaleziono ją w końcu w wyniku długich poszukiwań, nakazanych przez zrozpaczonego Waltera. Jej ciało było starannie ukryte w gąszczu kolczastych krzewów. Uduszono ją splotami trzech wieńców z kwiatów lotosu. Wieńców identycznych z tymi, jakie nosiła na szyi, gdy Walter ocalił ją od śmierci. Coroner stwierdził, że

śmierć pani O'Toole nastąpiła w wyniku zbrodniczego działania jakiejś nieznanej osoby lub osób, ale nikt nie miał wątpliwości, że była to sprawka tych samych fanatycznych thugów, którzy już raz próbowali się z nią rozprawić.

Dowiedziałem się o tej przerażającej historii od znajomego, który gdy się to wszystko wydarzyło, przebywał w Indiach, gdzie sprawa ta była wtedy bardzo głośna. Głęboko współczułem dawnemu przyjacielowi i było mi przykro, że oddalony o tysiące mil, nie mogę mu w żaden sposób pospieszyć z pomocą czy choćby ze słowami pociechy, które w takich sytuacjach szczególnie się liczą. Zajęty jednak swoimi sprawami, szybko zapomniałem o nieszczęściu Waltera. Byłem przekonany, że pozostał w Indiach i najprawdopodobniej nie spotkam go już nigdy.

List, jaki od niego otrzymałem w październiku roku 1883, był dla mnie ogromnym i bardzo miłym zaskoczeniem. Walter pisał, że właśnie niedawno powrócił na stałe do Anglii i ktoś ze znajomych dał mu mój adres. Mieszkał wraz z córką w pięknym starym domu, który kupił nad morzem w Glebeshire w okolicach St. Mary's Moor. Zapewniał, że przez wszystkie lata, które minęły, nieraz mnie wspominał, a teraz, kiedy znowu znaleźliśmy się nie tak daleko od siebie, byłby szczęśliwy, gdyby udało nam się odnowić starą przyjaźń. W zakończeniu bardzo miłego listu zapraszał mnie serdecznie do odwiedzenia go w jego wiejskiej samotni, w której moglibyśmy powspominać dawne dobre czasy.

Gdy czytałem ten tak bardzo serdeczny i bezpośredni list, ożyły wszystkie wspomnienia o od dawna nie widzianym przyjacielu, miałem przed oczami jego roześmianą, poznaczoną piegami irlandzką gębę, przypomniał mi się charakterystyczny akcent i tembr jego głosu. Wszystko to było tak wyraźne, jakbym rozstał się z Walterem nie przed dwudziestu laty, ale dopiero wczoraj.

Nie miałem żadnych konkretnych planów na najbliższą przyszłość ani obligujących zobowiązań towarzyskich, przyjąłem więc zaproszenie z radością. Odpisałem Walterowi jeszcze tego samego dnia. W kilka dni później otrzymałem potwierdzenie odbioru listu i któregoś wieczoru w pierwszych dniach listopada znalazłem się na dworcu Victoria, by zająć wygodne miejsce w przedziale pierwszej klasy pociągu do Polchester. W Polchester miałem przesiąść się do kolejki łączącej to miasto z St. Mary's Moor. Podróż była dość długa i chyba męcząca, ale nie zwróciłem na to większej uwagi. Przez cały czas zaprzątnięty przywoływaniem wspomnień o przyjacielu, którego miałem wkrótce uściskać, bez większych kłopotów dotarłem na miejsce.

Dom, w którym Walter mieszkał, wywarł na mnie bardzo korzystne wrażenie. Ta piętrowa, otoczona pięknym parkiem budowla miała w sobie jakiś dostojny i pogodny spokój, który sprawiał, że człowiek przekraczający jej próg odnosił ledwo uświadamiane przekonanie, iż w tym miejscu nie może go spotkać nic przykrego. Zapamiętałem tak dobrze to nieuchwytne, przelotne wrażenie chyba tylko dlatego, że tak bardzo kontrastowało z tym, co później przeżyłem pod dachem Harrow Manor.

Walter przyjął mnie bardzo serdecznie. W pierwszej chwili byłem nieco przerażony zmianami, jakie zaszły w jego wyglądzie. Nie chodziło już nawet o to, że jego bujna ruda czupryna mocno się przerzedziła i poszarzała – zapewniał mnie, że było to przede wszystkim wynikiem wieloletniego noszenia korkowego kasku – a niegdyś różowa cera przybrała odcień miedzi, jak to się zwykle dzieje u ludzi, którzy długie lata spędzili w koloniach, ale o to, że z jego twarzy zniknął bez śladu ten tak dlań charakterystyczny nastrój wewnętrznej pogody i optymizmu. Na obliczu Waltera wypisana była tragedia, jaką przeżył. Nawet ktoś, kto nic nie wiedział o losach mego przyjaciela, musiał, patrząc na niego, domyślać się, że człowiek ten nie miał łatwego życia. Niemało czasu minęło, zanim przyzwyczaiłem się do nowego wyglądu mego przyjaciela.

Zainstalowano mnie na piętrze. Pokój, który oddano do mojej dyspozycji, był nieduży, ale przyjemnie umeblowany i na szczęście nie było w nim tych wszystkich indyjskich szkaradzieństw, których tak serdecznie nie cierpię. Chodzi mi o te okropne brązowe statuetki wielorękich bogów i bogiń poskręcanych konwulsyjnie i wpatrujących się w nas z przyklejonymi do koszmarnych twarzy bezmyślnymi, ale zarazem okrutnymi uśmieszkami. Domy ludzi, którzy przez jakiś czas mieszkali w Indiach, z reguły pełne są takich paskudztw. Ich dumni właściciele każą nam je podziwiać, a my chcąc okazać się grzeczni, udajemy zachwyt dla tych okropieństw. Jadąc do Harrow Manor oczywiście nie rozmyślałem na te tematy, ale widać podświadomie spodziewałem się zastać tego rodzaju pamiątki w domu mego przyjaciela, gdyż dobrze zapamiętałem uczucie ulgi, jakie mnie ogarnęło, kiedy zauważyłem, że nie tylko w moim pokoju, ale i w pozostałych pomieszczeniach nie ma śladu czegoś podobnego. Wnętrze wyglądało tak, jak powinno wyglądać w porządnym angielskim, nieco zaniedbanym domu na wsi, a nie jak w muzeum osobliwości czy orientalnej świątyni jakiegoś barbarzyńskiego kultu.

Jedynym sygnałem wskazującym na związek mieszkańców tej siedziby z perłą naszego imperium była puszysta skóra tygrysia, rozpostarta przed kominkiem w salonie.

Przed tym właśnie kominkiem zasiedliśmy z Walterem po kolacji do butelki whisky. Rozmowa nie kleiła się zbytnio. Jadąc do Harrow Manor byłem przekonany, że z łatwością znajdę wspólny język z moim przyjacielem. Tymczasem okazało się, że na razie niewiele mamy sobie do powiedzenia. Sprawiła to zapewne bariera czasu, która nas od siebie oddzieliła.

Po pierwszym okresie ożywionego i dosyć chaotycznego wspominania najrozmaitszych wydarzeń z odległej przeszłości, urozmaiconego sprzeczkami o niezbyt dobrze lub odmiennie zapamiętane szczegóły, rozmowa zaczęła przygasać. Po prostu nie bardzo wiedzieliśmy, o czym mamy ze sobą mówić. Sytuację pogarszało jeszcze, że krępowałem się pytać o to, co mnie naprawdę interesowało, a więc o historię tak tragicznie zakończonego małżeństwa Waltera. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że rozdeptywanie świeżych jeszcze ran byłoby wyjątkowo nie na miejscu, a Walter nie zdradzał żadnej ochoty do opowieści o tych wydarzeniach. Mówiąc o swoim pobycie w Indiach, nie uczynił nawet najmniejszej aluzji do swego małżeństwa.

W końcu jednak zdecydowałem się zapytać o córkę.

W jego martwych oczach, w których kiedyś płonęły iskierki przekornej wesołości, dostrzegłem teraz błysk nagłego ożywienia.

– Ach, Lilith! Oczywiście, że jest ze mną. Poznasz ją jutro. To naprawdę słodkie i kochane dziecko... – zamilkł na chwilę, a potem powiedział cicho: – Wiesz, stary, ona jest dla mnie właściwie wszystkim. Wszystkim, co mi drogiego pozostało... – Opuścił wzrok i, wyraźnie zażenowany swym niespodziewanym wyznaniem, począł gwałtownie grzebać pogrzebaczem w kominku. Po chwili znowu podniósł na mnie spojrzenie i rzekł: – Poznasz ją jutro. Sam się przekonasz, jaka to miła i dobrze wychowana dziewczynka... Przyjechałeś zbyt późno. Lilith położyła się już spać... Nie czuła się chyba dziś zresztą najlepiej. Widzisz – dodał, a w jego głosie wyczułem ton zaniepokojenia – ona ostatnio, niestety, często czuje się nie najlepiej. I to mnie bardzo

niepokoi... Pocieszam się, że jest to tylko przejściowe. Wiesz, gwałtowna zmiana klimatu i tak dalej... Dla delikatnego organizmu dziecka urodzonego i wychowanego w Indiach pierwsze spotkanie z naszym kochanym angielskim klimatem musi być porządnym wstrząsem... Wydaje mi się także, że Lilith przeżywa trochę rozstanie z Indirą. To chyba zresztą było nieuniknione... Dzieci są tak wrażliwe i tak przywiązują się do osób, z którymi stale przebywają...

– Kto to jest ta Indira?

– Jej piastunka. Bengalka oczywiście. Była przy Lilith od chwili urodzenia... Została oczywiście w Dżaraiphur. Przez pewien okres myślałem, żeby ją zabrać do Anglii, lecz szybko z tego zrezygnowałem. Indira była na miejscu w tamtym świecie, w tamtym domu... Wydało mi się jednak, że nie pasowałaby zbytnio do tego wszystkiego tu – wymownym gestem wskazał wnętrze salonu – poza tym, wyznam ci, że jednym z ważniejszych powodów, dla których zdecydowałem się po tylu latach na powrót, było pragnienie, żeby Lilith wychować na prawdziwą angielską miss. Przecież – w spojrzeniu Waltera, gdy to mówił, wyczytałem gorącą prośbę o zaakceptowanie jego punktu widzenia – Lilith jest Angielką... a tam, w Bengalu, zawsze, na każdym kroku przypominano by jej o mieszanym pochodzeniu. Rozumiesz więc chyba – powiedział to tak, jakby się przed kimś usprawiedliwiał – dlaczego zdecydowałem się, że pozostawimy Indirę w Dżaraiphur. Wiedziałem, że Lilith przeżyje mocno to rozstanie, ale nie umiałem znaleźć innego wyjścia. Musiałem je rozdzielić...

– I miałeś rację! – wykrzyknąłem – dziewczynce potrzebna jest niewątpliwie nie kolorowa piastunka, która z pewnością opowiadała jej różne barbarzyńskie bajki, ale solidna angielska guwernantka, który by ją nauczyła wszystkiego, co powinna umieć dobrze wychowana angielska panienka...

– Otóż to! – podchwycił skwapliwie Walter. – Nieszczęście polega jednak na tym, że mam ogromne kłopoty z guwernantkami. Zdawało mi się zawsze, że pojęcie „angielska guwernantka" jest synonimem rzetelności i poczucia obowiązku. Okazało się jednak, że nic bardziej mylnego! Jesteśmy w Anglii dopiero od miesiąca, a już trzy wychowawczynie przewinęły się przez ten dom... Ostatnia opuściła nas przedwczoraj... Nie masz pojęcia, jakie to kłopotliwe... Lilith potrzebna jest przecież kobieca opieka. Na szczęście jutro przyjeżdża nowa guwernantka. Ma najlepsze świadectwa, jakie można sobie wyobrazić. Zresztą rozmawiałem z nią osobiście. Wywarła na mnie jak najlepsze wrażenie.

Wygląda jak uosobienie zdrowego rozsądku, opanowania i odpowiedzialności... Mam nadzieję, że tym razem się nie zawiodę. Panna Alice chyba zaaklimatyzuje się w naszym domu...

– Czy nosi okulary, jest starannie zapięta pod szyję i przypomina zasuszony eksponat z muzeum historii naturalnej? Jeżeli tak, to wszystko będzie raczej w porządku? – zauważyłem żartobliwie.

Roześmiał się, a ja z przyjemnością stwierdziłem, że choć przez chwilę podobny był do dawnego Waltera.

– Muzealnego eksponatu chyba nie przypomina, ale nosi okulary...

– W ostateczności i to powinno wystarczyć... – powiedziałem ze sztuczną powagą – bądź dobrej myśli, stary...

Od tego momentu rozmowa nasza stała się żywsza i bardziej swobodna, choć w zasadzie to raczej ja opowiadałem mu o sobie, a Walter ograniczał się tylko do zadawania pytań i króciutkich komentarzy do tego, co usłyszał.

Rozstaliśmy się bardzo późno, już chyba po północy.

Wróciwszy do swego pokoju, spostrzegłem, że do rozniecanego tam wcześniej ognia nikt nie dorzucał paliwa. Kominek wygasł i w sypialni panował przenikliwy ziąb. Rozebrałem się więc szybko, położyłem do łóżka i zdmuchnąłem świece. Choć zwykle bardzo trudno zasypiam na nowym miejscu, tym razem byłem tak utrudzony podróżą, że prawie natychmiast zapadłem w głęboki, pozbawiony jakichkolwiek marzeń sen.

Nie wiem, co mnie właściwie obudziło. Nie był to chyba żaden szmer czy hałas. Po gwałtownym ocknięciu się byłem od razu zupełnie przytomny i pilnie wsłuchiwałem się w ciemność. Jedynym dźwiękiem, jaki odnotowałem w świadomości, było miarowe tykanie mego zegarka, który jak zwykle, układając się do snu, położyłem na nocnym stoliku.

Nie! Z pewnością to, co mnie obudziło, a miałem dogłębne przeświadczenie, że zostałem przez coś obudzony, nie było szmerem czy innym dźwiękiem. Było to przemożne i natrętne wrażenie czyjejś obecności w moim pokoju. Nic nie słyszałem i nic nie widziałem, gdyż kominek od dawna wygasł i wokół panowała głęboka ciemność, a mimo to byłem święcie przekonany, że gdzieś w pobliżu czai się żywa istota, a co więcej, że obserwuje mnie z wielkim zainteresowaniem.

Nie powiem, żebym czuł strach. Wtedy nie bałem się jeszcze. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że jest to coś, czego można się obawiać. Byłem po prostu zaskoczony tą dziwaczną nocną wizytą.

W pewnej chwili odniosłem dojmujące wrażenie, że owa nie widziana przeze mnie istota zbliżyła się jeszcze bardziej i stoi tuż obok mego łóżka. Jednocześnie poczułem zapach. Delikatny, ale wyraźny... choć trudny do zidentyfikowania. Coś jakby woń kadzidła zmieszana z zapachem, jaki niekiedy wydzielają te szkatułki z egzotycznego drewna, które można kupić w antykwariatach lub podziwiać w mieszkaniach ludzi powracających z kolonii. I wtedy po raz pierwszy poczułem niepokój.

– Jest tu kto? – zapytałem, a głos mój w tej absolutnej ciszy zabrzmiał nieprawdopodobnie głośno.

Odpowiedziało mi całkowite milczenie.

Sięgnąłem ręką po zapałki, które leżały na nocnym stoliku, obok lichtarza. Wymacałem je w ciemności. Dwie pierwsze nie chciały się palić. Potarte, rozbłyskały niebieskim płomieniem, który jednak gasł natychmiast, jakby przez kogoś zdmuchnięty. Świecę udało mi się zapalić dopiero trzecią zapałką. W tej samej chwili, gdy ciepłe światło płomyka świecy wydobyło z mroku wszystkie szczegóły wnętrza pokoju, zrozumiałem, że istota, której obecność wyczuwałem jeszcze przed chwilą, właśnie mnie opuściła. Dlatego fakt, że nikogo nie zobaczyłem, nie był dla mnie zaskoczeniem.

– Jeśli myślisz, Haroldzie – wtrącił Stanley, korzystając z krótkiej przerwy, jaką zrobiłem w swojej opowieści – że to, o czym nam opowiadasz, przekonało mnie choć w najmniejszym stopniu do istnienia duchów i nawiedzonych domów, to jesteś w błędzie... Byłeś wtedy, stary, mocno zmęczony podróżą, podekscytowany spotkaniem z od dawna nie widzianym przyjacielem i wypiłeś o jedną czy dwie whisky za dużo. Kiedyś, po wieczorze spędzonym w wesołym towarzystwie, obudziłem się nagle w środku nocy i możesz mi wierzyć albo nie, lecz byłem święcie przekonany, że jestem lisem, którego za chwilę dopadną psy gończe... To było tak realne i przerażające doznanie, że jeszcze w tej chwili robi mi się nieprzyjemnie na jego wspomnienie... Innym znowu razem...

– Troszkę cierpliwości, chłopie – przerwałem – jeszcze nie skończyłem. Posłuchaj, co było dalej... Otóż już w chwilę

po zapaleniu świecy pomyślałem akurat to samo, co ty mi teraz sugerujesz. Sądziłem, że uległem jakiemuś niedorzecznemu złudzeniu. Dziwaczne wrażenia, które tak dobrze zapamiętałem, były bardzo ostre, wyraźne, ale przecież nie mogły mieć nic wspólnego z rzeczywistością... Okno i drzwi były zamknięte od wewnątrz, sprawdziłem to natychmiast, a w niewielkim pokoju z pewnością nikogo poza mną nie było. Na wszelki wypadek trochę się wstydząc samego siebie, zajrzałem nawet pod łóżko i do szafy. Po chwili byłem w zupełności pewien, że wszystko rozegrało się w mojej, nie wiedzieć czemu, pobudzonej wyobraźni. O duchach nawet nie pomyślałem. Wtedy jeszcze nie... Zgasiłem świecę i z powrotem znalazłem się w łóżku. Wkrótce usnąłem i spałem spokojnie aż do samego rana.

Obudziłem się stosunkowo późno. Przez jakiś czas marudziłem, być może oczekując kogoś, kto zjawi się z wiadomością, że czas już schodzić na śniadanie, ale nie doczekałem się nikogo. Zszedłem więc sam. I wtedy właśnie w pełnym świetle dnia zauważyłem coś, na co wieczorem nie zwróciłem uwagi. Otóż powiedziałem już wam, że Harrow Manor prezentował się właśnie tak, jak powinien wyglądać nieco zaniedbany angielski dom na wsi. Chodzi mi oczywiście o tę miłą atmosferę trochę zaniedbanej codzienności, która tak różni wiejskie siedziby od wybłyszczonych salonów miejskich rezydencji. Gdy zszedłem rano na parter, odniosłem wrażenie, że tej niedbałości jest w Harrow Manor po prostu nieco za wiele, że zbyt zbliża się ona do tego, co już nie jest swojską niedbałością, ale zwyczajnym zapuszczeniem. Mówiąc po prostu, dom aż się prosił o solidne posprzątanie. Zauważyłem, że kurze nie są porządnie wytarte, na ścianach obok złoconych ram obrazów pojawiły się delikatne zaczątki pajęczyn i nie znalazł się nikt, kto by się zdecydował zeskrobać z parkietów grudki wosku, który nakapał ze świeczników. Pomyślałem, że służba w Harrow Manor okropnie zaniedbuje swoje podstawowe obowiązki. Na miejscu Waltera z pewnością bym tego nie tolerował.

I rzeczywiście. Stan, w jakim znajdował się ten piękny, stary dom, wiązał się z problemem służby. Dowiedziałem się tego od Waltera już na początku rozmowy, jaką wkrótce rozpoczęliśmy. Spotkałem przyjaciela przy drzwiach jadalni.

– Witaj, Haroldzie! – powiedział uśmiechając się z lekkim zażenowaniem. – Przepraszam serdecznie, że nikt cię nie zawiadomił o śniadaniu, ale właśnie ze śniadaniem były dziś poważne kłopoty. Na szczęście już po wszystkim i za chwilę je podadzą...

– Kłopoty ze śniadaniem? – zdziwiłem się, zupełnie nie pojmując, co takiego Walter może mieć na myśli.

– Ściślej – wyjaśnił – kłopoty ze śniadaniem są pochodną o wiele poważniejszych kłopotów ze służbą. Tutejsza służba jest okropna! Zupełnie nie wiem, co mam z tym wszystkim robić! – poskarżył się żałośnie i bezradnie rozłożył ręce...

Roześmiałem się serdecznie.

– Musisz się na nowo przyzwyczaić do starego kraju i zapomnieć o Indiach. Tam zapewne otaczał cię tłum wiernych ciemnoskórych służących, którzy czekali tylko na najmniejsze skinienie, aby natychmiast zaspokoić najdziwniejsze nawet zachcianki mądrego sahiba... Zapomnij o tym. Tu jest Anglia. Nasi służący to urodzeni lenie i rozpuszczone nygusy. W dodatku ostatnimi czasy okropnie zdemoralizowani przez niemądrą agitację liberałów. Zamiast o wypełnianiu obowiązków myślą o powszechnym prawie wyborczym i temu podobnych mrzonkach. Ale jest na to rada. Trzeba po prostu trzymać ich mocno w garści i nigdy nie popuszczać cugli. Na usługach tych ludzi można polegać tylko wówczas, gdy dobrze znają swoje miejsce i nie próbują spoufalać się z nami. Wtedy jest wszystko w porządku. Mogę cię zapewnić, że nigdy nie mam żadnych kłopotów ze śniadaniem...

Uśmiechnął się gorzko:

– Masz rację, Haroldzie, jest tylko pewna maleńka trudność. Można coś trzymać mocno w garści tylko wtedy, jeśli się to coś ma. Tymczasem kłopot polega nie na tym, że kucharka opóźniła się z przygotowaniem grzanek, ale na tym, że obecnie w Harrow Manor w ogóle nie ma kucharki. Odeszła właśnie wczoraj...

– Ach, teraz rozumiem. To rzeczywiście poważny kłopot.



Może ją chyba jednak ktoś chwilowo zastąpić... aż do czasu, gdy zaangażujesz nową...

Smutny uśmiech nie znikał z twarzy Waltera.

– Widzisz, sprawa nie jest taka prosta. Nie bardzo kto ma zastąpić kucharkę. Właściwie wszyscy odeszli. Została jedynie głupawa pokojówka, na której głowę w ciągu ostatnich dni spadło zbyt wiele obowiązków, aby się mogła w nich nie pogubić. Musi być sprzątaczką, kucharką, pomywaczką i kamerdynerem zarazem... Aha, gdy odeszła guwernantka, spadło na nią także obsługiwanie Lilith...

Na szczęście najgorsze mamy już poza sobą. Dziś wczesnym rankiem zawitała do nas panna Alice. To ta nowa guwernantka, o której ci wczoraj wspominałem... Jest naprawdę kapitalna! Byłem pełen obaw, że gdy zorientuje się w sytuacji, jaka tu ostatnio panuje, nawet nie zechce rozpakować walizek... Na szczęście okazała się bardzo energiczna i zaradna. Z miejsca postanowiła tu wprowadzić jaki taki porządek, co zresztą wcale nie należy do jej obowiązków. Wzięła do galopu tę głupowatą dziewczynę i zagoniła Kate do roboty. Dzięki temu będziemy mogli zjeść śniadanie. Mam nadzieję, że i później nie umrzemy z głodu. Jestem zachwycony panną Alice. Zresztą za chwilę ją zobaczysz, Lilith naturalnie też. Czekają na nas w jadalni.

Panna Alice wyglądała tak, jak powinna wyglądać dobra, wzbudzająca zaufanie guwernantka. Ubrana była oczywiście na czarno, bez żadnych ozdób. Nosiła okulary, miała końskie zęby, końską szczękę i była wyjątkowo brzydka. Ale jednocześnie promieniowała z niej energia, pewność siebie i zaradność. Wobec nas była nieco sztywna i zachowywała stosowny dystans. Jedno spojrzenie rzucone na pannę Alice zupełnie mi wystarczyło, abym pojął, że kłopoty ze służbą skończą się dla Waltera raz na zawsze. Można było być pewnym, że osoba taka jak ona, jeśli oczywiście Walter jej na to pozwoli, a nie było przecież żadnego powodu, żeby tego nie uczynił, nie ograniczy się tylko do funkcji guwernantki, ale sprawi, że odtąd wszystko w tym domu będzie działało sprawnie, jak w dobrze wyregulowanym zegarku. Nie przyglądałem się zresztą długo pannie Alice, gdyż moja uwaga skupiła się na córce Waltera.

Siedmioletnia panna Lilith O'Thoole była dzieckiem delikatnym i prześlicznym. Jej drobniutka figurka odznaczała się jakąś zniewalającą, zdumiewającą zwiewnością, wyraźnie kontrastującą z powagą szarej sukienki, bardzo skromnej, surowej i co tu dużo mówić – nieładnej.

Spodziewałem się poznać dziecko o śniadej cerze i orientalnej urodzie, tymczasem twarzyczka Lilith była kredowobiała, prawie przezroczysta, wargi blade, a pod oczami ułożyły się niebieskie cienie. Jedynymi śladami mieszanego pochodzenia dziecka były kruczoczarne włosy, zaplecione w grube warkocze, i wielkie ciemne oczy, w których wyrazie było jakieś nieuchwytne tchnienie orientu.

Dziewczynka byla cicha, milcząca i doskonale ułożona. Przy stole zachowywała się bez zarzutu, bezbłędnie operowała sztućcami, co dla kogoś w jej wieku jest nie lada osiągnięciem, jadła wdzięcznie, malutkimi kęsami, ani za szybko, ani za wolno. Nie próbowała wtrącać się do rozmowy starszych i jak na dobrze wychowaną panienkę przystało, odpowiadała tylko grzecznie na zadawane jej pytania. Nie wiem dlaczego, ale oczekiwałem, że posługiwać się będzie tym nieznośnym dla ucha anglo-indyjskim żargonem, którego tak chętnie używają ludzie stale zamieszkujący subkontynent, i dlatego byłem mile zaskoczony, gdy usłyszałem piękną angielszczyznę, jakiej nie powstydziłby się wychowanek Oksfordu czy Cambridge.

Dziewczynka zachowywała się skromnie. Oczy najczęściej miała spuszczone, ale od czasu do czasu zerkała na mnie, a że i ja także byłem nią mocno zainteresowany, nasze spojrzenia niekiedy się spotykały. Wtedy oczywiście ona natychmiast opuszczała wzrok, choć niczym nie zdradzała przy tym zmieszania.

Krótko mówiąc, Lilith wywarła na mnie bardzo korzystne wrażenie. Nie omieszkałem powiedzieć o tym Walterowi, gdy pozostaliśmy już sami.

Mój przyjaciel przyjął to z wyraźnym zadowoleniem, ale wydawało mi się, że taką ocenę córki uważa za coś zupełnie oczywistego.

Tego dnia jeszcze wiele godzin przebywałem z Walterem. Bariery, jakie ustanowił między nami czas, powoli się łamały i rozmowa nasza toczyła się znacznie swobodniej niż poprzedniego wieczora. Czułem, że dawna więź zaczyna ożywać. Z wielką ulgą zrozumiałem, że pełne odnowienie naszej młodzieńczej przyjaźni jest już chyba tylko kwestią czasu.

Koło południa rozmowę przerwała nam panna Alice.

– Przepraszam, że panom przeszkadzam, nie jest to moim zwyczajem, ale sądzę, że sytuacja jest dość wyjątkowa – powiedziała stojąc w otwartych drzwiach. – Chciałabym z panem porozmawiać.

Walter wyraźnie się zaniepokoił:

– Czyżby jakieś kłopoty z Lilith?

– Och, nie! Nie wyobrażam sobie, żeby z nią mogły być jakiekolwiek kłopoty. To posłuszna i słodka dziewczynka. Mnie chodzi o coś zupełnie innego. Sądzę, proszę pana, że trzeba zrobić z tym porządek...

– Z czym, panno Alice?

– Ze sprawą służby, proszę pana. Żeby w tym domu wszystko toczyło się normalnie i Lilith miała odpowiednią dla takiej panienki atmosferę i warunki, potrzeba natychmiast zatrudnić kilka osób. Niezbędna jest – zaczęła wyliczać na palcach – kucharka i jeszcze jedna pokojówka, ogrodnik i oczywiście kamerdyner dla pana. To jest niezbędne minimum, bez którego ten dom się rozpadnie... – tu na chwilę zamilkła i obrzuciła mego przyjaciela wojowniczym spojrzeniem znad opadających w dół nosa okularów.

Walter, wyraźnie zmieszany, chciał coś powiedzieć, ale energiczna panna Alice nie dopuściła go do głosu.

– Tymczasem, nie licząc mnie, a ja muszę się przede wszystkim zajmować pana córeczką, jest tu tylko ta nieszczęsna Kate, która zresztą także chce odejść, i to natychmiast!

– Kate odchodzi? – jęknął mój przyjaciel. – Mój Boże!

– Zostaje, proszę pana! – triumfalnie oznajmiła panna Alice. – Już ja jej wybiłam z głowy ten niewczesny pomysł. Umiem rozmawiać z tego rodzaju dziewczynami... Ale, proszę pana, to nie rozwiązuje sytuacji. Kate wszystkiemu nie podoła, a poza tym zupełnie nie zna się na gotowaniu!

– Postaram się oczywiście jakoś to załatwić, panno Alice – powiedział Walter uśmiechając się niepewnie. – Spróbuję jeszcze dziś odwiedzić miejscowego proboszcza. Mam nadzieję, że poleci mi kogoś ze swojej parafii...

– Nie czarujmy się, proszę pana – ostro przerwała panna Alice. – Pan doskonale wie, dlaczego wszyscy, łącznie z moimi poprzedniczkami, opuścili ten dom i że w okolicy nie znajdzie się nikt, kto zechciałby tu pracować. To wykluczone! Proponuję więc coś innego. Jeżeli oczywiście nie będzie pan miał nic przeciwko temu... W stronach, z których pochodzę, ludzie są o wiele rozsądniejsi. Wielu z nich poszukuje dobrej pracy. Są to uczciwi i pracowici ludzie. Mogę więc napisać kilka listów... – zająknęła się trochę – i zobowiązuję się, że w ciągu kilku dni będzie pan miał

skompletowaną służbę. Naturalnie, może mnie pan posądzać, że...

– Panno Alice! – wykrzyknął radośnie Walter – z nieba mi pani po prostu spadła! Ci, którzy mi panią polecali, mieli po stokroć rację! Jest pani naprawdę wspaniałą kobietą! Oczywiście, że się zgadzam! Daję pani całkowicie wolną rękę w tych sprawach...

– Dziękuję – odparła ze spokojną godnością. – Zapewniam, że się pan na moim wyborze nie zawiedzie... Jeszcze dziś napiszę odpowiednie listy...

– Jest jeszcze jedno, panno Alice – powiedział Walter, a w jego głosie ponownie zabrzmiał niepokój – jeśli orientuje się już pani, jakie okoliczności pozbawiły mnie służby, to czy nie obawia się pani, że ci nowi także mogą szybko zrezygnować z pracy w Harrow Manor?

– Zapewniam pana, że potrafię sobie z tym poradzić. Ludzie z moich stron są trochę inni niż tutejsi. Są znacznie rozsądniejsi... a poza tym wiem, jak z nimi rozmawiać. Nie ma się pan więc czego obawiać. Wszystko będzie w najlepszym porządku...

– A pani, panno Alice – tym razem w głosie Waltera zabrzmiał żartobliwy ton – czy pani sama nie pójdzie przypadkiem w ślady swych nerwowych poprzedniczek?

Panna Alice nie miała widać poczucia humoru. Wzruszyła ramionami i fuknęła gniewnie:

– Pan chyba żartuje, proszę pana! Proszę nie zapominać, że jestem kobietą wykształconą... Nie przypuszcza pan chyba, że ja...

– Oczywiście, że niczego nie przypuszczałem, panno Alice – Walter skwapliwie pospieszył z wyjaśnieniami – to był tylko taki żart...

Z miny panny Alice wywnioskowałem, że nie uważa tego żartu za zbyt udany – gdy opuszczała pokój, była wyraźnie jeszcze trochę urażona.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Walter wykrzyknął z niekłamanym entuzjazmem:

– Ta kobieta jest prawdziwym skarbem dla tego domu! Sposobem Achillesa przecięła to, co wydawało się dla mnie nierozwiązalnym węzłem... Zaczynam mieć nadzieję, że wreszcie skończą się te koszmarne kłopoty ze służbą... Oby tak się stało... Zupełnie nie wiedziałem, co robić...

– Zaraz, zaraz, Walterze, o co tu właściwie chodzi? – zapytałem, nie kryjąc zaciekawienia. – Dlaczego cała służba uciekła z Harrow Manor? Co się tu wydarzyło?

Machnął lekceważąco ręką.

– Przesądy, mój drogi. Ludzka głupota i zabobony rodem ze średniowiecza. Wyobraź sobie, ktoś rozpuścił pogłoskę, że Harrow Manor jest domem nawiedzonym. No... rozumiesz? Po prostu podobno tu straszy... I wyobraź sobie, że służba w to uwierzyła... Początek dał kamerdyner... Nigdy bym się po nim tego nie spodziewał. Wyglądał na solidnego i zrównoważonego człowieka, a odszedł z dnia na dzień, rezygnując nawet z należnej mu pensji. Za jego przykładem poszli i inni. Nawet guwernantki zaraziły się tą histerią...

Byłem coraz bardziej zaciekawiony.

– Na czym te tutejsze strachy mają polegać? – zapytałem.

– Och, mają być mniej więcej takie jak zwykle w takich wypadkach. Podobno ktoś czy coś, w każdym razie jakaś wyjątkowo przykra zjawa, nawiedzała ich nocami... E, nie chcę nawet powtarzać tych okropnych bredni... Ty oczywiście możesz się z tego naśmiewać, sam bym to robił na twoim miejscu... ale wyznam, że mnie wcale nie było do śmiechu, gdy po kolei zaczęli stąd uciekać. Wszyscy. Kamerdyner, pokojówki, kucharka. Nawet guwernantki... Byłem zupełnie bezradny...

Walter się mylił. Wcale nie było mi do śmiechu, bo nagle przypomniałem sobie dziwną wizytę, którą ktoś mi złożył ostatniej nocy... To, co dotąd wydawało się mi tylko niezdrowym kaprysem wyobraźni, w świetle tego, co przed chwilą usłyszałem, zaczęło nabierać zupełnie innego złowrogiego sensu... Muszę się wam przyznać, że w momencie, gdy sobie przypomniałem o nocnych przeżyciach, poczułem na plecach nieprzyjemny dreszczyk...

Oczywiście jak wszyscy słyszałem nie raz i nie dwa różne historyjki o duchach. Jak słusznie zauważył Stanley, były to zawsze opowieści z drugiej lub trzeciej ręki. Nigdy jakoś nie słyszałem ich z ust kogoś, kto by sam był ich uczestnikiem. W przeciwieństwie do Stanleya nie zajmowałem jednak w tych kwestiach skrajnie sceptycznego stanowiska. Uważałem, że być może, nie wszystkie te opowieści zmyślono. Niemniej nawet mi przez myśl nie przeszło, żebym kiedykolwiek mógł zostać wplątany w tego rodzaju wydarzenia. Doświadczenie mówiło mi bowiem, że zetknięcia z nadnaturalnymi manifestacjami nie są nigdy naszym udziałem, ani nawet nikogo, kogo znamy osobiście. Oczywiście wykluczam tu wszystkie historyjki z wirującymi stolikami. Te tak zwane seanse to tylko jeszcze jedna towarzyska zabawa, wypełniająca długie zimowe wieczory. Ani lepsza, ani gorsza od staroświeckiego „pocztyliona" czy „ślepej babki".

Znacie mnie doskonale, moi drodzy, i wiecie, jak serdecznie nie cierpię wszelkich odstępstw od raz na zawsze ustalonego porządku i jak obce są mi wszystkie nowomodne ekstrawagancje! Możecie więc sobie wyobrazić, że nie miałem najmniejszej ochoty zostać wplątany w coś, co tak jaskrawo odbiega od wszystkiego, do czego byłem przyzwyczajony. Przyznam, że odczułem wtedy gwałtowne pragnienie natychmiastowego wyjazdu z Harrow Manor.

Oczywiście nie było jednak nawet o tym mowy. Jeszcze poprzedniego dnia obiecałem Walterowi, że pozostanę u niego co najmniej tydzień, i teraz nie istniała żadna możliwość opuszczenia tego domu. Mój nagły wyjazd byłby niesłychanym towarzyskim nietaktem. W popłochu, jaki mnie wówczas ogarnął, pomyślałem wprawdzie, żeby udać nagłą chorobę i użyć jej za pretekst do ucieczki, ale szybko poniechałem tego pomysłu, jako niegodnego dżentelmena...

Starałem się więc nawet nie okazać, jak wielkie wrażenie wywarły na mnie słowa Waltera, i zapytałem z pozornie żartobliwą beztroską:

– A ciebie, Walterze, nic nie nawiedzało po nocach? Żadne urocze widmo w długiej nocnej koszuli?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami:

– Oczywiście, że nic. Nie wierzę w takie rzeczy... Chociaż... Wiesz, spotkałem się już kiedyś z niewytłumaczalnymi zjawiskami... Ale – dodał żywo – to nie było w Anglii. W Indiach rzeczywiście zdarzają się czasem dość dziwne przypadki. Naprawdę osobliwe. Widziałem kiedyś fakira... Ale to nie ma nic do rzeczy. Tam, w Bengalu, panuje zupełnie odmienna atmosfera niż u nas. W tamtym przeklętym kraju właściwie wszystko jest możliwe i nie wywołuje zbytniego zdziwienia. Jednak w naszej starej, poczciwej Anglii... W każdym razie – roześmiał się – nie znajdujesz tu facetów zaklinających jadowite węże, sypiających na gwoździach lub wspinających się po linie, która u góry nie jest do niczego przymocowana... Ech! nie lubię o tym wspominać... Prawdę mówiąc – dodał zupełnie innym, bardzo poważnym tonem – chciałbym właściwie wymazać z pamięci tamten przeklęty kraj i jego wszystkie niesamowitości.

Doskonale rozumiałem, jakie są przyczyny tej niechęci do wspomnień, i nie próbowałem nawet kontynuować rozmowy na ten temat.

Reszta dnia upłynęła bardzo spokojnie. Napisałem kilka listów i korzystając z poprawy pogody, spacerowałem trochę po parku otaczającym Harrow Manor oraz po najbliższej okolicy. Od rana bowiem niespodziewanie nastało to nasze zadziwiające listopadowe lato, w czasie którego, jak wiecie, w samym środku dżdżystej, ponurej jesieni, na kilka krótkich dni chmury się rozstępują, trawy nabierają intensywnej zieleni, a słońce, choć niskie i oszczędne w wydzielaniu ciepła, świeci jasno. Tak było i wtedy. Bezlistne gałęzie drzew sprawiały wrażenie, że już następnego dnia pokryją się nieśmiałą, wiosenną zielenią.

Niepokój wywołany tym, co usłyszałem od Waltera, był jednak we mnie ciągle obecny i raczej rósł w miarę upływu dnia, a kiedy późnym wieczorem wkraczałem samotnie do mego pokoju, muszę wam wyznać, miałem duszę na ramieniu...

Zamknąwszy drzwi i ustawiwszy świecznik na stole, rozejrzałem się po pokoju bardzo podejrzliwie. Nie wiem, czy spodziewałem się, że ujrzę gdzieś w kącie przystrojony w zardzewiałe łańcuchy szkielet kłapiący zębiskami albo że spod łóżka wyciągnie się ku mnie trupia ręka, dość że gdy niczego w tym rodzaju nie zobaczyłem, sprawiło mi to wyraźną ulgę.

W moim pokoju było miło i przytulnie. Panna Alice widać zdecydowanie ujęła ster rządów w Harrow Manor w swe ręce, bo potrafiła skłonić pokojówkę, żeby pokój był porządnie pozamiatany, a na kominku płonął świeżo rozniecony ogień. Ciepły, przyjazny blask potęgował wrażenie przytulności i bezpieczeństwa.

Obawy, jakie mnie jeszcze przed chwilą przepełniały, wydały mi się śmieszne i zupełnie bezprzedmiotowe. Na wspomnienie owego przemożnego pragnienia ucieczki, jakie mnie ogarnęło po południu, odczuwałem teraz tylko wstyd i winszowałem sobie, że mimo wszystko potrafiłem się opanować.

Niemniej jednak, gdy leżąc w łóżku znużony czytaniem, odczułem narastającą potrzebę snu, ociągałem się trochę ze zdmuchnięciem świecy. Uznawszy tego rodzaju wahania za niegodne człowieka rozsądnego, przełamałem opory. Okazało się, że mimo zgaszenia świecy w pokoju wcale nie było ciemno. Dopalające się na kominku drwa rzucały nieco blasku i pokój rozświetlony był migotliwą, czerwoną poświatą. Przez jakiś czas, zamiast spokojnie pogrążyć się we śnie, oczekiwałem nie wiedzieć czego, co chwila zerkałem podejrzliwie spod odmykanych powiek i bacznie wsłuchiwałem się w mrok. Niczego jednak niespodziewanego nie ujrzałem i nie usłyszałem. Słychać było tylko cykanie mego zegarka, delikatne trzaski towarzyszące rozsypywaniu się w popiół dopalających się drew na kominku i owe nieuniknione w każdym starym domostwie delikatne skrzypnięcia i jeszcze cichsze szelesty, w których nie ma nic tajemniczego, choć nie potrafimy określić ich źródła.

Uspokojony, powoli przestałem nasłuchiwać i nie wiedzieć kiedy usnąłem.

Nie umiem powiedzieć, jak długo spałem i czy mi się coś śniło. Chyba nie. A obudziłem się nagle, zupełnie tak samo jak ubiegłej nocy. Tylko przyczyna była inna. Poprzednim razem było to nieuchwytne, choć natrętne poczucie czyjejś obecności w pokoju, tym razem zbudził mnie krzyk. Przerażający, głośny, pełen nieopisanej wprost grozy krzyk dobiegał gdzieś z głębi domu.

Poderwałem się z łóżka, momentalnie otrzeźwiony, z sercem głośno i niespokojnie bijącym... Po maleńkiej chwili krzyk się powtórzył. Tym razem był chyba jeszcze przenikliwszy i bardziej przerażający... Nie miałem już teraz wątpliwości, że to krzyczy jakaś kobieta. Po plecach przeleciał mi dreszcz lęku, ale nie było w nim nic metafizycznego...

Nie pomyślałem nawet o duchach... Wiedziałem z całą pewnością, że krzyk ten wydarł się z gardła zwyczajnej istoty ludzkiej, która znalazła się w jakimś straszliwym niebezpieczeństwie.

Zrozumiałem, że muszę spieszyć z pomocą. Zapaliłem świecę i z lichtarzem w ręku, boso i w nocnej koszuli wybiegłem na korytarz. Kiedy tylko znalazłem się za drzwiami, rozpaczliwy wrzask, tym razem słyszalny zdecydowanie lepiej, rozległ się po raz trzeci. Nie miałem najmniejszej trudności ze zlokalizowaniem jego źródła. Dolatywał zza drzwi w drugim końcu korytarza. Bez wahania pobiegłem w tamtym kierunku. Byłem w połowie drogi, gdy nagle usłyszałem za sobą kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem Waltera. W długiej nocnej koszuli i w szlafmycy na głowie wybiegł właśnie zza zakrętu korytarza. Zmierzał w tym samym kierunku co ja. I on był bosy, ale w ręku zamiast świecy trzymał strzelbę.

Razem znaleźliśmy się pod drzwiami, zza których przed chwilą wydostawały się przerażające krzyki, teraz panowała za nimi martwa cisza.

– To pokój panny Alice – powiedział Walter i spojrzał na mnie ze straszliwych niepokojem. – Co się tam mogło stać?

– Nie mam pojęcia... Trzeba koniecznie sprawdzić...

Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że wizyta dwóch mężczyzn w nocnych strojach w pokoju zajmowanym przez samotną kobietę, i to o takiej porze, jest czymś, co się w żadnym wypadku nie powinno zdarzyć, okoliczności były jednak tego rodzaju, że nie wahałem się złamać konwenansów. Walter był widać podobnego zdania, bo przełożywszy strzelbę do lewej ręki, zastukał mocno w drzwi i zapytał głośno:

– Panno Alice! Czy nie potrzebuje pani przypadkiem pomocy? Panno Alice... Proszę się odezwać...

Nie usłyszeliśmy żadnego dźwięku.

Walter zastukał jeszcze mocniej.

– Panno Alice! To my, proszę się nie lękać! Przybyliśmy z pomocą... Panno Alice!

Tym razem doszedł nas zza drzwi jakiś niewyraźny, prawie nieludzki bełkot...

Spojrzeliśmy po sobie. Nasze oczy wyrażały zgodną decyzję. Nie było na co dłużej czekać. Należało koniecznie dostać się do pokoju i zobaczyć, co się właściwie stało guwernantce. Głośne stukanie i prośby, aby nam otworzono zostały bez odpowiedzi.

Zabraliśmy się do wyważania drzwi. Poprzednie krzyki i sprawiane teraz przez nas hałasy przerwały także kamienny sen pokojówki Kate. Otulona w szlafrok, w papilotach na głowie i z wyrazem baraniego osłupienia na twarzy przydreptała na górę. Jej obecność bardzo nam się przydała. Oddawszy dziewczynie świecę, spróbowaliśmy we dwóch sforsować drzwi. Udało się nam to dopiero po jakimś czasie. Drzwi ustąpiły wreszcie z trzaskiem i wpadliśmy do pokoju.

W pierwszej chwili nie spostrzegliśmy panny Alice. Rozesłane łóżko było puste. Strzelba, którą przyniósł ze sobą Walter, okazała się niepotrzebna. W pokoju nie było żadnego złoczyńcy. Znaleźliśmy za to pannę Alice. Skurczona, siedziała na podłodze w zakamarku między szafą a ścianą wyłożoną ciemną dębową boazerią. Długie chude nogi wystawały jej spod białej nocnej koszuli, a wielki obszyty koronkami czepek zakrywał włosy... Nie miała oczywiście okularów na nosie, za to na jej twarzy malował się wyraz obłędnego lęku. Z otwartych szeroko ust, spoza wyszczerzonych końskich zębów wydobywał się stłumio-

ny, trwożliwy bełkot. Panna Alice dygotała na całym ciele, jakby wstrząsana malarycznymi dreszczami, a obie dłonie kurczowo przyciskała do szyi.

– Tatusiu, co się stało pannie Alice?

Pytanie to, wypowiedziane nieśmiałym, ale dźwięcznym głosikiem, przerwało nasze osłupienie wywołane widokiem tego, co zobaczyliśmy w pokoju guwernantki.

Na progu stała mała Lilith i z zaciekawieniem widocznym w ciemnych wielkich oczach wpatrywała się w siedzącą na podłodze guwernantkę. W świetle jedynej świecy dziewczynka w swej długiej niebieskiej koszuli wyglądała tak ślicznie i zwiewnie, że mimo dramatycznych okoliczności, nie mogłem odczuć pełnego tkliwości zachwycenia. Mała była urocza. Jej twarzyczka tym razem nie wydawała się tak bardzo blada i wymizerowana. Na policzkach dziewczynki pojawiły się delikatne rumieńce, a dźwięczny głosik i rzeczowy ton, jakim zadała pytanie, sprawiły, że na chwilę zapomniałem o wszystkim i nie mogłem po prostu oderwać wzroku od uroczego zjawiska.

Walter podszedł do córki i otoczył ją ramieniem:

– Obudziłaś się, skarbie... Nie bój się. Panna Alice zachorowała, ale zaraz wszystko będzie w porządku... Wracaj do siebie, ptaszynko... – Pogładził dziewczynkę delikatnie po rozplecionych lśniących czarnych włosach i zwrócił się do pokojówki, która przypatrywała się wszystkiemu w niemym osłupieniu: – Kate – powiedział – postaw świecę na stole i zaopiekuj się panienką. Odprowadź ją do sypialni i przypilnuj, żeby usnęła...

Musiał ze trzy razy to powtarzać, zanim polecenie dotarło do ogłupiałej dziewczyny i wyprowadziła Lilith z pokoju.

Zbliżyliśmy się do panny Alice, aby udzielić jej pomocy. W pierwszej chwili guwernantka zareagowała na nasz widok trwożnym jęknięciem i dopiero po jakimś czasie zaczęła zdawać sobie sprawę, kim jesteśmy i że nie mamy zamiaru wyrządzać jej krzywdy. Powoli wyraz obłędnego lęku jął znikać z jej twarzy, a drgawki wstrząsające chudym ciałem poczęły ustawać. Kiedy wreszcie zdecydowała się odjąć od szyi kurczowo dotychczas do niej przyciśnięte ręce, zobaczyliśmy krew. Krew plamiła szyję i dłonie panny Alice. W pierwszej chwili myśleliśmy, że guwernantka jest poważnie ranna, ale szybko stwierdziliśmy, że skaleczenia, choć dalej krwawią, są dość powierzchowne. Zrazu nie potrafiłem zrozumieć, jak te ranki powstały, ale potem zauważyłem długie paznokcie guwernantki, więc doszedłem do wniosku, że musiała się sama pokaleczyć przyciskając kurczowo ręce do szyi.

Sporo czasu minęło, zanim udało się nam wyprowadzić pannę Alice ze stanu, w jakim ją zastaliśmy. Ułożyliśmy guwernantkę na łóżku i okryliśmy starannie kołdrami, aby się trochę rozgrzała. Potem poiliśmy ją whisky i mocną herbatą, którą przyrządziła Kate, gdy już uśpiła małą Lilith. Przez cały czas przemawialiśmy do panny Alice możliwie jak najłagodniej, zapewniając, że nic już jej nie grozi.

Odezwała się dopiero o świcie.

Słabym, ledwie słyszalnym głosem poprosiła, byśmy opuścili jej pokój, gdyż pragnie się ubrać. Gdy już byliśmy w drzwiach, zawołała niespodziewanie głośno:

– Błagam, niech panowie nie odchodzą od drzwi... proszę tam na mnie zaczekać... bardzo proszę...

Spełniliśmy jej prośbę. Toaleta, jak wiecie, zajmuje damom mnóstwo czasu, więc spodziewaliśmy się, że przyjdzie nam postać na tym korytarzu dosyć długo. Panna Alice jednak uwinęła się nadspodziewanie szybko. W dodatku zdążyła jeszcze spakować swoje rzeczy. Gdy mniej więcej po dziesięciu minutach opuszczała pokój, była kompletnie ubrana i wyniosła ze sobą dwa sakwojaże, z którymi poprzedniego dnia rano zawitała do Harrow Manor.

Była w pełni opanowana. Tylko leciutkie, prawie niezauważalne drżenie głosu i trupia bladość jej twarzy zdradzały niedawne przeżycia.

– Panie O'Toole – powiedziała – nigdy jeszcze nie zawiodłam niczyjego zaufania. Zobowiązałam się tu pozostać, a także pomóc panu zorganizować normalne życie w Harrow Manor. Bóg mi świadkiem, że miałam najlepsze chęci i zamierzałam szczerze wywiązać się z tych zadań... Niestety, muszę pana pożegnać. Nie potrafię pozostać w tym domu ani godziny dłużej... Rozumiem teraz doskonale wszystkich, którzy stąd odeszli. To jest bardzo zły dom. Ten dom jest naprawdę nawiedzony... Niech się pan strzeże, panie O'Toole. Niech pan strzeże tego niewinnego dziecka... Pan powinien natychmiast, ale to natychmiast zabrać córkę i wyjechać stąd... Być może, niewinność chroni dotąd to słodkie dziecko od najgorszego... Nie daj Boże jednak, żeby dziewczynka zobaczyła i przeżyła to, co stało się moim udziałem... To byłoby okropne... Och, nie mogę sobie tego nawet wyobrazić...

Próżno jednak nalegaliśmy, żeby powiedziała nam wreszcie, co się właściwie zdarzyło tej nocy w jej pokoju. Zacięła się w sobie i milczała na ten temat jak grób.

Godzinę później po energicznej pannie Alice nie było już w Harrow Manor nawet najmniejszego śladu.

Kate odeszła po południu. Przygotowała nam jeszcze obiad i podała go do stołu. Potem oświadczyła stanowczo, że prosi o wypłacenie należnych poborów, gdyż ma zamiar odejść, i to natychmiast. Z tępą, zaciętą miną nie reagowała na żadne prośby Waltera. Wpatrując się ponuro w podłogę, na wszystkie argumenty odpowiadała z uporem, że panna Alice, która była taka niby mądra i wyśmiewała ją poprzedniego dnia, dziś sama jednak uciekła, a ona, Kate, nie ma zamiaru czekać aż to „coś", co wszystkich już stąd wypłoszyło, zadusi ją jeszcze tej nocy...

– Już ja swoje wiem, proszę łaskawego pana. Teraz na mnie byłaby kolej. Nie zostanę tu na pewno...

I nie pozostała. O zmierzchu w Harrow Manor były już tylko trzy osoby. Walter, ja i mała Lilith. Z ciężkim sercem zdecydowałem się wyjawić Walterowi, co o tym wszystkim myślę.

– Nie chcę niepotrzebnie wtrącać się do czyichś spraw, Walterze – powiedziałem – ale sądzę, że w tym, co mówiła panna Alice, jest wiele prawdy. To rzeczywiście zły, nawiedzony dom. Panna Alice z pewnością nie należała do osób, które by się przelękły byle czego, a sam widziałeś, do jakiego stanu została tej nocy doprowadzona... Ci wszyscy, którzy uprzednio odeszli, też chyba mieli jakieś poważne powody. W dzisiejszych czasach nie rzuca się bez istotnej przyczyny dobrej, wysoko płatnej pracy... Zresztą wyznam ci, że i ja sam zauważyłem w tym domu coś niedobrego... Dotąd nie chciałem zawracać ci tym głowy, ale obecnie uważam za swój obowiązek powiedzieć, co mi się przydarzyło pierwszej nocy spędzonej pod tym dachem...

Opowiedziałem mu swoje przeżycia. Słuchał uważnie, ze zmarszczonymi brwiami.

– Wtedy, chciej zauważyć – dodałem na zakończenie – wtedy nie miałem nawet najmniejszego pojęcia, że dom ten cieszy się złą sławą i dzieje się tu coś niedobrego... Nie ma więc mowy o tym, że tylko wyobraziłem sobie tę nocną wizytę pod wpływem zasłyszanych opowieści...

– Cóż więc mi radzisz zrobić, Haroldzie? – zapytał cicho i spojrzał mi w oczy.

– Co radzę? Radzę koniecznie posłuchać panny Alice. Nie wolno dopuścić, aby Lilith przeżyła coś takiego jak panna Alice albo ja... Czy wyobrażasz sobie, jak straszliwe

skutki mogłoby to spowodować w duszy i umyśle delikatnego, niedojrzałego dziecka? Nie wolno ci ryzykować... Musisz natychmiast zabrać córkę i wyjechać. Wyjechać jeszcze dziś...

Pokiwał głową z aprobatą.

– Zgadzam się z tobą całkowicie, Haroldzie. To rzeczywiście jedyne wyjście. Wyjadę stąd i nigdy moja noga tu nie postanie. Niech ogień spali to przeklęte miejsce!... Niestety – bezradnie rozłożył ręce – dziś jest to już niemożliwe. Wyjedziemy jutro rano. Jak najwcześniej oczywiście...

– Dlaczego nie dziś?

– Ostatni pociąg odjechał ze stacji St. Mary's Moor przed godziną... Najbliższy będzie jutro rano... Musimy spędzić tu jeszcze jedną noc. I powiem ci, Haroldzie, jestem pełen niepokoju. Nie o siebie... Boję się o Lilith... Już ci raz powiedziałem, że ta mała jest dla mnie wszystkim.

– Podaj mi rękę, Walterze – oznajmiłem z mocą – zrobimy wszystko, aby tej nocy zapewnić twojej córce całkowite bezpieczeństwo. Będziemy przy niej obaj czuwali. Żaden upiór nie będzie niepokoił twego dziecka.

– Dziękuję ci, przyjacielu – powiedział z prostotą Walter i mocno uścisnął mi dłoń.

Do późnego wieczora przebywaliśmy obaj w towarzystwie dziewczynki. Mała, nieświadoma niczego, spokojnie bawiła się swoimi lalkami, deklamowała nam wierszyki i śpiewała śliczne piosenki, a ja coraz bardziej odczuwałem skurcz bolesnej trwogi na myśl, że ta rozkoszna dziewczynka, uosobienie dziecięcej niewinności, mogłaby się stać ofiarą agresji jakiejś złowrogiej, nadnaturalnej siły.

Obaj z Walterem nadrabialiśmy minami, starając się niczym nie mącić radości rozbawionego dziecka, ale przynajmniej ja, co chwila rozglądałem się niespokojnie po kątach i nie mogłem oprzeć się narastającemu przeświadczeniu, że gdzieś obok, w obrębie tych ścian, w tym bardzo angielskim, tradycyjnym wnętrzu, które jeszcze niedawno wydawało mi się tak przytulne, pogodne i bezpieczne, czai się do skoku jakaś złowroga siła...

W końcu dziewczynka zaprzestała zabawy i powiedziała ojcu, że chce się już położyć spać.

Walter pomógł jej się rozebrać, ułożył w łóżeczku i czuwał przy niej, aż zasnęła. Potem wyszedł na palcach z jej pokoju pozostawiając za sobą nie domknięte drzwi. Czekałem na korytarzu.

– Będziemy tu czuwali – powiedział. – Ustawimy fotele obok wejścia i spędzimy w nich noc. Będziemy blisko małej... Nikt i nic nie powinno zaatakować... Zostawiłem zresztą zapalone świece w jej pokoju. Podobno – próbował się uśmiechnąć – ciemne moce nie lubią jasności...

Zasiedliśmy w fotelach po obu stronach uchylonych drzwi, zza których padał na korytarz ciepły blask świec. Rozmawialiśmy półgłosem, a właściwie szeptem, żeby nie zbudzić śpiącej dziewczynki. Byliśmy w dalszym ciągu pełni wewnętrznego napięcia, lecz burzliwe przeżycia uprzedniej nocy i męczący dzień sprawiły, że nasze organizmy coraz gwałtowniej domagały się wypoczynku. Przerwy w rozmowie stawały się coraz dłuższe, a w pewnej chwili Walterowi wyrwało się dyskretne ziewnięcie.

– Nie ma sensu, Walterze – zaproponowałem – żebyśmy czuwali wspólnie. Możemy na zmianę podrzemać. Spróbuj zasnąć i trochę odpocząć. Obudzę cię za godzinę...

Chwilę protestował i zapewniał, że ma dość siły, aby czuwać do rana, ale w końcu przystał na moją propozycję. Umilkliśmy, a po kilku minutach usłyszałem, jak zmienia mu się rytm oddechu. Usnął. I ja byłem senny, ale oczywiście wiedziałem, że nie wolno mi się poddawać znużeniu. Bezpieczeństwo i spokój niewinnego dziecka zależały ode mnie... Żeby nie ulec rosnącej senności, zacząłem intensywnie myśleć o rozmaitych wydarzeniach z przeszłości. Wiedziałem z doświadczenia, że takie wspominki nie raz i nie dwa nie pozwoliły mi usnąć. Przypomniałem sobie między innymi zadanie matematyczne, które kiedyś, jeszcze w Eton, sprawiło mi wiele kłopotów. Pamiętałem tylko treść zadania i wynik ostateczny. Zacząłem się więc zastanawiać, w jaki sposób do tego wyniku doszedłem. Okazało się, że to już całkowicie wyleciało z mej pamięci...

W trakcie tych matematycznych rozważań, wstyd mi to przyznać jeszcze i dziś... usnąłem. To znaczy zdrzemnąłem się chwileczkę. Na bardzo krótko. Obudził mnie ostry ból szyi. Otworzyłem oczy i nie krzyknąłem tylko dlatego, że potworny strach sparaliżował mi gardło... Coś niewypowiedzianie wstrętnego siedziało mi na piersi... To coś było żywe, lepkie i bardzo, ale to bardzo ohydne... Czułem na sobie obrzydliwe dotknięcie jakiegoś galaretowatego ciała, zimnego i pokrytego wilgotnym śluzem. Jednocześnie nozdrza wypełnił mi ostry, dziwaczny zapach. Taki sam, jaki już poczułem pierwszej nocy spędzonej w Harrow Manor. Tym razem woń była stokroć silniejsza. W nagłym rozbłysku świadomości pojąłem, że ten ohydny zapach za chwilę oszołomi moje zmysły i będę niezdolny do stawienia jakiegokolwiek oporu...

Rozpaczliwym, ostatnim wysiłkiem spróbowałem zrzucić z siebie gniotący mnie ciężar. Udało się! Ta nieokreślona istota, która zaatakowała mnie tak podstępnie, dała jednak za wygraną. Przez chwilę zobaczyłem jeszcze przed sobą parę wielkich zielonych oczu wpatrujących się we mnie z bezbrzeżną nienawiścią, dostrzegłem też niewyraźny, półprzezroczysty zarys jakiejś postaci, a potem wszystko rozwiało się bez śladu... Tak, rozwiało. Takie właśnie wtedy odniosłem wrażenie... Na poły sparaliżowany wspomnieniem widoku tych okrutnych, rozświetlonych zielonym ogniem oczu, w których gorzało całe zło piekieł, dopiero po kilku sekundach zdołałem wydobyć głos ze ściśniętego grozą gardła.

– Walter! – zawołałem...

Poderwał się w jednej sekundzie.

– Co się stało? – zapytał przerażony.

– Zostałem zaatakowany...

– Co z Lilith? – wykrzyknął i nie czekając na odpowiedź poderwał się z fotela i jednym susem dopadł drzwi pokoju córki.

Z sercem ściśniętym nagłym lękiem o dziewczynkę pobiegłem za nim. Ale po chwili odetchnąłem z ogromną ulgą. Wszystko było w porządku. Trzy woskowe świece w lichtarzu na stoliku oświetlały sypialnię dziewczynki ciepłym jednostajnym blaskiem. Lilith obracała się właśnie na drugi bok. Spała smacznie uśmiechając się przez sen. Na podłodze obok łóżka leżała kołdra, którą dziewczynka musiała zrzucić z siebie. Walter podniósł ją i z wielką czułością, bardzo delikatnie otulił nią spokojnie śpiące dziecko.

– Śpij spokojnie, moja mała – szepnął. Potem spojrzał na mnie i nagle twarz mu się zmieniła: – Boże! Haroldzie! Ty krwawisz! – wykrzyknął zduszonym półgłosem.

Dziewczynka niespokojnie poruszyła się we śnie. Przykładając palec do ust wskazałem głową na śpiące dziecko i nakazałem milczenie. Potem dotknąłem swej szyi. Na palcach pozostały mi rubinowe ślady krwi... Okazało się, że z prawej strony szyi, w pobliżu tętnicy, miałem dwie niezbyt głębokie, ale dość silnie krwawiące ranki. Skaleczenia te zagoiły się bardzo szybko pozostawiając jednak małe, ale do dziś dobrze widoczne szramki. Możecie je zresztą obejrzeć – podciągnąłem trochę kołnierzyk i pokazałem blizny.

Do rana nic nadzwyczajnego już się nie wydarzyło. Po śniadaniu wszyscy troje wyjechaliśmy pociągiem z St. Mary's Moor, a Walter uroczyście przysięgał, że jego noga nigdy więcej nie stanie w Harrow Manor i że sprzeda przez pośrednika tę piekielną ruderę, o ile oczywiście znajdzie się ktoś naiwny, żeby kupić dom, w którym straszy...

Na dworcu w Polchester rozstałem się z Walterem i jego córką. Oni udali się do hotelu, ja wsiadłem do londyńskiego pociągu...

I tak się skończyła ta niesamowita historia. Jak więc widzisz, Stanleyu, nie należy wygłaszać zbyt pochopnych sądów. Być może, w wielu tak zwanych nawiedzonych domach przyczyną strachów są rzeczywiście hasające szczury. Zdarzają się jednak i inne wypadki. Widziałem prawdziwie nawiedzony dom i na własnej skórze, i to dosłownie – dotknąłem palcem blizn na szyi – przekonałem się, że prawdą jest to, co mówił stary Szekspir o rzeczach, o których nie śniło się filozofom...

Myślę, że gdyby dobrze poszperać w starych dokumentach, pewnie i można by było ustalić co lub kto straszy w Harrow Manor. Mogły się zachować jakieś legendy, tradycje... Być może, popełniono tam kiedyś jakąś straszną zbrodnię...

– A co sądzi o tym twój przyjaciel? – zapytał Stanley. – Ten dom jest, a w każdym razie był jego własnością. I on miał największe możliwości poznać historię tego domu.

– Nie wiem. Nigdy więcej nie widziałem Waltera.

– Jak to? Nie rozumiem...

– Otóż nie spotkałem go już więcej... Gdy rozstawaliśmy się w Polchester, nie wiedział jeszcze, dokąd się uda. Obiecał, że wkrótce do mnie napisze. Nigdy już jednak nie dostałem od niego listu. Muszę wyznać, że sprawiło mi to wielką przykrość i rozczarowanie... Liczyłem na odnowienie starej przyjaźni... Niestety, jakoś nic z tego nie wyszło – rozłożyłem bezradnie ręce. – Trudno. Takie już jest życie...

Zapanowało długie milczenie, przerywane tylko pykaniem naszych fajek. Pierwszy odezwał się Pearcy.

– Mylisz się, Haroldzie – powiedział – gdy sądzisz, że można łatwo ustalić, kto i dlaczego straszył w Harrow Manor. To uroczy, spokojny dom. Nigdy przedtem ani potem nie wydarzyło się w nim nic tajemniczego. Nie istnieją żadne zapiski ani żadna ponura legenda związana z tym miejscem. Spędziłem tam uroczy miesiąc u swych przyjaciół wiosną roku 1885. Zapewniam cię, że ani mnie, ani nikogo z domowników nie niepokoiły nigdy żadne upiory. Mój przyjaciel kupił ten piękny dom za śmiesznie niską cenę. Jego poprzedni właściciel pozbył się go tak tanio dlatego, że rzekomo coś w nim straszyło. Mój przyjaciel zaryzykował... i wygrał. Przedtem dokładnie zbadał przeszłość Harrow Manor. Okazało się, że od momentu zbudowania aż do czasów ostatniego właściciela jego kolejni posiadacze żyli w nim długo i szczęśliwie, i to bez żadnych metapsychicznych kłopotów... Obecni zresztą też... Dostałem właśnie list od mego przyjaciela, który zaprasza mnie do Harrow Manor na święta. Oczywiście chętnie skorzystam z okazji...

– Więc twierdzisz – wykrzyknąłem w najwyższym zdumieniu – że ten dom nie jest nawiedzony?!

– Z całą pewnością nie jest – stanowczo oświadczył Pearcy. – To piękny, stylowy i bardzo pogodny dom...

Nie wiedziałem zupełnie, jak zareagować na usłyszane rewelacje, i chyba było widać to po mojej minie, gdyż milczący dotąd profesor Lund uśmiechnął się lekko i powiedział:

– Wydaje się, że chyba będę mógł służyć panu wyjaśnieniami. Jak panu zapewne wiadomo, londyńskie Towarzystwo Metapsychiczne zbiera informacje o wszystkich wydarzeniach i faktach, które trudno w pełni wytłumaczyć na drodze naturalnej. Tak się szczęśliwie złożyło, że mam przy sobie pewien wycinek ze starej gazety. Może zechce się pan z nim zapoznać... – Wyciągnął portfel i wydobył z niego starannie złożoną zadrukowaną kartkę. – To pochodzi z numeru „Polchester Weekly News" ze stycznia roku 1884. Proszę przeczytać.

Założyłem okulary i przeczytałem co następuje:

W zeszłym tygodniu zdarzył się w naszym mieście wypadek tajemniczego zgonu, którego przyczyny jak dotąd nie potrafiono wyjaśnić. Być może, zapowiedziana na przyszły tydzień rozprawa przed koronerem doprowadzi do jakichś wiążących ustaleń. Na razie sytuacja wygląda następująco: W hotelu „Pod Różą" od kilku tygodni mieszkał wraz z córką pan Walter O'Toole, dżentelmen, który niedawno powrócił do kraju po wieloletnim pobycie w Indiach. Rankiem drugiego stycznia znaleziono go nieżywego we własnym łóżku. Jak stwierdziła autopsja, przyczyną zgonu było całkowite wykrwawienie organizmu, przy czym na łóżku, na którym spoczywał zmarły, znaleziono tylko bardzo nieznaczne ślady krwi. Jedynym zewnętrznym obrażeniem stwierdzonym na zwłokach były stosunkowo niewielkie ranki na szyi zmarłego, przypominające ukąszenia jakiegoś niezbyt dużego zwierzęcia z rodzaju łasicowatych. W pokoju wyczuć można było silną nie zidentyfikowaną woń, której pochodzenia nie udało się ustalić. Śpiąca w sąsiednim pokoju siedmioletnia córeczka zmarłego mimo otwartych przez całą noc drzwi łączących oba pomieszczenia nie obudziła się w nocy i nic nie zauważyła.

Odsunąłem od oczu gazetowy wycinek i zdjąłem okulary. Byłem wstrząśnięty.

– Biedny Walter... – powiedziałem – a ja miałem do niego żal, że do mnie nie pisze... Taka straszna śmierć... Nie potrafię tego pojąć... – zamilkłem na chwileczkę, a potem krzyknąłem olśniony nagłym zrozumieniem: – Ach! Więc to było to samo! – odruchowo dotknąłem blizn na szyi. – Miałem w takim razie szczęście. Wielkie szczęście... Nie pojmuję jednak, co to wszystko znaczy... Co właściwie zabiło Waltera?

Profesor Lund przyglądał mi się z wielką uwagą.

– Słyszał pan o wampiryzmie? – zapytał. – W Indiach, a zwłaszcza w Bengalu jest to wiara dość rozpowszechniona... Kobiety podejrzane o wampiryzm, to znaczy o to, że nocami ich ciała opuszcza coś w rodzaju duszy i syci się krwią innych ludzi, są bezlitośnie zabijane. Bengalczycy wierzą, że jedynym skutecznym sposobem ostatecznego rozprawienia się z wampirzycą jest zadbanie o to, żeby w chwili śmierci miała na sobie trzy wieńce splecione z kwiatów lotosu...

– A więc... – wyjąkałem, pojmując, do czego zmierza profesor – a więc, przypuszcza pan... że żona Waltera była wampirem... Że... – zająknąłem się – potem jej duch spowodował... – zamilkłem, gdyż sformułowanie straszliwej prawdy nie chciało mi przejść przez usta.

Profesor sprawiał wrażenie lekko zniecierpliwionego.

– O jakim duchu pan mówi?

– O duchu żony Waltera oczywiście...

– Duch żony Waltera nie ma z tą historią nic wspólnego. Przecież wampirzyca została unieszkodliwiona z zachowaniem wszelkich reguł wymaganych w takich wypadkach. Ci, jak ich pan nazwał, thugowie nie zapomnieli o wieńcach z lotosu... Widać nie orientuje się pan w wierzeniach Bengalczyków. Oni są święcie przekonani, że wampiryzm bywa dziedziczny, i to w linii matrylinearnej...

Zbigniew Pieciul

Fotoaparat z elektronicznym sercem

Chwila koncentracji, pstryk i zdjęcie zrobione. Niezależnie od coraz nowszych osiągnięć technicznych motywacja „zdejmowania obrazów" nie zmieniła się od prawie stu sześćdziesięciu lat, kiedy to francuski wynalazca Joseph Niepce utrwalił widok ze swego okna na podwórze. To zdjęcie przetrwało do naszych czasów, choć zrobiono je w roku 1826. Fotografia – nazwijmy to tak – zamraża czas i przestrzeń, pozwala na trwały zapis graficzny miejsc, twarzy, przyjemnych wspomnień. Fotografia chroni te obrazy, by nie wyblakły w otchłani pamięci.

Co można fotografować? Wszystko! W albumach znajdziecie fotografie ludzi, domów, zwierząt. Radości i dramaty, życie intymne i publiczne. Teatr i wojnę. Zdjęcie może być dokumentem. Może też być dziełem sztuki.

Ktoś powiedział, że aparat fotograficzny jest narzędziem najpopularniejszej na świecie sztuki ludowej. Filozofka amerykańska, pani Susan Sontag ujmuje to tak: *„Fotografia jest dziś tak powszechną rozrywką, jak seks albo taniec"*. Potwierdzają to statystyki: w niektórych rozwiniętych krajach aparatów jest tyle, co gospodarstw domowych. U nas też fotografia bardzo się upowszechniła. Roczniki statystyczne wskazują, że w Polsce mniej więcej w co drugim domu jest aparat fotograficzny.

Aparat aparatowi nie równy. Postęp w tej dziedzinie był stały, ale to, co dzieje się w ostatnich dziesięciu latach, to z całą pewnością nie notowany zryw. Technologia mikroelektroniczna, projektowanie i produkcja obiektów przy pomocy komputerów, rewelacyjne przemiany w technologii materiałów światłoczułych – to wszystko daje efekty na półkach sklepów fotograficznych od Tokio po Vancouver.

W rezultacie każdy odbiorca może wybrać coś najwłaściwszego dla swych potrzeb. Zwykły, niedzielny pstrykacz zdjęć rodzinnych ma do dyspozycji niezawodny aparacik. Każda fotka jest poprawna technicznie niezależnie od umiejętności fotografującego. Zaawansowany amator, artysta-fotografik, fotoreporter zawodowy – każdy może dobrać sobie sprzęt o nieograniczonych możliwościach. Sprawny przy każdym oświetleniu. Przy tym – coraz lżejszy i tańszy.

Wybierzmy się więc na wyimaginowany spacer wzdłuż sklepowych półek wypełnionych fotograficznym sprzętem światowej produkcji. Aparaty kieszonkowe, aparaty do zdjęć natychmiastowych „instant", aparaty „compact", wreszcie lustrzanki jednoobiektywowe, zarówno małoobrazkowe, jak i na duże formaty filmu. Na deser – dwie konstrukcje przyszłościowe: disc-camera Kodaka oraz aparat firmy Sony – Mavica, który zamiast na błonie światłoczułej rejestruje obrazy na materiale magnetycznym. Oprócz tego – auto-focus, elektroniczny flesz i parę słów o rywalizacji amerykańsko-japońskiej.

To co w fotografii było najpopularniejsze – odchodzi. Około czterdzieści procent sprzedaży to do niedawna aparaty kieszonkowe. Są to bardzo proste i tanie, malutkie aparaciki na kasetowe ładunki filmu typu 110. Niesłychana prostota, przeznaczenie do fotek z wycieczki lub życia rodzinnego. Nie wymagają żadnego przygotowania. Jeden ładunek filmu pozwala na zrobienie dwudziestu zdjęć formatu 13x17 mm, które można powiększyć do wielkości pocztówki.

Drugi co do wielkości sprzedaży typ aparatu fotograficznego tak zwany aparat natychmiastowy, czy „instant". Najpopularniejsza marka to amerykański Polaroid. To cud techniki lat sześćdziesiątych: pstryk i za chwilę oglądamy gotowe, kolorowe zdjęcie. We wnętrzu aparatu następuje bardzo szybki proces chemiczny. Wywołanie i utrwalenie obrazu na specjalnym wielowarstwowym papierze trwa kilkadziesiąt sekund. Ale aparaty „instant" są dość niewygodne, ponieważ mają spore rozmiary. Brak przy tym precyzji w komponowaniu obrazka. Tego typu aparaty stanowią dziś około dwudziestu procent sprzedaży, ale obserwuje się tendencję spadkową.

Co idzie w górę? Aparaty „compact" i jednoobiektywowe lustrzanki małoobrazkowe. Aparaty „compact" posługują się typowym rozmiarem błony światłoczułej: trzydzieści sześć klatek na taśmie o szerokości 35 mm. Z takiego formatu można robić duże powiększenia. To pierwsza przewaga nad aparatami, które nazwaliśmy kieszonkowymi, aparatami systemu 110. „Compact" też mieści się z powodzeniem w kieszeni. Zasuwany obiektyw pozwala obejść się bez futerału. Aparat skonstruowany jest z myślą o laikach, którzy chcą mieć jednak lepszą jakość zdjęć niż te, które można uzyskać ze „studziesiątki".

„Compact" to nowy typ aparatu, występuje na rynku od paru zaledwie lat. W jego wnętrzu zainstalowano sporo elektroniki. Wbudowana lampa błyskowa jest sprzężona z wewnętrznym układem pomiaru światła i samoczynnego ustawiania czasu migawki. To załatwią elektroniczne czujniki. Nie ma potrzeby precyzyjnego nastawiania odległości, co wynika z konstrukcji obiektywu. Klasyczny przykład to Olympus XA-2, który można kupić za kilkadziesiąt dolarów. To bodaj najodpowiedniejszy aparacik do utrwalania rodzinnych wspomnień. Aparat ma przyszłość, bo tego typu zdjęcia stanowią około siedemdziesiąt procent fotografii. Wyliczono, że w tym roku będzie zrobionych na świecie ponad dwadzieścia milionów takich zdjęć rodzinnych. Jedna podstawowa wada aparatów „compact": nie można używać wymiennych obiektywów.

Zwycięska kombinacja wszechstronności, jakości obrazu i możliwości kontroli kadru – tak mówi się o jednoobiektywowych lustrzankach na film 35 mm. Do takiego właśnie rodzaju aparatu przywiązało się dziesiątki milionów fotografów na całym świecie. W tego typu aparacie – używajmy tu angielskiego skrótu SLR (single-lens reflex) fotografujący widzi w wizjerze dokładnie to, co trafi na film. Dzieje się tak dlatego, iż wizjer sprzężony jest poprzez pryzmat i ruchome lustro z obiektywem aparatu. Celujemy, regulujemy ostrość, czekamy na stosowny moment. Po naciśnięciu spustu lustro na moment uskakuje, światło pada na materiał fotograficzny, lustro wraca na swoje miejsce, by dalej można było obserwować kadr.

W przeciwieństwie do „110", „compactów" 35 mm i aparatów „instant" – lustrzanki SLR mogą korzystać z różnych, wymienianych bez trudności obiektywów. A więc posiadacze lustrzanek SLR, w miarę jak rozwijają swoje umiejętności, mogą wyposażać się, oprócz normalnego, w obiektywy szerokokątne, teleobiektywy i obiektywy specjalne.

Do rozwoju lustrzanek przyczyniły się innowacje mikroelektroniki. Równocześnie znacznie uprościły obsługę apa-

ratu. Na nowo opracowano takie części, jak elektromagnetyczna migawka, lustro, kontrola przysłony. Są teraz lżejsze, działają bardziej precyzyjnie. Kontrolowany przez mikroprocesor system naświetlania pozwolił na pełną automatyzację, wcześniej możliwą tylko w aparatach z niezmiennymi obiektywami.

Najlepsze zautomatyzowane lustrzanki SLR proponują fotografowi wybór wśród kilku – nazwijmy to – form ekspozycji automatycznej (AE). Może to być AE z „pierwszeństwem przysłony". Fotograf sam nastawia jakiś otwór przysłony, podczas gdy mikroprocesor, zmierzywszy ilość światła, która trafia do obiektywu, dobiera szybkość migawki. I odwrotnie: AE z „pierwszeństwem migawki" – fotograf zadaje czas, a mikrokomputer nastawia przysłonę. Jest jeszcze inna możliwość, zaprojektowana do użycia w takiej sytuacji, gdy nie ma wolnej chwili na robienie jakichkolwiek nastawień: „programowane AE". W tym przypadku obwód elektryczny robi wszystko sam, automatycznie dobiera zarówno otwarcie obiektywu, jak i czas migawki. Oczywiście, posiadacz nie musi korzystać z tej automatyzacji. Można włączyć „ręczne sterowanie". Wtedy fotografujący sam decyduje o wartości migawki i przysłony, a widoczne w wizjerze wskaźniki tylko sugerują najlepsze naświetlenie.

Przy użyciu takiej „sprytnej" automatyzacji lustrzanki SLR początkujący fotograf zaczyna robić od pierwszej swej rolki zdjęcia właściwie naświetlone. Gdy jego umiejętności wzrosną, z czasem potrafi on wykorzystać wszystkie korzyści wynikające z możliwości wymieniania obiektywów i ręcznej kontroli.

By zamknąć tę panoramę współczesnych fotoaparatów, należy wspomnieć o tych najdroższych, będących obiektem westchnień wielu fotografików. Chodzi o aparaty również jednoobiektywowe, lecz używające większego formatu filmu, tak by uzyskiwać negatyw wielkości 6x6 cm lub 4,5x6 cm. Jest kilka firm produkujących tego rodzaju sprzęt, lecz tym, o którym się marzy, to szwedzki Hasselblad. Ceny dochodzą do kilku tysięcy dolarów. Hasselblad to coś w rodzaju fotograficznego Rolls-Royce'a. Najwyższa jakość i gwarantowana precyzja. To właśnie aparatem Hasselblad astronauci amerykańscy fotografowali Księżyc podczas pierwszej podróży człowieka na Srebrny Glob.

Od pół stulecia marzeniem producentów był obiektyw, który automatycznie potrafiłby nastawić się na właściwą odległość. Dziś są już tego rodzaju układy, zarówno w sprzęcie popularnym, jak i w droższych lustrzankach. Nie jest to jeszcze doskonałe, czyni aparat cięższym i droższym. Elektroniczne czujniki nastawiają ostrość, badając stopień kontrastu. Taki system zawodzi, gdy kontrast jest w ogóle słaby, na przykład przy małej ilości światła, a więc gdy robimy zdjęcia w ciemnych miejscach lub gdy używamy teleobiektywu. Inne modele oparte są na wiązce podczerwieni. Joseph Viesti, zawodowy fotografik z Nowego Jorku, mówi dziennikarzowi: „A skąd wiadomo, na co ja chcę nastawić ostrość?" I dodaje, że układ auto-focus to coś dobrego dla amatora, podczas gdy zawodowiec powinien zaufać swemu oku. Z drugiej strony można przytoczyć opinię wiceprezesa amerykańskiego oddziału Canona: pan K. Onyama jest przekonany, że automatyczne nastawianie ostrości „to technologia przyszłości" i uważa auto-focus za „logiczne następstwo" wcześniejszego wprowadzenia w aparatach automatycznego pomiaru światła i ustawiania ekspozycji (czasu i przysłony).

Kto zada sobie trud śledzenia sytuacji na rynku fotograficznym, ten szybko przyzna, iż jest to jeden nieustający wyścig nowości technicznych, niesłabnąca pogoń za rozwiązaniami coraz doskonalszymi. Fotografia: aparaty, wyposażenie, materiały światłoczułe to wielki, wielomiliardowy przemysł i byznes. Konkurencja ogromna. Po wielu latach królowania Europy i Ameryki i tu – jak w elektronice i samochodach – pojawili się Japończycy. Dziś to oni dyktują tempo. Canon AE-1 to chyba najbardziej rozpowszechniony dziś na świecie model nowoczesnej lustrzanki SLR. Takie znane marki, jak Yashica, Konica, Nikon – to wszystko firmy japońskie.

Oficjalnym dostawcą materiału fotograficznego dla organizatorów Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles w 1984 roku będzie Fuji Photo Film Co. of Japan, a nie – jak to było dotychczas w zwyczaju – największy w świecie producent, amerykański Eastman Kodak Co. Fuji zapłaciło za ten przywilej pięć milionów dolarów, gdy Kodak był gotów wydać cztery miliony. Prezes Fuji – Minoru Ohnishi jest zadowolony: „To niska cena za taką reklamę przed widownią całego świata". Wcześniej Fuji było już sponsorem mistrzostw w piłce nożnej Mundial'82 w Hiszpanii.

To walka Dawida z Goliatem. Teraz Kodak, światowy potentat, został zaatakowany na swym własnym terenie. Fuji chce zdobyć piętnaście procent rynku amerykańskiego. Kodak, jak na razie, ignoruje konkurenta. Błony i papier fotograficzny stanowią tylko dwadzieścia procent sprzedaży Kodaka, podczas gdy sześćdziesiąt procent stanowią dochody z taśmy kinowej. Kodak ma też zasoby finansowe, które pozwolą na obronę, gdyby Japończycy podjęli wojnę cenową. Kodak ma nazwę, która od dziesięcioleci kojarzy się z robieniem zdjęć, podczas gdy Fuji może się na razie kojarzyć tylko ze świętą górą. Przekonamy się, na jak długo.

Póki co, Eastman-Kodak wprowadził na rynek aparat, którym chce zastąpić wspomniane wyżej pstrykacze typu 110. W nowym aparaciku materiał światłoczuły umieszczany jest nie w formie taśmy czy kasetki, lecz w postaci krążka z piętnastoma klatkami na brzegu. Stąd nazwa: aparat tarczowy, disc camera. Kodak Disc wykorzystuje wiele osiągnięć elektroniki, optyki, technologii. Jest zupełnie „fool-proof" czyli dosłownie, „odporny na głupotę". Może robić zdjęcia prawie w każdych warunkach, od słonecznej plaży po mroczne wnętrza. W razie potrzeby włącza swój własny flesz. Wewnętrzny układ mierzy światło, ustawia ekspozycję, synchronizuje ewentualnie błysk, reguluje ostrość i samoczynnie przesuwa tarczę z materiałem światłoczułym. Po zrobieniu zdjęcia wystarczy odczekać 1 1/3 sekundy, by można było ponownie nacisnąć spust.

Inżynierowie Kodaka, którzy wierzą, że jest to typ aparatu, który zdominuje rynek w latach osiemdziesiątych, wyliczyli, że w porównaniu z dawnymi kieszonkowymi „studziesiątkami" liczba zdjęć technicznie „dobrych" i „doskonałych" wzrośnie dzięki aparatom disc o dwadzieścia pięć do pięćdziesięciu procent, którego działanie oparte jest na układzie elektronicznym, zasilany jest dwoma ogniwami litowymi, które wystarczą na zrobienie dwóch tysięcy zdjęć. Zdjęcia z Kodaka Disc można oczywiście odbijać na papierze, ale również, przy pomocy specjalnej przystawki, oglądać na ekranie telewizora.

Autorytet w tej dziedzinie, Hebber Keppler, wydawca i redaktor pisma „Modern Photography", mówi: „Ten typ aparatu chroni fotografującego przed nim samym. Nie może on zapomnieć o ostrości, o nastawieniu ekspozycji, o włączeniu lampy, ponieważ disc-camera robi to wszystko automatycznie. Tak więc fotografujący powinien tylko wybrać temat i nacisnąć guzik, a Kodak „zrobi resztę." W ubiegłym roku sprzedano osiem milionów sztuk aparatów tarczowych Kodaka. Model Kodac Disc 4000 zeszłego lata kosztował poniżej pięćdziesięciu dolarów.

Każdego roku jesienią w Kolonii w RFN odbywają się największe bodaj na świecie targi sprzętu fotograficznego – Photokina. Tam gromadzą się przedstawiciele ponad tysiąca firm z kilkudziesięciu krajów, by pokazać swe nowości. Tam też przyjeżdżają fachowcy, kupcy, dziennikarze, by zobaczyć, jakie tendencje będą dominować w najbliższych latach.

Publiczność Photokiny'82 zwróciła uwagę na produkt japońskiej firmy Sony, znanej dotąd z elektronicznych urządzeń do zapisu i odtwarzania dźwięku i obrazu telewizyjnego. Co skłoniło Sony do zajęcia się fotografią? Sony ma pomysł zapisu nieruchomego obrazu nie na materiale światłoczułym, lecz na płytkach magnetycznych. Takie płytki można by używać wielokrotnie, tak jak taśmę dźwiękową w magnetofonie. Magnetyczne zdjęcia można oglądać (za pomocą odpowiedniej przystawki) na ekranie telewizora. Inna przystawka pozwala uzyskać odbitki na papierze.

Ta nowość Sony nazywa się Mavica. Z zewnątrz niczym nie różni się od normalnego fotoaparatu. Na razie Mavica jest dość droga, drogi jest też niezbędny osprzęt. Specjaliści nie są jeszcze całkiem zadowoleni z jakości obrazu elektronicznego, uzyskiwanego za pomocą

aparatów Mavica. To oczywiste przeszkody w zdobywaniu klientów. Handlowcy dalecy są jednak od lekceważenia tej nowości. Byli oni świadkami czterokrotnego spadku popytu na kamery filmowe „super-8" od chwili pojawienia się udoskonalonych urządzeń video do magnetycznego zapisu ruchomego obrazu. Przyglądają się zatem bacznie postępom bezfilmowego aparatu Sony.

Aparat aparatowi nierówny. Od absolutnej prostoty wspartej techniką mikroprocesorową po wyrafinowaną precyzję i wieloletnie doświadczenie. Nowe generacje sprzętu są łatwiejsze w obsłudze, lżejsze, tańsze. Gwarantują poprawne naświetlenie. Jest jednak jedno „ale". Sprzęt, najbardziej nawet doskonały, nie zrobi sam dobrego zdjęcia. Automatyczny układ pozwala na przyzwoity poziom techniczny, ale nie zastąpi talentu. Bez umiejętności kompozycji, wyczucia momentu i odrobiny własnego stylu – pozostanie tylko poprawność techniczna, dobrze naświetlona klatka. Warto zapamiętać: zdjęcia robi nie aparat, lecz człowiek przy użyciu aparatu.

Elektronika uprościła mechanizm fotografowania. Skróciła medytacje nad doborem przysłony, czasu migawki. Nawet w trudnych warunkach można obejść się bez statywu i robić zdjęcia „z ręki". Fotografujący może i powinien skupić się na wyborze tematu i ujęciu kadru, utrafić najwłaściwszy moment do zwolnienia migawki. To wymaga doświadczenia, praktyki.

Kluczem do twórczej fotografii jest to, co francuski fotografik Henri Cartier-Bresson nazwał „decydującą chwilą". To moment, w którym fotografowany obiekt najpełniej wyraża nastrój, który chcemy uchwycić.

Ślad smutku w oczach, gniew, dramat lub radość. Decyduje oko fotografa, nie – aparat. Aparat utrwala jedynie na kliszy ów moment.

Doświadczeni fotografowie podkreślają zgodnie, że najlepiej uczyć się robienia zdjęć na aparacie jak najprostszym. Do nauki komponowania kadru i wyczucia tej najwłaściwszej chwili na zwolnienie migawki nie trzeba sprzętu drogiego, skomplikowanego. Przeciwnie – owe „druhy" i „starty" to najlepsza szkoła. Czy zaś można zrozumieć i wypraktykować to, co nazywa się głębią ostrości, przy użyciu aparatu, który sam reguluje odległości? Z drugiej strony słychać takie zdanie: „Tak, to prawda. Trzeba się uczyć na aparatach jak najprostszych, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by były to aparaty dobre, z dobrą optyką i niezawodną migawką. Nowa technologia i użycie podzespołów elektronicznych daje dopiero jakość, na której można polegać".

Zostawmy ten spór. Świadomość i wrażliwość na światło, kompozycję, dobór obiektywu i umiejętność uchwycenia właściwego momentu to prawdziwe warunki przekroczenia granicy między pstrykaniem a fotografowaniem. Gdy zaś fotograf osiągnął to, co określa się mianem „dobrego oka", zmierzać powinien do celu najważniejszego, choć bardzo nieuchwytnego: powinien wypracować swój osobisty styl fotografowania.

Skłonność do określonych przedmiotów czy tematów, używanie pewnego typu obiektywów, warunków świetlnych, filmów, nawet specjalnych efektów – to wszystko może warunkować styl. Używanie jednej techniki może stać się tak charakterystyczne, że wystarczy zamiast podpisu autora. Ale prawdziwym fotograficznym stylem jest wyrażenie osobowości modelu, a także wewnętrznych przemyśleń autora. Styl to człowiek.

Przytoczyłem na wstępie opinię – brzmi ona dość dziwnie, ale jest przecież prawdziwa – że aparat fotograficzny to najbardziej dziś upowszechnione narzędzie sztuki ludowej. Aparaty sprzedawane są w milionach egzemplarzy. Gdy wybierzesz coś dla siebie, gdy już nasycisz się robieniem bezmyślnych fotek, zastanów się, czy przy pomocy swego aparatu mógłbyś wyrazić, zarejestrować coś więcej. Te próby, te poszukiwania mogą być fascynujące. Aparat może być narzędziem sztuki. Wszystko zależy od fotografującego. Prawdziwa fotografia artystyczna przedstawia widzowi nie tylko sam obiekt lub wydarzenie. Świadczy również o osobowości autora.

Dzisiejszy wspaniały sprzęt może – jak nigdy przedtem – pomóc nowicjuszowi w robieniu wartościowych zdjęć. Uwalnia go bowiem od mechanizmu fotografowania po to, by mógł skoncentrować się na jego sensie. To jest właściwy pożytek z tych wszystkich komputerów, czujników, mikroukładów i fruwających luster.



Dr Michalina Wisłocka

KALEJDOSKOP SEKSU

« Być czy mieć »



Chlebem codziennym pracy seksuologa jest problem układów szczęściodajnych w życiu. Istnieją w tej dziedzinie dwie postawy: „mieć" i „być". W postawie „być" nieważne jest posiadanie różnych dóbr, tylko współżycie każdego z nas z otaczającą naturą.

W życiu spotykamy na każdym niemal kroku sytuacje, które w sposób drastyczny ukazują postawę „mieć". Wczoraj na spacerze pod murami warszawskiej Starówki zobaczyłam grupę dziewczynek świergocącą jak stado wróbli na ogromnym, okrytym kwiatami drzewie czeremchy. Podchodząc bliżej zauważyłam, że weszły na drzewo, aby łamać całe naręcza kwitnących gałęzi. Na pytanie, po co to robią, czy nie szkoda im drzewa, przecież jest takie piękne – odpowiedziały, że chcą mieć te kwiatki w domu.

I w ten sposób drapieżna chęć mienia i zabierania wszystkiego na własność niszczy piękno otaczającej natury, którym zachwycać się może każdy.

W impresjach poetyckich Rabindranath Tagore opisuje scenę przepływania łodzią przez Ganges o zachodzie słońca. Obydwaj z przewodnikiem siedzą milczący i oczarowani cudowną feerią blasków wody i nieba, gdy nagle wyskakuje z wody duża ryba, mieniąc się w zachodzącym słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Z obu piersi wyrwało się westchnienie. Przewoźnik pomyślał – taka ryba! Jakaż to byłaby uczta dla całej rodziny. Poeta odczuł pojawienie się ryby, jako ostatni akcent podkreślający skończone piękno i harmonię obrazu przedwieczornej godziny.

I znów pojawia się w tej scenie „mieć" i „być".

Kiedyś zgłosiła się do poradni piękna dziewczyna. Patrzyłam z przyjemnością na jej kruczoczarne, lśniące włosy, piękną cerę, interesujące, pełne smutku oczy i idealną sylwetkę. Rzadko spotyka się tak harmonijny przykład. Skarżyła się, że od kilku lat ma chłopca, który ją adoruje, obdarza, wozi na wycieczki. Jednym słowem, jest zawsze na jej usługi, tylko, niestety, nie przejawia żadnej inicjatywy w dziedzinie kontaktów fizycznych. Nawet gdy są jedynie we dwoje na kempingu czy wycieczkach. Różne mogą być przyczyny takiego stanu rzeczy. Być może sytuacja da się zmienić czy poprawić, ale istnieją również przypadki impotencji wrodzonej lub związanej z jakimś kalectwem, która bynajmniej nie pozbawia chłopaka zdolności kochania, nie w sensie ściśle fizycznym.

Powiedziałam pacjentce, że sprawa jest skomplikowana i jeżeli go kocha, to warto się potrudzić nad rozwiązaniem tej zagadki, ale trzeba wziąć pod uwagę, że przypadek ten może nie poddawać się żadnemu leczeniu. Przede wszystkim jednak powinna odpowiedzieć sobie na pytanie: czy go kocha tak, że nie potrafi sobie wyobrazić życia bez niego. Bo jeżeli nie, to może lepiej rozstać się póki czas, nie zawierając umowy na całe życie.

– Czy go kocham? – patrzy na mnie swoimi pięknymi, nic nie rozumiejącymi oczami. Po prostu nie rozumie pytania.

Coraz częściej zamiast: „ja go kocham", pojawia się sprecyzowanie: „ja chcę go mieć"; chcę żeby mnie uwielbiał, miał pieniądze, samochód, a przede wszystkim obdarzał mnie złotymi orgazmami, wysadzanymi brylantami w najlepszym gatunku, prawie jak zagraniczny kolorowy telewizor z Pewexu. Bo nieważne, co pokazuje, ale ile kosztuje.

Idąc dalej tą drogą rozumowania, nieważne jest, czy kocha, wybacza, przeczekuje złe passy – ważne natomiast, żeby dawał, dawał, dawał. Żeby mieć pełne ręce satysfakcji seksualnej i pożytków wynikających z małżeństwa.

A tymczasem Antoni Kępiński w „Rytmie życia" stwierdza, że „*Przyjemność życia w dużej mierze wiąże się z wysiłkiem, jakiego życie stale wymaga. Większą radość daje zdobycie szczytu górskiego po kilkugodzinnej wspinaczce niż po kilkunastominutowej jeździe kolejką linową. Łatwość, z jaką dziś wiele przyjemności się osiąga, obniża ich walor. Obserwuje się to zarówno w przeżyciach estetycznych i erotycznych, jak w przeżyciach tak prozaicznych, jak jedzenie, picie, odpoczynek. Życie straciło swój smak, gdyż zbyt łatwo wiele przyjemności się zdobywa*".



Wychowywanie dzieci w klimacie posiadania i kultu dla rzeczy drogich rozpoczyna się, to śmieszne, ale niemalże od urodzenia.

Po cóż, na przykład, karmić piersią? Przecież znacznie wytworniej kupować „Humanę" w Pewexie. Po co kasza gryczana, kukurydziana albo pospolite płatki owsiane? Trzeba zdobyć za wszelką cenę luksusowe, witaminizowane, zagraniczne odżywki dla dzieci. I tak, odrywając dziecko od natury, odbieramy mu wszystkie ciała odpornościowe, które dostaje się z mlekiem matki w pierwszych dwóch, trzech miesiącach życia. A później zamiast mleka, sera, jarzyn, kaszy, owoców przekarmiamy je gotowymi odżywkami, nie zastanawiając się, że każda z nich zawiera zestaw witamin sztucznie dodawanych. Karmimy najróżniejszymi mieszankami szybko i wygodnie, kumulując w organizmie bez umiaru te bezcenne witaminy, a jeszcze „dla zdrowia" dodając leki witaminowe, jak „Vibovit" itp.

Jaki skutek tego nadmiaru bogactwa już w życiu niemowlęcym? Po prostu, wystarczy porównać człowieka z rośliną. Wiadomo, że nawozy i pożywki stosowane w nadmiarze niszczą rośliny i nie sprzyjają ich rozwojowi. Rosną nam dzieciaki wysokie, wybujałe, o słabych wiązadłach kręgosłupa. Wypadanie dysków ujawnia się nierzadko już w wieku kilkunastu lat. A ponadto, jest to obserwacja z mojej praktyki ginekologicznej, nadmierna wybujałość i akceleracja wzrostu przejawia się głównie w strukturze kostno-mięśniowej na niekorzyść tak cennych dla organizmu narządów, jak gruczoły płciowe, serce, czy układ nerwowy. Wynikiem tego jest, jak sądzę, zupełnie odmienny przebieg okresu dojrzewania u nowoczesnych dziewcząt. Podręcznikowo, według reguł ustalonych dawnymi czasy, dziewczyna po rozpoczęciu miesiączkowania miała miesiączki regularne, a macica i narządy rodne osiągały wielkość jak u kobiety dojrzałej. Mała macica, określana jako infantylna, zdarzała się rzadko i była traktowana jako nieprawidłowość wymagająca leczenia. Dzisiaj co druga dziewczyna, szczególnie wśród tych wybujałych, dobrze wyrośniętych, ma zaburzenia w regularności miesiączkowania z przerwami od kilku tygodni do kilku miesięcy. Większość tych dziewcząt ma małe, infantylne macice.

Moim zdaniem jest to współczesna forma dojrzewania dziewcząt i ani małe macice, ani nieregularne miesiączki nie wymagają leczenia, jakie stosowano w analogicznych przypadkach dawniej.

Podobnie, na przykład, u wybujałych chłopców trzeba zwracać uwagę na unikanie gwałtownych, przekraczających możliwości wolniej rozwijającego się serca (małe serce) wysiłków fizycznych, które mogą prowadzić do omdlenia i poważnych komplikacji sercowych.

Kończąc o odżywkach wracamy znowu do konsumpcyjnego wychowania człowieka. W miarę dorastania dziecko musi mieć rower: drogi i nowoczesny, strój indiański za kilka tysięcy na jednorazowy bal w przedszkolu itp. Ażeby na to wszystko zarobić, tatuś i mamusia orzą od świtu do nocy, nie mając chwili czasu, by dzieciaka wziąć na kolana, wysłuchać jego żalów, pobawić się z nim i pomaleńku, dzień po dniu wychowywać na człowieka ceniącego miłość i ciepły kontakt z bliskimi i umiejącymi kochać ludzi, zwierzęta, rośliny.

To przerażające, ale coraz częściej spotykam w poradni młodzieżowej pacjentów, którzy nie rozumieją, co to znaczy kochać wybranego człowieka. I tu znów przy wyborze partnera na całe życie dają o sobie znać cechy wychowania konsumpcyjnego „mieć", a nie „być"... Zamiast radosnej zabawy w łóżku we dwoje zaczyna się gwałcenie, niestety, dziś najczęściej partnera, wymuszanie na siłę ilości stosunków, orgazmów, satysfakcji fizycznej. A w takim „polowaniu na orgazm", jak na dzikiego zwierza, gubi się całe człowieczeństwo, tolerancja i chęć uszczęśliwienia drugiego człowieka.

Nie ma w tym układzie szansy na przyjaźń ani miłość. I tak, walcząc z sobą i wychowując dzieci na następne pokolenia małych drapieżników i konsumentów, dochodzimy do starości. Powiedział kiedyś pewien mądry człowiek, że nie ma gorszego towarzysza na starość niż złoto.

Chęć posiadania bowiem dzieli nas nieprzebytym murem agresywnej wrogości nie tylko od ludzi, ale również od otaczającego świata i przyrody. W wyniku postawy życiowej „mieć" dzieją się rzeczy straszne, jak wojny, morderstwa, rabunki. Chęć posiadania zakorzeniona w człowieku stanowi główną przeszkodę w zrozumieniu sensu istnienia, w końcu którego śmierć staje przed nami jako potworna niesprawiedliwość, odbierając nam wszystko, o co walczyliśmy przez całe życie, czego broniliśmy do ostatniej minuty tego życia i z czym musimy się nieodwołalnie rozstać.

Natomiast człowiek, którego dewizą nie jest „mieć", ale „być", być człowiekiem – kocha i rozumie sens życia człowieka, rośliny czy zwierzęcia, osiągając równość nie w posiadaniu, tylko usytuowaniu wobec natury. Człowiek współżyjący harmonijnie z przyrodą widzi i rozumie zachodzące w niej przemiany. Jasne dla niego, że istnieje czas siania, czas rośnięcia, czas kwitnienia i owocowania, a potem opadają liście, zamierają soki i przychodzi czas umierania, aby znowu na wiosnę powstać do życia.

Zatrucie środowiska wewnętrznego



Warto teraz zastanowić się nad przyczynami zaburzeń seksualnych, wynikających z przemian społecznych, jakie zachodzą pod wpływem coraz szerzej popularyzowanej oświaty seksualnej, jak również z ubocznych skutków emancypacji kobiet.

Ponad dziesięć lat temu życie ludzkie zbulwersowała tzw. inwazja seksu. Był to na Zachodzie okres rozkwitu sex-shopów, pornografii oraz eksperymentów z tzw. małżeństwami zbiorowymi, które narobiły współcześnie wiele szumu, choć zresztą krótkotrwałego, bo dziś mało kto do tych spraw jeszcze wraca. Na fali tej pseudoinwazji, szczególnie w Polsce, gdzie zagadnienia seksu z dużym trudem przecierały sobie drogę, rozpoczęła się akcja oświaty seksualnej. Może to i dobrze, że różnego autoramentu opory zwolniły te procesy w naszym kraju, ponieważ uchroniły nas od popełnienia szeregu błędów, za które Zachód i Szwecja musiały drogo zapłacić.

Pomimo że nasza oświata seksualna bardzo powoli i w małych dawkach przenikała do społeczeństwa, nie uniknęliśmy pewnych negatywnych skutków, które stanowią cenę prawie każdych postępowych tendencji społecznych. Seksuologia jest nauką i podobnie jak wszystkie inne dyscypliny naukowe rozwija się z wolna, skokami, ulega różnym wahaniom od jednej krańcowości do drugiej i dopiero po upływie lat następuje stabilizacja, która w sumie posuwa wiedzę i kulturę ludzką o kilka kroków do przodu. Odchylenia takie nie są szczególną właściwością seksuologii, jest to ogólne prawo, ale i cena, jaką płacimy za postęp. Ostatnimi laty obserwujemy w Polsce rozkwit piśmiennictwa seksuologicznego, tak naukowego, jak i o charakterze popularnym, a co za tym idzie nasiąkanie społeczeństwa wiedzą z tej dziedziny.

Wiedza, jak każda wiedza zresztą, może być użyteczna, może być niebezpieczna. Seksuologia oprócz licznych drobniejszych zagadnień poruszyła dwa problemy, które wydawały się seksuologom społecznie najbardziej godne uwagi i najpilniejsze do rozwiązania. Problemami tymi była sprawa onanizmu u młodzieży i dorosłych oraz oziębłość kobiet. Rozważania moje zawężę tu do zagadnienia oziębłości kobiet, które z upływem lat związało się w sposób trudny do rozgraniczenia z drugim zagadnieniem społecznym, mianowicie z emancypacją kobiet.

Trudno się dziwić, że te dwa problemy tak łatwo znalazły wspólny mianownik, ponieważ jeden i drugi dotyczy równouprawnienia kobiety, z tym tylko, że oziębłość ogranicza się do problemów łóżkowych, podczas gdy emancypacja obejmuje wszystkie zagadnienia życia kobiety w społeczeństwie. Ruch społeczny kobiet, zmierzający do równouprawnienia, stał się ruchem nowatorskim, powodującym głębokie przemiany społeczne. Kobieta, zamknięta dotąd w ciasnych ramach rodziny i całkowicie uzależniona od mężczyzny, nie miała szans, z wyjątkiem jednostek wybitnie utalentowanych, które miały dość siły, by odrzucić wiążące je konwenanse, na rozwinięcie swoich zdolności umysłowych, artystycznych czy w ogóle życiowych. Emancypacja polska otworzyła kobiecie szerokie możliwości kształcenia, osiągania samodzielności w sztuce, nauce i różnych dyscyplinach pracy, dając jej szansę na rozwój wrodzonych zdolności, podobnie jak mężczyźnie.



Niestety, każdy ruch społeczny czy naukowy, najbardziej nawet pozytywny ma swoją cenę, którą trzeba za niego zapłacić. Taką ceną emancypacji, jak również wypaczaniem jej idei stały się próby stawiania całkowitego znaku równości między mężczyzną a kobietą.

Dziś jeszcze przypominam sobie czołówki gazet krzyczące tytułami: „Kobieta na traktorze", „Kobieta podaje cegłę". Nie minęło dziesięć lat, gdy przekonaliśmy się, jak ujemnie wpływa na kobietę praca wymagająca dużych wysiłków mięśniowych, jak uszkadza czynność hormonalną jajników i sprawy płodności wibracja towarzysząca pracy na traktorze. Dziś już te zapędy przeszły do historii, ale pojawiły się następne problemy. Okazało się, że kobieta pracująca, samodzielna, zatrudniona jest, w gruncie rzeczy, na dwóch etatach: w domu i w zakładzie pracy, że ta wolność przekształciła się w potworny kierat niewolniczy, zamykający jej wszelkie szanse na kobiecość czy jakiekolwiek ludzkie życie.

Szczęśliwie wykształcający się z wolna układ partnerski małżeństwa, który stworzyło życie, zapobiegając całkowitemu zniszczeniu komórki rodzinnej, poprawił wyraźnie sytuację w tym względzie, rozdzielając mniej więcej (raczej mniej niż więcej) sprawiedliwie obowiązki mężczyzny i kobiety w rodzinie.

Mnóstwo szkód przyniosły nam również przywileje. Jak równość, to równość. Wprawdzie Jerzy Urban we wstępie do książki Danuty Sękalskiej pt. „Kobieta wyzwolona" stwierdza, że *„Polka nie zmierza do detronizacji mężczyzny, lecz pragnie z jego społecznej dominacji wyciągnąć maksimum korzyści dla biegu swego życia w kameralnej skali"*, zaś Michał Radgowski na łamach „Kobiety i Życia" podkpiwa, że na takie dictum obruszyłyby się z pewnością amerykańskie feministki, gdyż ich celem była niewątpliwie „detronizacja mężczyzny", obalenie jego posągu z hukiem i trzaskiem, a nie jakieś tam korzyści w „kameralnej skali".



Coś w tym jest!... ta kameralna skala to właśnie umiar i poczucie rzeczywistości, natomiast szukając mocnego zadokumentowania swej równości niektóre kobiety piją wódkę i palą papierosy znacznie wcześniej i w większych ilościach niż mężczyźni. Skutki nie dają na siebie długo czekać, nie mówiąc już o tak tragicznych, jak statystyka raków płuc, na które niegdyś chorowali tylko mężczyźni, a obecnie połowa chorych to kobiety, a co gorsza młode, niewiele po trzydziestce.

Próba osiągnięcia równości w sposób dosłowny jest eksperymentem bardzo niebezpiecznym, ponieważ kobieta różni się od mężczyzny w sposób zupełnie zasadniczy. Jak długo będzie ona rodzić i wychowywać dzieci, musi pielęgnować pewne wrodzone odrębności fizyczne i psychiczne, które odgrywają zasadniczą rolę w tych właśnie obowiązkach. Kobiety w pogoni za równouprawnieniem starają się nadmiernie upodobnić do mężczyzny, tracąc przy tym wszelkie walory i przywileje swojej kobiecości. Nie darmo w kulturze naszych babek przekazywanej z pokolenia na pokolenie przez dziesiątki, a nawet setki lat istniały nienaruszalne zasady, normujące układy męsko-damskie. Zasady te chroniły macierzyństwo, ułatwiały opiekę nad potomstwem i uczyły kobietę, jak uszczęśliwić mężczyznę oraz utrzymać go przy sobie, po to, żeby dzieci i kobieta, dość bezbronne w tym okresie, zyskiwały ochronę silnego, męskiego ramienia. Ażeby to ramię było silne i męskie, kobieta musi być choć trochę słaba i nieporadna, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się pchał z opieką do takiej Zosi-Samosi, która wszystko sama, sama i to jeszcze lepiej niż którykolwiek mężczyzna. To że w momencie zrywu kobieta potrafi sama i lepiej, to wcale nie świadczy, że w okresach swoich kobiecych słabości również to będzie potrafiła. A mężczyzna, stworzenie wygodne i leniwe, nadzwyczaj szybko traci wszelkie odruchy opiekuńcze i rycerskie, gdy nie widzi koniecznej potrzeby tego typu poczynań.

Nasze babcie, aczkolwiek niewykształcone w nowoczesnej psychologii, znały jednak dokładnie fizjologię i odmienność płci i wychowywały swoich mężczyzn w klimacie własnej słabości i niemożności, wyzwalając w nich w ten sposób maksymalną zaradność, opiekuńczość i siły życiowe.

Nic nie stoi na przeszkodzie, by współczesna kobieta, ucząca się, pracująca i mająca własne zainteresowania, szanowała męskość swojego mężczyzny i przyzwyczaiła go do opieki i troski nad nią i dziećmi, pomagając mu tylko w miarę potrzeby, a nie rozpychając się łokciami na przodujące miejsce w rodzinie, ponieważ jej rola jako matki pozostanie zawsze niezastąpiona i przodująca. Mężczyźni chętnie argumentują, że całą naukę, sztukę, kulturę świat zawdzięcza talentom i pracy mężczyzn.

A kobiety? Kobiety stworzyły, wychowały, uformowały psychicznie i umysłowo tych mężczyzn, gdy byli jeszcze dziećmi. I można by napisać tomy o roli matki w tworzeniu ludzi wielkich: polityków, artystów i naukowców.

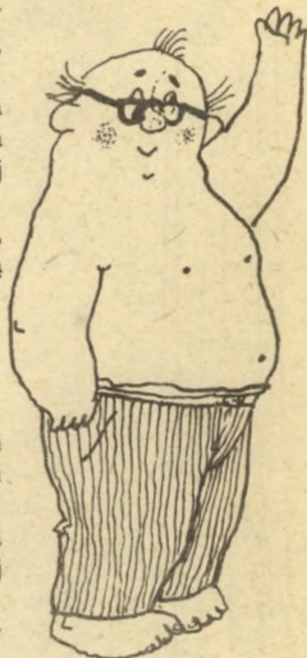
Lekceważymy pod wpływem zrównania praw swoje codzienne obowiązki w wychowaniu i kształtowaniu psychiki i uczuciowości naszych dzieci. Lekceważymy również kształtowanie i rozwój kultury w rodzinie, której poziom leży przede wszystkim w rękach kobiety. I tu doszliśmy do drugiego elementu naszych rozważań, tj. do ujemnego wpływu emancypacji kobiet na sposób podejścia do spraw seksu.

Podobnie tu, jak w omówionych poprzednio dziedzinach życia, chęć dominacji, wynikająca z nadmiernego upodobnienia się do mężczyzny, stworzyła problem, który określiłam kiedyś „polowaniem na orgazm". Kobiety, studiując pilnie literaturę seksuologiczną, doszły do wniosku, że w dawnych latach największym nieszczęściem kobiety była oziębłość seksualna i niezdolność przeżywania orgazmu. Zabawna sprawa, ale ten „zwierz", czyli słowo: – orgazm, narodził się bardzo niedawno, chyba razem z oświatą seksualną. Kiedyś taki termin w ogóle nie istniał, a tym samym nie było problemu. I zdumiewająca sprawa, pomimo że statystycznie siedemdziesiąt procent kobiet nie przeżywało orgazmu w czasie stosunku, większość z niech była zadowolona ze współżycia z mężem, czułości, serdeczności, jaką ją otaczał i rozlicznych przejawów ciepłej troski wynikającej z roli opiekuna i pana domu. Oczywiście, było i wtedy wielu tyranów i dyktatorów, ale powiedzmy uczciwie z ręką na sercu, w dobie rozkwitu emancypacji: czy i dziś ich nie ma? Krańcowości zdarzały się zawsze, ale ci wszyscy przeciętni ojcowie rodzin, którzy potrafili być opiekuńczy i kochający. Ci, którzy rozkwitali w cieple podziwu i uznania własnej kobiety, więdną marnie w mroźnym klimacie równouprawnienia. A kobiety lamentują wołając: „gdzie ci mężczyźni?", chociaż na skutek ich i wyłącznie ich błędnej polityki ten gatunek jest bliski wyginięcia. Do podobnych wniosków zdaje się dochodzić pani Sękalska. Stwierdza ona w swojej książce, że istnieje dziś model „mężczyzny słabego", udręczonego życiem, nie dającego sobie rady. Gdyby rozpowszechnił się wśród gatunku istot tryskających przez wieki męskością byłoby to najdziwniejsze zwycięstwo feminizmu. Kobieta uwolniłaby się od samca – o czym marzą damy z Women's Liberation – ale także od partnera!

Organizm kobiety jest zbudowany inaczej niż organizm mężczyzny i nie na darmo strefy erotogenne rozsiane są u niej na całym ciele od stóp do głów. I nie bez kozery wrażliwość ich jest niejednokrotnie tak znaczna, że można doprowadzić kobietę do orgazmu pieszczotami uszu, piersi czy też innych wrażliwych okolic skóry. I nie na darmo wrażliwość seksualna mężczyzny jest zlokalizowana prawie wyłącznie w okolicy narządów płciowych i przeżycia z tego regionu dają im maksymalne wzruszenia seksualne. A niemądre kobiety w pogoni za równouprawnieniem postawiły sobie za cel życiowy orgazm obejmujący wyłącznie narządy rodne i będące dosłowną repliką orgazmu męskiego. I to wielkie nieporozumienie stało się najczęstszym źródłem dramatów rodzinnych, gdy kobieta na pozór szczęśliwa, mająca dzieci, dom, kochającego męża rujnuje to wszystko w poszukiwaniu identycznych przeżyć, jak mężczyzna. Próbuje osiągnąć ten cel rozmaitymi drogami, a to szukając przyjaciela, który zadowoli jej wszystkie wymagania lub w ostateczności zadręczając męża ciągłymi utyskiwaniami, że orgazm nie taki, nie pochwowy, łechtaczkowy, że nie w trakcie, a przedtem lub potem...

Najczęściej przygodny romans ukazuje takie same mankamenty jak współżycie z mężem, a nierzadko fatalnie odbija się na małżeństwie. Prześladowanie natomiast męża w ciągłej pogoni za takimi czy innymi przeżyciami, powoduje załamanie się psychiczne kruchych z natury w tej dziedzinie chłopów, doprowadzając ich do mniejszej lub większej impotencji.

I tak ręka w rękę emancypacja i oświata seksualna, oczywiście źle rozumiana, zamiast korzyści, stwarzają w miłości i małżeństwie mnóstwo konfliktów, nieporozumień i nieszczęść, które są wysoką ceną, jaką płaci za wyzwolenie i postęp współczesna kobieta.



Zatrute środowisko psuje miłość

W ciągu trzydziestu lat mojej pracy seksuologa obserwuję, jak zmieniają się problemy i dolegliwości, z którymi przychodzą do nas pacjenci. W latach sześćdziesiątych do mojej poradni przychodziły prawie wyłącznie kobiety, w większości dojrzałe, z problemami oziębłości płciowej. Tak zwykle bywa, że mężczyźni wysyłają swoje babki na zwiad, gdy pojawia się jakaś nowa możliwość terapeutyczna. Po czym uspokojeni, że da się przeżyć taką poradę, że głowy tam raczej nie urywają i nie wyśmiewają się z człowieka, sami decydują się na przyjście do lekarza.

Przez prawie dziesięć lat utrzymywała się równowaga w liczbie pacjentów obu płci, a w ostatnich latach nagle szala przechyliła się na korzyść mężczyzn. Wszelkie takie przesunięcia nie zdarzają się bez przyczyny, wobec tego zaczęłam się zastanawiać, co się zmieniło w układach męsko-damskich i życiowych mężczyzny, powodując ten nagły wzrost liczby pacjentów. A przyczyną okazał się wpływ środowiska – świata zewnętrznego i wewnętrznego, w rodzinie, na życie seksualne mężczyzn.



Z reguły, gdy ktokolwiek zwraca się z prośbą o poradę seksuologiczną do mnie, próbuję wyjaśnić, czy nie istnieje morfologiczne podłoże tych zaburzeń. To znaczy: niekorzystne zmiany w środowisku otaczającym pacjenta, tryb życia, sposób odżywiania się, leki, które zażywa, potem z kolei wykluczam wady fizyczne, które mogą leżeć u podłoża dolegliwości.

Jak bardzo znaczące mogą być rzeczy na pozór zupełnie drobne obrazuje prosty przykład. Młody człowiek ma trudności w życiu seksualnym, a często i zaburzenia płodności. A przyczyna leży w tym, że nosi ciasne, ściśle przylegające do ciała slipki, często zimą wełniane, nierzadko po prostu elastyczne kąpielówki. Przyciskanie do ciała, a co za tym idzie przegrzewanie jąder, które, jak wynika z ich budowy anatomicznej i naturalnego zawieszenia, powinny znajdować się w atmosferze swobodnej, raczej przewiewnej, aby ich temperatura była niższa od temperatury ogólnej ciała, po dłuższym czasie staje się przyczyną zaburzeń czynnościowych w życiu seksualnym i zaburzeń płodności.

Inna przyczyna wynikająca z trybu życia i rodzaju pracy. U mężczyzn pracujących w środowiskach o dużym skażeniu atmosfery w pierwszym rzędzie pojawiają się zaburzenia czynności gruczołów płciowych, a zaraz potem uszkodzenia wątroby, która jest narządem odtruwającym cały organizm. Jeden z moich pacjentów, który był właścicielem samochodowego warsztatu lakierniczego i, jak sam twierdził, oszczędzał na urządzeniach wentylacyjnych, z chwilą gdy zgłosił się po poradę do seksuologa z powodu narastającej impotencji i niepłodności, miał już, jak wykazały badania ogólne, równie ciężko uszkodzoną wątrobę. Przyczyniły się do tego również różnego rodzaju rozpuszczalniki, wdychane stale w toku pracy.

Jak zauważyłam, pierwszym sygnałem zatrucia organizmu są właśnie zaburzenia seksualne, ponieważ ten najdelikatniejszy i najcenniejszy gruczoł jest również najbardziej wrażliwy. Ale gdy pojawiają się tego rodzaju dolegliwości, wiadomo również, że wątroba nadaje się już do leczenia.

Porada była krótka – zorganizować pełnowartościową wentylację w zakładzie pracy i odtruć organizm przez leczenie czynności wątroby.

W chwili obecnej w miarę wzrostu i rozwoju przemysłu chemicznego, hutniczego, przetwórczego itp. napływa coraz większa liczba pacjentów z tych właśnie aglomeracji z wyżej opisanymi zaburzeniami.

Wydaje mi się, że mężczyźni, wiedząc czym grozi systematyczne zatruwanie organizmu, powinni energicznie dopilnować spraw związanych z ochroną środowiska w miejscu pracy, ponieważ tylko na tej drodze istnieje szansa na poprawienie ich możliwości seksualnych. W sytuacji gdy lekceważymy zagadnienie oczyszczania ścieków, powietrza, wody itp. miejsc o wysokim stopniu zanieczyszczenia, z upływem czasu nie tylko nasilają się zaburzenia potencji i możliwości prawidłowego współżycia, ale uszkodzone zostają także plemniki produkowane w jądrach. Zmiany patologiczne, powstające pod wpływem trucizn środowiskowych w nasieniu, stają się przyczyną obumierania ciąż, licznych poronień samoistnych, niewczesnych porodów i martwych płodów, ponieważ organizm próbuje bronić się i odrzuca potomstwo niepełnowartościowe jeszcze przed urodzeniem. Gorzej, gdy dzieci takie przyjdą na świat żywe, ponieważ rodzą się uszkodzone i nierzadko z bardzo ciężkimi wadami wrodzonymi.

Jak wynika z tych bardzo zresztą skrótowych rozważań ochrona środowiska, w którym człowiek pracuje, jest tak ważna dla jego zdrowia i potomstwa, że musi on domagać się kategorycznie od instytucji, która go zatrudnia (wynika to zresztą jednoznacznie z przepisów bhp) oczyszczenia środowiska w takim stopniu, żeby nie było zagrożeniem dla życia i zdrowia pracownika oraz jego dzieci.

Nierzadko dyrekcje fabryk uważają, że łatwiej im zapłacić coroczne kary za zatruwanie środowiska niż jednorazowo zbudować oczyszczalnię ścieków i gazów. Wydawałoby się, że są to jakieś olbrzymie sumy, nieosiągalne w budżecie tych zakładów, a to wcale nie jest prawdą. Na przykład przetwórstwo spożywcze oraz drzewne może wybudować oczyszczalnię w postaci trzech basenów, gdzie w pierwszym zachodzi oczyszczanie chemiczne, w drugim biologiczne, a w trzecim jest już hodowla ryb, która przynosi jeszcze dodatkowe zyski.

Jak dowiedziałam się od jednego z naukowców opracowujących te zagadnienia, taka oczyszczalnia kosztuje od 1,5 mln do 3 mln złotych, a kary, które zakłady płacą za zanieczyszczanie otaczających wód, znacznie przewyższają te kwoty.

Jaki stąd wniosek? Nie widzę innej drogi, jak tylko maksymalne naciski ludzi pracujących w warunkach szkodliwych dla zdrowia na dyrekcje fabryk, aby zainteresowały się tą sprawą.

Oczywiście, problem nie kończy się na jednym przedsiębiorstwie, bo ścieki spływają do rzek, wsiąkają w ziemię i w tej chwili już w ogromnej ilości studni głębinowych pojawia się zanieczyszczona woda. Co mówić w takiej sytuacji o normalnych studniach, które zaopatrują wszystkie nasze gospodarstwa rolne...

I tu następny problem – chemizacja rolnictwa. Biorąc pod uwagę właśnie zanieczyszczenie wód, z których korzystają ludzie i bydło, wypadałoby w ośrodkach maszynowych obok mechanizatora rolnictwa, tzn. człowieka wykształconego w tej dziedzinie, który zająłby się kontrolą i organizacją stosowania sztucznych nawozów, herbicydów i innych preparatów toksycznych. Stosuje je bowiem większość rolników, a co najmniej połowa w sposób nieprawidłowy, zatruwając wody gruntowe, a tym samym siebie i swoje rodziny.

Był u mnie kiedyś pacjent, gospodarz z dużego gospodarstwa zorganizowanego na wysokim poziomie, prosząc o poradę seksuologiczną w sprawie zaburzeń potencji. W toku rozmowy okazało się, że największym jego dramatem życiowym jest brak potomstwa, ponieważ żona dwukrotnie roniła, a dwoje dzieci było niedorozwiniętych, z ciężkimi wadami wrodzonymi i po kilku latach zmarło. Z rozmowy o stosowaniu w jego gospodarstwie nawozów i środków chemicznych wynikało, że nie stosuje najprostszych przepisów bezpieczeństwa: nie przestrzega prawidłowych ilości i stężeń środków stosowanych, a także nie używa odzieży i rękawic ochronnych przy tego typu pracach w polu. Badanie nasienia wykazało bardzo zaawansowaną teratospermię (uszkodzenie kształtu i budowy plemników), czego wynikiem były nieprawidłowe ciąże. Po leczeniu ogólnym i zastosowaniu pełnej odzieży ochronnej, łącznie z okularami i maską przy wyjątkowo toksycznych preparatach, po upływie trzech lat (w tym okresie zalecono im stosowanie antykoncepcji do czasu poprawy jakości nasienia) urodziło się kolejno dwoje zupełnie zdrowych dzieci.

Nasuwa się pytanie, gdzie tu miejsce na seksuologię i co mają seksuologowie do ochrony środowiska? Jak już powiedziałam, jeżeli lekarz chce osiągnąć wyniki, nie może leczyć objawów, tylko musi sięgnąć po przyczyny. I uważam za konieczne szerokie poinformowanie społeczeństwa, o tych przyczynach, bo tylko tędy prowadzi droga do poprawienia sytuacji.

Środowisko, w którym człowiek życie, składa się z dwu elementów: otoczenia zewnętrznego, o którym właśnie pisałam, i tzw. środowiska wewnętrznego, czyli klimatu wewnętrznego, który również w ogromnym stopniu waży na spokojnym i szczęśliwym życiu seksualnym.

Edgar Allan Poe

Maska Czerwonego Moru

Czerwony Mór już od dawna srożył się w kraju. Nigdy wszakże zaraza nie była tak okropna i zgubna. Zaczynała się i kończyła krwią – krwi grozą i czerwienią. Występowały ostre bóle głowy i nagłe zawroty, po czym krew tryskała wszystkimi porami i przychodziła śmierć. Szkarłatne plamy na ciele, przede wszystkim zaś na licu ofiary, były oznakami moru pozbawiającymi ją pomocy i przychylności ludzkiej; cały zaś początek, przebieg i koniec choroby odbywał się w przeciągu pół godziny.

Ale książę Prospero był szczęśliwy, przezorny i nieustraszony. Gdy dzierżawy jego wyludniły się na poły, spośród dam i rycerzy swojego dworu wezwał do siebie tysiąc najkrzepszych i najpogodniejszych i wraz z nimi schronił się w niedostępnym odludziu przedzierzgnionego w warownię klasztoru. Był to przybytek przestronny i okazały, twór odrębnego, lecz dostojnego smaku księcia. Mocny, wysoki mur opasywał go dookoła. W murze widniały żelazne bramy. Dworzanie, wszedłszy do zamku, przynieśli panwie i ogromne młoty i pozabijali na głucho wrzeciądze. Postanowili nie wypuszczać ani nie wpuszczać nikogo, chcąc w ten sposób zapobiec porównie nagłym podrywom rozpaczy od wewnątrz, jak i zapędom wściekłości od zewnątrz. Klasztor był sowicie zaopatrzony we wszystko. Poczyniwszy te środki ostrożności, mogli dworzanie urągać zarazie. Świat zewnętrzny niech sam ma staranie o sobie. Byłoby głupstwem trapić się i zastanawiać przed czasem. Toć książę pomyślał także o wszelakich rozrywkach. Byli więc tam trefnisie, improwizatorowie, tancerze i grajkowie, a na domiar zupełne bezpieczeństwo. Zewnątrz zaś był Czerwony Mór.

W piątym czy szóstym miesiącu tego odosobnienia, gdy poza obrębem zamkowych murów najwścieklej srożyła się zaraza, zaprosił książę Prospero swych tysiąc przyjaciół na niezwykle świetny bal maskowy.

Rozkosznym widowiskiem była tam maskarada. Lecz wprzód opowiem o komnatach, w których się odbywała. Było ich siedem – iście królewska amfilada! W innych pałacach, gdy podwoje na oścież są otwarte, tworzą takie amfilady długi i prosty szereg, toteż jest łatwo przejrzeć je na przestrzał. Tutaj urządzenie było najzupełniej odmienne, co zresztą – znając upodobania księcia do niezwykłości – łacno dawało się przewidzieć. Rozmieszczenie komnat było tak bezładne, iż nie więcej niż jedną można było od razu ogarnąć spojrzeniem. Co dwadzieścia lub trzydzieści łokci następował nagły zakręt, a za każdym zakrętem nowa czekała niespodzianka. W prawo i w lewo, pośrodku każdej ściany, wąskie i wysokie okno gotyckie wychodziło na zamknięty krużganek, który podążał równolegle do zakrętów. Okna te były z kolorowego szkła, którego barwa dostrajała się do odcienia, górującego w urządzeniu komnaty. Jakoż wysunięta najdalej ku wschodowi miała obicie błękitne, okna zaś świetlisto modre. W sprzętach i makatach następnej przeważała purpura, toteż szyby były purpurowe. Trzecia była zielona i miała zielone okna. W czwartej urządzenie i oświetlenie mieniło się amarantem, w piątej bielą, w szóstej fioletem. Siódma komnata była wybita czarnym aksamitem, co przysłaniał cały jej strop i zwieszał się ze ścian, spadając w ciężkich fałdach na kobierzec z takiejże tkaniny i tej samej barwy. Atoli kolor jej okien nie zgadzał się z obiciami. Miała bowiem szyby szkarłatne – o głębokim, krwawym nalocie. Wszelako w żadnej z tych siedmiu komnat, śród mnóstwa złotych ozdób, rozsianych dokoła lub zwieszających się ze sklepień, nie było lampy ni świecznika. Światło lamp i świec nie znajdowało do nich przystępu; natomiast w krużgankach, co wiły się wzdłuż amfilady, ustawiono potężne trójnogi z gorejącymi panwiami, których promienie wnikały przez barwiste szyby i krwawymi blaskami zatapiały komnaty. Udało się w ten sposób osiągnąć mnóstwo kraśnych i czarownych harmonii. Ale w zachodniej, czyli czarnej komnacie łuna ognia, padająca przez krwawo zabarwione szyby na ponure obicia, wywoływała wrażenie wprost upiorne i taką grozą oblekała twarze, iż z całego towarzystwa odważali się tam wchodzić tylko nieliczni śmiałkowie.

W komnacie tej, pod zachodnią jej ścianą, stał olbrzymi hebanowy zegar. Głucho, posępnie, jednostajnie tykało wahadło jego w jedną i drugą stronę; kiedy wszakże wskazówka kończyła swój obieg na tarczy i miała uderzyć godzina, wówczas z brązowych płuc zegara rozlegał się dźwięk głęboki, czysty, donośny i nadzwyczaj melodyjny, lecz tak dziwnie gędziebny i uroczysty, iż ze schyłkiem każdej godziny grajkowie orkiestry mimowolnie przestawali na chwilę rzępolić i zasłuchiwali się w dźwięki, bezwiednie zatrzymywali się w swych pląsach tancerze i przelotny niepokój rozradowane ogarniał towarzystwo. Jak długo rozbrzmiewało granie zegara, najlekkomyślniejsi bledli, starsi zaś i stateczniejsi podnosili rękę do czoła, jak gdyby w błędnej jakiejś zadumie czy rozmarzeniu; lecz skoro tylko ostatnie zamierały pogłosy, płochy śmiech naraz przelatywał w tłumie: grajkowie spoglądali na siebie, uśmiechając się ze swego niedorzecznego zmieszania, i szeptem przyrzekali sobie, iż następny odzew nie wywoła już w nich takiego wrażenia; atoli po upływie sześćdziesięciu minut (które mieszczą w sobie trzy tysiące sześćdziesiąt sekund pierzchliwego czasu) granie zegara odzywało się ponownie i ponownie następowało takie samo zadrganie i zaniepokojenie i taka sama nastawała zaduma.

Pomimo to bawiono się wytwornie i ochoczo. Bo też książę niezwykłe posiadał upodobania. Miał subtelne poczucie barw i nastrojów. Lekceważył decora* bezdusznej poprawności. Zamiary jego były zuchwałe i ogniste, a pomysły barbarzyńskim skrzyły się przepychem. Utrzymywano podobno, że

---

* decora (łac.) – pozory

podlegał obłędowi. Towarzysze jego wiedzieli, iż tak nie było. Chcąc atoli o tym się u p e w n i ć, trzeba było wejść z nim w styczność, słuchać go i nań patrzeć.

Od niego to przede wszystkim, dla uświetnienia zabawy, wyszła myśl, by owe siedem komnat w ruchome przystroić opony, on też rozstrzygał przodowniczym swym smakiem o wyglądzie masek. Jakoż istotnie odznaczały się nieokiełznaną pomysłowością. Zachwycały strojnością i powabem, lekkim dowcipem i widziadlanym marzeniem. Były tam arabeskowe postacie, u których wszystko popadło w nieład. Były senne zjawy, jak gdyby poczęte z wyobraźni szaleńca. Było tam wiele piękna, wiele rozpasania, wiele cudactwa, nieco okropności, nie brakło nawet tego, co mogło wzbudzać niesmak. Toteż skroś owych siedmiu komnat falował bezlik snów. Sny te przewijały się z sali do sali, przyjmując od nich zabarwienie, zaś huczna muzyka orkiestry zdała się niby wtórem ich kroków. I oto rozległy się uderzenia hebanowego zegara, ustawionego w aksamitnej sali; i wszystko milkło i cichło w okamgnieniu okrom zegara. Sny zastygały nieruchomo w miejscu. Lecz już zamierają dźwięcznej gędźby echa – toć trwały tylko chwilę – i polatuje za nimi płochy, na wpół stłumiony śmiech. I znów potężnie grzmi muzyka, sny ożywają i jeszcze rozkoszniejszym kołyszą się pląsem, pławiąc się w kolorach mnóstwa barwistych okien, przez które wpadają promienie trójnogów. Jeno do najdalej na zachód położonej komnaty wejść już nie waży się nikt; gdyż noc jest późna i płomieniściej sączy się światło przez krwawo zabarwione szyby; i czerń posępnych opon przeraża; kto zaś swą stopę na czarnym postawi kobiercu, tego głuchy szmer hebanowego zegara uroczystszą z pobliża przejmuje powagą, niż tych, którzy w odleglejszych zabawiają się komnatach.

Za to tym gęstsza w innych salach tłoczyła się ciżba i gorączkowo biło tętno życia. Zapamiętale szalała orgia, aż na zegarze jęła bić północ. I, jak już rzekłem, ucichła muzyka, i ustały taneczne pląsy; i znów zastygło w niepewności wszystko. Dwunastu wszelako uderzeniami zabrzmieć miał tym razem dzwon zegara; i zdarzyło się oto, iż, więcej snadź mając czasu, rozważniejsi z biesiadników w głębszych pogrążyli się zadumach. I snadź z tej samej przyczyny zdarzyło się również, że zanim zapadło w cichość ostatnie echo ostatniego dźwięku, wielu z obecnych miało sposobność dostrzec jakąś zamaskowaną postać, której poprzednio nikt nie zauważył. Kiedy zaś wieść o niej wszędy już obiegła szeptem, wówczas śród towarzystwa całego podniósł się pomruk i wszczęło się sarkanie, w którym przejawiało się zrazu zdumienie i niezadowolenie – później lęk, groza i odraza.

Rzecz prosta, iż niepowszednie musiało być to zjawisko, skoro śród opisanego przeze mnie tłumu widziadeł takie wstrząsające wywarło wrażenie. Wprawdzie swoboda, z jaką tego wieczora obmyślano sobie maski, była prawie nieograniczona, atoli owa postać pozwoliła sobie za wiele i wyłamała się nawet z niezmiernie zresztą luźnych karbów godziwości, uznawanych jeszcze przez księcia. Nawet najlekkomyślniejsi mają w sercu struny, co drgają za dotknięciem. Nawet straceńcy, co szydzą zarówno z życia, jak ze śmierci, mają rzeczy, z których szydzić nie wolno. Jakoż w całym towarzystwie głęboko nurtowało poczucie, iż nieznajomy w stroju i zachowaniu przebrał miarę przyzwoitości i dowcipu. Chechło grobowe spowijało od głowy do stóp postać jego wysoką i chudą. Miał na twarzy maskę, która z taką dokładnością odtwarzała zastygłe rysy trupa, iż najściślejsze badanie niezdolne było rozproszyć złudzenia. A jednak i to wszystko, bez oklasków wprawdzie, ale i bez oburzenia byłaby przyjęła hulaszcza zgraja. Lecz nieznajomy posunął się w swym zuchwalstwie tak daleko, iż przybrał na się wygląd Czerwonego Moru. Szatę miał ubroczoną we krwi – zaś szerokie czoło i cała twarz jego usiana była szkarłatnymi znamiony.

Gdy wzrok księcia Prospera padł na tę piekielną zjawę (co jakby w poczuciu swej roli snuła się śród tancerzy wolno i uroczyście), spostrzeżono, iż drgnął zrazu cały z obrzydzenia czy grozy, lecz wnet potem skroń jego spłomieniła się gniewem.

– Kto śmie? – pytał chrypliwie stojących obok dworzan – kto śmie naigrawać się z nas tym bluźnierczym błazeństwem? Wziąć go i zedrzeć mu maskę, byśmy wiedzieli, co za człek z rozkazania naszego zawiśnie o świcie na blankach!

We wschodniej, czyli błękitnej sali stał książę Prospero wymawiając te słowa. Dźwięcznie, donośnie rozległy się one skroś siedmiu komnat – gdyż silny i nieustraszony był książę, a muzyka na skinienie jego ucichła.

W błękitnej komnacie stał książę śród gromadki pobladłych dworaków. Zrazu, na wezwanie, drgnęli oni z lekka w kierunku natręta, co znajdował się w tej chwili opodal i wolnym, posuwistym krokiem zbliżał się właśnie do mówcy. Atoli jakaś nienazwana groza, którą szalone zuchwalstwo nieznajomego w całym wznieciło towarzystwie, sprawiła, iż nikt na niego nie podniósł ręki; toteż niewstrzymany przeszedł tuż obok księcia; a ponieważ ciżba, jakby na skinienie, ze środka komnat rozpierzchła się pod ściany, przeto tym samym, od początku sobie właściwym, uroczystym, miarowym krokiem szedł nieprzerwanie dalej, z komnaty błękitnej do purpurowej, z purpurowej do zielonej, z zielonej do amarantowej, z tej zaś do białej – zmierzał właśnie do fioletowej, kiedy wreszcie drgnęło postanowienie, by mu zastąpić drogę. Książę Prospero, szalony z wściekłości i sromu, iż własne na chwilę zawiodło go męstwo, rzucił się pędem i biegł przez komnaty, nie mając przy sobie nikogo, gdyż wszystkich innych śmiertelna ubezwładniła trwoga. Wysoko dzierżąc dobyty z pochwy sztylet, zbliżał się szybko i był już o trzy lub cztery kroki od uchodzącej mary, gdy ta, kresu aksamitnej dosięgnąwszy komnaty, odwróciła się nagle i stanęła oko w oko ze swym prześladowcą. Rozległ się przenikliwy krzyk – zalśnił sztylet, na czarny padając kobierzec, a wraz potem, rażony śmiertelnie, powalił się książę Prospero. Z dziką odwagą rozpaczy biesiadnicy tłumnie do czarnej wtargnęli komnaty i pochwyciwszy zamaskowanego zuchwalca, którego wysoka postać prosto i nieruchomo widniała w cieniu hebanowego zegara, struchleli z niewysłowionej grozy, bowiem trupia maska i gzła grobowce, które z taką srogą targali zaciekłością, kształtów dotykalnych nie zawierały wcale.

Poznali tedy obecność Czerwonego Moru. Przyszedł jak złodziej w nocy. Jeden po drugim walili się z nóg biesiadnicy w krwią ubroczonych biesiady swych salach i marli nie zdążywszy zmienić w chwili zgonu rozpacznej postawy przybranej podczas upadku. Życie hebanowego zegara uleciało wraz z tchnieniem ostatniego z wesołków. Płomienie trójnogów pogasły. Niepodzielnie zawładły wszystkim Mór Czerwony, zgnilizna i ciemność.

tłumaczył Stanisław Wyrzykowski

Anegdoty

O lekarzu Demokenesie

Słynny lekarz Demokenes, wtajemniczony w nauki Pitagorasa, był kierownikiem najsławniejszej w starożytności szkoły medycznej w kolonii greckiej Krotonie (VI w. pne.). Podczas podróży na wyspy greckie dostał się do perskiej niewoli i prowadził życie zwykłego niewolnika. Gdy król Dariusz uległ skomplikowanemu zwichnięciu nogi, a stan jego pogarszał się szybko wskutek wadliwego leczenia przez lekarzy egipskich, ktoś wspomniał, że w perskiej niewoli przebywa słynny lekarz. Odszukano Demokenesa, który początkowo nie chciał przyznać się do swego zawodu, lecz wreszcie oświadczył, że zna się nieco na sztuce lekarskiej, gdyż przyjaźnił się w swej ojczyźnie z pewnym medykiem. W krótkim czasie, stosując sobie tylko znane metody, uleczył uradowanego króla perskiego i przez jego żony został wspaniale obdarowany. Nie przywrócono mu jednak upragnionej wolności. Mógł zamieszkiwać w obszernym domu w Suzach, jadać przy stole królewskim, wyjednał też u Dariusza ułaskawienie dla egipskich lekarzy, skazanych za złe leczenie na ukrzyżowanie. Gdy u ukochanej żony króla, Atossy stwierdzono zaawansowany wrzód na piersi (ukrywany przez nią przez dłuższy czas), lekarz podjął się kuracji, stawiając warunek spełnienia jego prośby po wyzdrowieniu z zapewnieniem, że nie przyniesie jej ujmy. Po wyleczeniu, pouczona przez lekarza Atossa namówiła króla, aby nie dał zgnuśnieć armii i pomyślał o rozszerzeniu swego państwa rozpoczynając od penetracji wybrzeży greckich. Postanowiono tedy wysłać piętnastu zwiadowców perskich pod wodzą greckiego lekarza, znającego język i stosunki w Helladzie. Demokenes, aby nie budzić podejrzeń Persów, zostawił w Suzach swe skarby, przyjmując jedynie okręt podarowany mu przez Dariusza jako dar dla braci. Opłynąwszy wybrzeża Hellady, wywiadowcy skierowali się do greckiej kolonii w Italii, Tarentum (dzisiejszego Taranto), gdzie miejscowy król za radą lekarza uwięził Persów jako szpiegów, ułatwiając Demokenesowi ucieczkę do rodzinnego Krotonu.

O panu Alcaloro

W Katanii znany był ogólnie w końcu XVII wieku Don Alcaloro Scamacca, bogaty baron, osobistość dość oryginalna i apodyktyczna. 10 czerwca 1693 roku usłyszał jakieś krzyki u wejścia do swego pałacu i zobaczył starą kobietę, szamoczącą się ze służbą, aby wejść do wnętrza. Babę uważano w mieście za czarownicę. Gdy zobaczyła Don Alcalora, zawołała go po imieniu, oznajmiając, że minionej nocy miała objawienie, ważne nie tylko dla niego, lecz i dla całego miasta.

„Don Alcaloro" – zwierzyła mu się gdy kazał ją puścić – „uwierzcie mi, jutro o „vintinura" (tj. o godzinie 17,30) cała Katania zatańczy bez muzyki".

Do Alcaloro uwierzył. Rankiem dnia następnego wyprawił się konno daleko od miasta, do jednej ze swych posiadłości, pilnie obserwując zegarek. Punktualnie o zapowiedzianej godzinie Katanię zniszczyło najstraszliwsze trzęsienie ziemi...

Baron zajmował wysokie stanowisko „Kapitana sprawiedliwości" (rodzaj sędziego i egzekutora prawa), a w trudnym tym urzędzie pomagała mu wymyślona przezeń strzelba, którą wręczał nabitą najemnemu mordercy, mającemu zgładzić niewygodną mu osobę. Strzelba oddawała dwa strzały za jednym pociągnięciem spustu – jeden w kierunku ofiary zamachu, drugi w odwrotnym, zabijając mordercę, który mógłby stać się z czasem szantażystą lub kłopotliwym świadkiem...

O Garibaldim Caprerze

„Gdybym miał pewnego dnia 10 000 lirów – mówił bohater narodowy Italii, Giuseppe Garibaldi – kupiłbym sobie wyspę..."

Po burzliwym życiu marzył o samotności, a przypadki Robinsona Kruzoe uważał za wzór szczęśliwego życia na ziemi. Gdy zmarł jego brat (konsul Królestwa Sardynii i Piemontu w Filadelfii), pozostawiając mu spadek w wysokości 30 000 lirów, Garibaldi natychmiast nabył niewielki teren na wyspie Caprera, przy północnych wybrzeżach Sardynii. Część terenu była własnością angielskiej pary Collinsów, a drugi kawałek ziemi należał do braci Ferruccioli. Collinsowie i dwaj bracia stanowili całą „ludność" wysepki. Garibaldi zamieszkał początkowo w namiocie, lecz z czasem, dając upust swemu budowlanemu hobby, murować zaczął domek o trzech pokojach. Ale gdy domek zobaczył fachowy majster, polecił bohaterowi „Risorgimenta" zająć się tylko dostawą materiału – reszta wykonana musi być solidnie... „Słucham" odrzekł generał.

O trzech monetach

Biedny sardyński pasterz, Giorgio Pigureddu, pasąc swe owce na odległej hali, nocował często w opuszczonym z dawna zamku Casteldoria. Gdy wrócił ze swą trzodą do zagrody, opowiedział o duchach i zjawach, które towarzyszyły mu w nocy, a z czarnej kamizelki wydłubał znalezione w zamku trzy żółte monetki i nieświadom wartości pieniędzy dał je dzieciom do zabawy.

Gdy poszedł znów na pastwiska, do chatki przybył krążący po prowincji Sassari, sprzedawca soli, a żona Giorgia nie mając pieniędzy, zaofiarowała mu za sól jedną z odebranych dzieciom monet. Kupiec bardziej znał się na pieniądzach niż ubodzy pasterze. Monetę schował, zostawił wóz z workami soli, po czym wskoczywszy na konia, zniknął z wioski. Pośpiech ten zastanowił gospodynię, a gdy kupiec nie wracał, poszła z pozostałymi dwoma monetkami do Sassari w odwiedziny do bywałego w świecie i doświadczonego kuzyna. Monety okazały się numizmatami wielkiej wartości. I tak rodzina Pigureddu stała się najbogatsza we wsi.

Jan Dąbrowski

Reinkarnacja

Istnieje reinkarnacja. Tak twierdzi psychoterapeuta i hipnotyzer z Monachium Thorwald Dethlefsen. Młody człowiek głosi twardo i stanowczo: *„Każdy człowiek, ty i ja, my wszyscy byliśmy wielokrotnie na tym świecie. Śmierć nie jest końcem. Wkrótce znów się urodzimy"*.

Czy Thorwald Dethlefsen jest fantastą i oszustem? Czy otwiera przed nami nowe fascynujące perspektywy? Poniżej przedstawiamy pięć relacji z seansów hipnotycznych, w których osoby poddane hipnozie przekazują przechowywane w podświadomości relacje z poprzednich wcieleń.

Lipcowy, słoneczny i upalny dzień. W pokoju na pierwszym piętrze domu przy Ainimillerstrasse w Monachium jest jednak chłodno. Przytłumiony blask słońca oświetla duży, wysoki pokój o ścianach w kolorze lila. Na pokrytej białą skórą leżance dwudziestojednoletnia Karola Schuster, urzędniczka w Towarzystwie Ubezpieczeń. Leży w śnie hipnotycznym. Bez świadomości. Tylko jeden człowiek, hipnotyzer Thorwald Dethlefsen może się z nią kontaktować. Włączony magnetofon utrwala słowo po słowie seansu.

Dethlefsen zadaje pytania. Karola opowiada o swoim życiu. Ale nie w porządku chronologicznym. Od końca wraca do początku...

– Ma pani piętnaście lat. Co pani robi?

– Jestem w Monachium. Chodzę jeszcze do szkoły. Chciałabym zostać sekretarką – jasno i wyraźnie mówi medium. To jest powiedziane tylko do hipnotyzera. Obok Karoli Schuster mogłaby z łoskotem upaść wielka waza, ona nie zauważyłaby tego.

Dethlefsen pyta dalej: – Masz teraz jedenaście lat, co robisz?

Karola Schuster: – Mam ferie szkolne. Jesteśmy u naszych dziadków w Dolnej Bawarii.

Medium ma osiem, potem sześć lat...

Hipnotyzer: – Czy chodzisz do szkoły?

Medium: – Nie, na to jestem jeszcze za mała. Pójdę dopiero w następnym roku do szkoły w Monachium.

Karola może na zapytanie Dethlefsena dodać dwa do dwóch, ale nie doda cztery do czterech. Może z trudem i koślawym pismem napisać parę liter swojego imienia. Tego nauczył ją ojciec. Wie dokładnie, jakie dzieci były na jej szóstych urodzinach, jaką suknię miała na sobie jej matka, jakie podawano ciastka, jakie otrzymała podarunki.

Uczeni dzisiaj uważają bowiem za pewne, że człowiek niczego nie zapomina. Nawet najmniejszego drobiazgu. Całe życie jest w podświadomości utrwalone jakby na filmie kolorowym i w hipnozie można cały ten film wyświetlić.

Teraz Karola Schuster ma trzy lata. Opowiada o swoim pokoju dziecinnym, o zabawkach, o klapsie, który dostała od matki. W stanie świadomości ludzie nie mogą sobie przypomnieć przeżyć z tego okresu.

Wreszcie hipnotyzer mówi cichym, pewnym głosem:

– Cofamy się aż do twego urodzenia. Powiedz, co przeżywasz?

Świadkom tej sceny zapiera oddech, gdy obserwują, jak Karola kręci się, jak stęka i jęczy, w końcu wykrztusza z siebie: – Ja... ja... jest ciemno, nie mogę nic poznać. Teraz bierze mnie ręka, znajduję się na zewnątrz ciała. Chciałabym znów powrócić tam, skąd wyszłam. Byłam bezpieczna, wszystko było takie spokojne – boję się, wszystko jest takie niezwykłe, tak zimno.

Medium zanosi się od szlochania, kwili i płacze. Dethlefsen wyjaśnia później: *„Ona rzeczywiście przeżywała swoje narodzenie. Ani trochę nie fantazjowała, ani nie śniła, tylko rzeczywiście wszystko jeszcze raz intensywnie przeżywała"*.

Za swoje grzechy zostanie ciężko ukarana

Teraz Karola Schuster w stanie hipnozy otrzymuje polecenie, ażeby mówiła po niemiecku, w tym języku, który w stanie świadomości płynnie opanowała.

Thorwald Dethlefsen: – Idziemy daleko, daleko wstecz w twoją przeszłość. Coraz dalej. Twoja dusza nie zna żadnych ograniczeń czasowych. A teraz powiedz mi, kim jesteś i gdzie się znajdujesz?

Karola Schuster, stenokontystka, mówi po długiej przerwie: – Tańczę w świątyni. Nazywam się Nuomi. Świątynia należy do bogini Izis. Tam tańczę przez cały dzień ku czci bogini i wielkiego faraona. Mamy drugi rok jego panowania.

Hipnotyzer Dethlefsen pyta teraz swoje medium: – Nuomi, powiedz mi coś o twojej świątyni. Jak ona wygląda?

I Nuomi alias Karola Schuster z Monachium opowiada wyraźnym głosem:

– To jest wielka świątynia z wieloma wysokimi kolumnami. Należy wyłącznie do bogini Izis. Przed świątynią, po lewej i po prawej stronie stoją dwa zielone koty z marmuru. Imion naszego władcy nie wolno nam nigdy wymówić, gdyż zostałybyśmy ukarane śmiercią. My nazywamy go tylko „najwyższa boskość". Jego ojciec zmarł przed dwoma laty i teraz on zasiadł na tronie.

Nuomi opowiada jeszcze długo o swoim życiu w starożytnym Egipcie. Wtrąca różne zdania w niezrozumiałym języku. Wreszcie na prośbę hipnotyzera tańczy w stanie transu i to tak doskonale, że świadkowie eksperymentu przypatrują się temu z otwartymi ustami. Skąd młoda urzędniczka z Monachium zna tak harmonijne ruchy rąk i całego ciała? Te niezwykłe gesty? Czy uczyła się w specjalnej szkole tańca? Nie, Karola Schuster nigdy takich umiejętności nie posiadała.

Wreszcie medium zaczyna opowiadać.

– Mój ojciec mówi, że muszę iść precz z Egiptu, gdyż inaczej zostanę ukarana śmiercią, bowiem popełniłam ciężki grzech – zdradziłam boginię Izis.

O tym grzechu Nuomi długo nie chce mówić. Zahipnotyzowana wije się na leżance, ale w końcu dowiadujemy się, że miała ona stosunki z mężczyzną imieniem Machat. Potajemne stosunki z żonatym mężczyzną.

Dethlefson prowadzi pytaniami tancerkę Nuomi aż do dnia, w którym musi ona umrzeć. Medium zaczyna krzyczeć i jęczeć:

– Nadchodzą strażnicy, wloką mnie, biją,

prowadzą do innej świątyni. To jest świątynia ofiar. Jeden z nich bierze złoty sztylet, wbija mi w pierś, słyszę jak inni krzyczą: „Wypuść krew z tej nierządnicy, z tego grzesznego ciała". Robi mi się ciemno przed oczami, czuję straszny ból... umieram.

Nuomi krzyczy i szlocha. Później zaczyna się odprężać. Jej twarz jaśnieje, gdy mówi: – Unoszę się, widzę, jak moje ciało leży nieżywe. Widzę ich wszystkich. Ja myślałam, że to już koniec, ale to trwa dalej. Żyję, tylko zupełnie inaczej, jestem w nieskończoności. Jest tu bardzo pięknie, wszystko jest takie spokojne...

* * *

3 czerwca 1968 r. Student psychologii Thorwald Dethlefsen urządził w jednej z klinik swojego przyjaciela eksperyment hipnotyczny.

Dwudziestoczteroletni Gunther Schwarz, początkujący lekarz dentysta, okazał się być jednym z lepszych mediów. Wesoły krąg młodych ludzi uczestniczących w eksperymencie stawał się w miarę rozwoju zdarzeń coraz bardziej poważny. Skupieni i zafascynowani słuchali wyznań kolegi:

– Nazywam się Guy Lafarge. Znajduję się w piwnicy w Wissembourg we Francji. Jest rok 1870. Trwa wojna z Prusami.

Sam Dethlefsen mówi do dzisiaj, że eksperyment z Guntherem Schwarzem, był również dla niego szokiem: *„Nie rozmawiałem już teraz z moim dobrym przyjacielem Guntherem Schwarzem, tylko z obcym człowiekiem, Guy Lafarge, osiemnastoletnim chłopcem z Wissembourg, miasteczka w Alzacji, blisko granicy Palatynatu."*

Czy medium pozwala sobie na niesmaczny żart? Nie, to było niemożliwe, ponieważ Gunther Schwarz był od ponad godziny bardzo głęboko pogrążony w śnie hipnotycznym.

Thorwald Dethlefson prosił swoich przyjaciół, ażeby nie opowiadali Guntherowi Schwarzowi o tym, co mówił on w transie, ponieważ chciał eksperyment z „nowonarodzonym" powtórzyć. Musiał się do tego gruntownie przygotować, ażeby nie dać się zaskoczyć niespodziewanym zdarzeniem. Dziesiątego czerwca 1968 roku był już przygotowany. Zorganizował z Guntherem Schwarzem nowy seans hipnotyczny. Obecnych było siedmiu zaprzyjaźnionych studentów. Seans trwał prawie trzy godziny. Jest niemożliwe w krótkim opisie przedstawić jego przebieg ze wszystkimi szczegółami, dlatego przedstwione zostaną tylko najistotniejsze momenty.

Najpierw Thorwald Dethlefsen zahipnotyzował Gunthera Schwarza. Powiedział spokojnym, dobitnym głosem:

– Zamykasz oczy. Są zmęczone i ciężkie. Jesteś bardzo zmęczony, bardzo śpiący. Twoje ręce stają się ciężkie, twoje nogi stają się ciężkie. Śpisz bardzo głęboko, bardzo mocno. Coraz głębiej, coraz mocniej zapadasz w sen. Będziesz tak długo spał, dopóki nie dam ci wyraźnego rozkazu obudzenia się. Jesteś całkowicie pod moim wpływem. Słyszysz wszystko, co do ciebie mówię. Teraz czujesz, że robi się coraz cieplej, coraz cieplej, robi się gorąco. Zaczynasz się pocić, jest strasznie gorąco. Teraz upał nieco zmniejsza się, jest chłodniej, przyjemnie. Czujesz się teraz dobrze, śpisz głęboko i twardo. Teraz idziemy przez twoje życie wstecz. Czas nie gra dla nas żadnej roli. Masz dwadzieścia lat, osiemnaście. Masz czternaście lat, dziesięć lat, do jakiej szkoły chodzisz?

– Do szkoły ludowej – odpowiada medium Gunther Schwarz.

Znamienne zdarzenie

Dethlefsen: – Cofamy się. Dzisiaj jest szósty dzień od twego urodzenia. Powiedz, co to za dzień?

Schwarz: – Jest wtorek, 13 listopada.

Dethlefsen: – Opisz mi wrażenia łączące się z twoim przyjściem na świat.

Schwarz: – Jest jasno i zimno. To bardzo boli. Boję się.

Dethlefsen: – Wróć tam, skąd wyszedłeś. Co czujesz?

Schwarz: – Jest ciepło, ciasno, jest bardzo przyjemnie, bardzo pięknie.

Dethlefsen: – Cofnij się o rok. Gdzie się znajdujesz?

Schwarz: – Nic nie wiem, nic nie widzę. Pustka.

Dethlefsen: – Jak opisałbyś stan, w którym się znajdujesz?

Schwarz: – Unoszę się. – Następuje parę niezrozumiałych słów.

– Powiedz mi swoje imię.

– Nie mam żadnego.

– Jakiej jesteś wielkości?

– Nie wiem.

– Który jest rok?

– Nie wiem.

Potem hipnotyzer mówi: – Idziemy dalej wstecz. Coraz dalej. Tak długo, aż natrafisz na wydarzenie, które możesz dokładnie opisać.

Dłuższy czas hipnotyzowany nic nie mówi. Oddycha ciężko. W końcu, po różnych niezrozumiałych dźwiękach, wszyscy świadkowie niesamowitego eksperymentu słyszą:

– Znajduję się na placu. Na placu targowym.

Taśma magnetofonowa biegnie. Skupieni słuchacze dowiadują się stopniowo historii człowieka, który twierdzi, że jest Guy Lafargem, sprzedającym jarzyny na targu w miasteczku Wissembourg. Osiem centymów kosztuje główka białej kapusty – podaje cenę Lafarge. O pomarańczach nigdy nie słyszał. Ma brata Jana i młodszą siostrę Annę.

Guy Lafarge mówi, że urodził się w 1852 roku, a więc teraz, w 1870 roku ma osiemnaście lat. Nie ma żadnego zawodu, tylko sprzedaje jarzyny i owoce na straganie.

Guy nie uczęszczał do żadnej szkoły, nauczył się jedynie trochę rachować i pisać od swego starszego brata Jana, który ma już dwadzieścia cztery lata. Lafarge'owie mieszkają w jednopiętrowym ubogim domku przy rue du Connétable.

Przyjaciełami Guya są Robert i Piotr Reno. (Na żądanie hipnotyzera podaje pisownię „Renault" – rozpowszechnione nazwisko we Francji). Guy Lafarge mówi, że w Wissembourg rozmawia się zarówno po niemiecku, jak i po francusku. Jest to miasto w Alzacji niedaleko Sztrasburga (nazwę tę wymawia po francusku).

Dethlefsen: – Powiedz mi, jak zachwalasz swoje towary na targu?

Taśma nie kłamie, a siedmiu obecnych świadków słyszy na własne uszy, jak Gunther Schwarz – Guy Lafarge mówi dialektem francuskim takim, jaki jeszcze dzisiaj można usłyszeć w Alzacji:

– Mesdames, mesdames, – prenez ces choux de Bruxelleles pommes pas cheres, ils sont tres bien (Panie, panie – proszę brać kapustę brukselską – tanie, bardzo dobre jabłka).

Mówi to bardzo głośno i z charakterystyczną śpiewną intonacją, którą posiadają wszyscy sprzedawcy zachwalający swój towar.

Na pytanie, czy w domu Lafarge'ów jest światło elektryczne, Guy, nie rozumiejąc, pyta: – Co to jest światło elektryczne? Także nie zrozumiał pytania o mikser.

Potem hipnotyzer każe mu przypomnieć sobie czasy, kiedy miał dwadzieścia pięć lat. Jest teraz robotnikiem rolnym i parobkiem na gospodarstwie w pobliżu Wissembourga. Jego brat Jan zginął na wojnie, w 1971 roku. Również rodzice nie żyją.

Gdy Dethlefsen pyta, jak spędził trzydziestą rocznicę urodzin, Lafarge odpowiedział: – Nie wiem.

To jest dla hipnotyzera znaczące. Cofając zegar życia Lafarge'a dowiaduje się, że chłopak stajenny zmarł 26 lutego mając dwadzieścia osiem lat.

Czyścił zgrzebłem konia swego gospodarza, pana Pierre'a. Zwierzę kopnęło go w okolicę wątroby. Stracił przytomność i wkrótce zmarł.

Dethlefsen później tak ocenił wynik tego eksperymentu: *„Muszę przyznać, że byłem wstrząśnięty, inni świadkowie również. Tylko student Gunther Schwarz, który nic nie pamiętał i o niczym nie wiedział, nie mógł zrozumieć zaskoczenia innych. Czuł się zupełnie dobrze po niepojętej osobliwej wycieczce w swoją własną przeszłość. Albo dokładniej: W przeszłość swojej duszy".*

* * *

W większości eksperymentów przeprowadzanych w Niemczech, Anglii i USA, któ-

rych celem było udowodnienie istnienia reinkarnacji, wyszła na jaw rzecz osobliwa. Medium nie przedstawiało całego przebiegu życia, tylko ograniczało się do zdarzeń szczególnie ważnych w poprzednim życiu.

Pragniemy przedstawić to na przykładzie Angielki Margaret Able. Pani Able od dłuższego czasu zaprzątała uwagę sławnego Instytutu Parapsychologii przy uniwersytecie w Londynie. Uczeni nie mogą do dzisiaj rozwikłać tego przypadku, ten jednakże kto wierzy w reinkarnację, temu nie sprawi to trudności.

Pani Able mieszka w brytyjskim mieście Birmingham. Jej mąż jest robotnikiem. Trzydziestopięcioletnia kobieta ma troje dzieci. Nie jest zbyt wykształcona, uczęszczała tylko parę lat do szkoły podstawowej. Pani Able nie czyta książek, najwyżej brytyjski popularny dziennik, który przynosi do domu jej mąż.

Ta kobieta ustawicznie zrywa się po nocach ze snu. Krzyczy i gestykuluje tak przeraźliwie, że jej mąż jest tym po prostu przerażony.

Ronald Able, który musiał wcześnie wstawać do pracy, miał wreszcie dosyć tych nocnych niepokojów. Poszedł do kliniki w Birmingham i opowiedział psychiatrze doktorowi Walterowi Intocline o strasznych urojeniach swojej żony.

„Panie doktorze, ja tego dłużej nie wytrzymam, prawie co noc to samo – Margaret podskakuje na łóżku, jest przerażająco blada, a oczy ma zupełnie obłąkane. Potem krzyczy coś o jakiejś królowej, która ma zostać ścięta, płacze spazmatycznie i nie może powtórnie zasnąć. Może, panie doktorze, ma ona coś nie w porządku w głowie."

Psychiatra zainteresował się tą historią. Kazał pani Able przyjść do kliniki i zbadał ją według wszystkich nowoczesnych metod psychiatrii.

Kobieta nie była chora, ani umysłowo, ani cieleśnie, ani też duchowo.

„Straszne, wszędzie widzę krew"

Kolega doktora Intocline'a, angielski psycholog, który słyszał o eksperymentach związanych z reinkarnacją, zaproponował, ażeby panią Able wprowadzić w głęboką hipnozę i w ten sposób wpaść na trop tajemnicy.

Pewien psycholog, który również posiadał zdolności hipnotyczne, niejaki doktor Lewis, wprowadził Margaret Able w głęboki hipnotyczny sen. Zasugerował jej, że cofając się poza okres swego urodzenia, wejdzie ona w świat, w którym już raz żyła. Wprowadzona w głęboki trans, pani Able wykrzyknęła przerażona: *„Straszne, nie mogę na to patrzeć! To jest okropne! Nie powinni królowej ścinać! Wszędzie tylko krew – król nie żyje, codziennie egzekucje. Co się z tym krajem stało? Nigdzie człowiek nie jest bezpieczny, wkrótce ci szaleńcy wszystkich nas zamordują".*

Były to jej senne widziadła. Margaret Able widziała we śnie, jak król Ludwik XVI został w czasie rewolucji francuskiej ścięty na oczach wrzeszczącego, upojonego krwią tłumu. Widziała, jak jego żona, królowa Maria Antonina, musiała się poddać temu samemu losowi, jak ludzie rewolucjonisty Robespierre'a ścinali setki głów na gilotynie.

Psychiatra, doktor Intocline był zafascynowany. Skąd ta prosta kobieta mogła to wszystko wiedzieć? Te szczegóły, nazwiska, miejscowości?

Hipnotyzer, doktor Lewis zaczął wypytywać Margaret Able: – Kto ty jesteś? Powiedz mi twoje nazwisko i gdzie mieszkasz?

Teraz nastąpiło w gruncie rzeczy to samo, co rozgrywało się w pokoju psychologa Thorwalda Dethlefsena. Pani Able opowiadała w klinice w Birmingham o swoim poprzednim życiu!

– Nazywam się Maria Pacasse. Mam dwadzieścia trzy lata. Mieszkam w Paryżu na Monmartre. Mój ojciec jest kowalem. Od czterech lat jestem zamężna z Julesem Pacassem. Jest on krawcem. Mamy mały warsztat, gdzie Jules pracuje. Bardzo często przebywam poza domem, ponieważ muszę odnosić surduty i spodnie, które Jules uszył lub naprawił.

– A co dzieje się teraz?

– Jest rewolucja! To straszne. Wiele tysięcy ludzi zostało ściętych. Ledwie mogę wyjść z domu. Pijani żołnierze, rewolucjoniści.

– Co robi twój mąż? Czy jest w wojsku?

– Pracuje w Komitecie Rewolucyjnym. Musiałam przypatrywać się, jak oni ścinali królową, ponieważ Jules jest członkiem Komitetu. Nienawidzę go, brzydzę się nim. On o tym jednak nie wie, gdyż mógłby także zaprowadzić mnie na gilotynę. Gdy śpi ze mną – to obrzydliwe! Najchętniej napluła bym mu w twarz.

W tym momencie dr Intocline i dr Lewis uzmysłowili sobie, dlaczego pani Able odpychała tak gwałtownie swego męża, gdy próbował uspokoić ją w nocy. Angielska gospodyni domowa odrazę do Julesa Pacasse'a przenosiła na swego męża Ronalda.

Jeżeli ta kobieta rzeczywiście żyła w czasach rewolucji francuskiej, to musiała także znać język francuski. Dr Lewis zadał jej więc następne pytanie po francusku. I stała się rzecz niezwykła. Margaret Able odpowiedziała w płynnej francuszczyźnie, chociaż nie znała języka francuskiego. Jej francuski nie miał żadnego angielskiego akcentu, chociaż taki akcent prawie zawsze przebija, gdy Brytyjczyk uczy się obcego języka w szkole.

Nie! Margaret mówiła po francusku paryskim akcentem. Obydwaj lekarze prawie zaniemówili. Również jej małżonek Ronald nie mógł zrozumieć, skąd jego żona posiadała tę umiejętność. Wydało mu się to po prostu niesamowite.

Czy jest to przypadek reinkarnacji? Większość uczonych, którzy w Anglii zajmowali się tą tajemniczą sprawą, nie znalazło żadnego innego wyjaśnienia, jak to, że pani Able musiała już raz żyć w Paryżu jako pani Pacasse przed prawie dwustu laty.

* * *

Zupełna rozpacz przywiodła trzydziestodwuletnią Erikę Braeuer do Thorwalda Dethlefsena. Młoda kobieta cierpiała strasznie na skutek ogarniających ją stanów lękowych. Od dłuższego czasu nie była w stanie prowadzić gospodarstwa domowego, a jej dwoje dzieci mieszkało u babci.

Podczas czternastego seansu hipnotycznego Erika Braeuer rozpoczęła nagle opowiadać niesamowite rzeczy. Dethlefsen zorientował się natychmiast, o co chodzi. Wspomnienia te nie dotyczą jej obecnego życia. Włączył magnetofon. Ciało pacjentki porusza się, oddycha ona krótko, jęczy, czasami krzyczy. Później nagle jej głos staje się niski i chrapliwy.

Zostaliśmy ukrzyżowani i spaleni

„Oni nas wszystkich wymordują, ponieważ jesteśmy chrześcijanami. Oni nas ukrzyżują, spalą lub rzucą dzikim zwierzętom na pożarcie. Ja się ich boję, tych legionerów. Oni są okrutni i ..." (głos staje się niezrozumiały).

Throwald Dethlefsen jest poruszony tymi słowami. Pyta medium: – Gdzie mieszkasz? W jakim mieście? W jakim kraju? I w którym roku?

– To nie jest miasto w całym tego słowa znaczeniu, to jest kwadrat, a w nim wiele małych kwadratów. Nazywa się to Potentum. Nie wiem, który to jest rok. W Rzymie panuje król Domicjan, jest on panem i Bogiem, ale my jesteśmy chrześcijanami. My nie wierzymy w to, że cesarz jest Bogiem.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– Czy jesteś zamężna?

– Tak, mój mąż nazywa się Aframus. On również jest chrześcijaninem. Jest młodym wojownikiem i ma dwadzieścia dwa lata, jego hełm błyszczy w słońcu. Ja go bardzo kocham, ale on nie chce mnie więcej widzieć, on mnie nie cierpi.

– Dlaczego? – pyta Dethlefsen.

– Ja oczerniłam Sirenusa, ja go otrułam, jestem morderczynią. A teraz nadchodzą legionerzy. Trzech mężczyzn, mają na sobie

czerwony ubiór, czerwony w złote pasy, a na głowach hełmy, takie same jak Aframus. Są to hełmy metalowe i błyszczą w słońcu.

– A gdzie jest twój mąż? – nalega dalej Dethlefsen.

– Oni poślą go na arenę, rzucą go dzikim zwierzętom, ponieważ on również jest chrześcijaninem. Mnie ukrzyżują, większość chrześcijan zostanie ukrzyżowana. Aframus jest piękny. Ma bujne, brązowe, kędzierzawe włosy, nosi krótki ubiór, taki jaki noszą mężczyźni legionerzy. My mieszkamy w Potem... nie, Potentum, nazywa się to Potentum Romanum. Nie jest to właściwie miasto, taki kwadrat raczej, twierdza, w której znajduje się wielu legionerów. Przebywamy u mego wuja, nazywa się Luciusz. Mieszka w wielkiej willi położonej wśród zieleni, niedaleko od Potentum.

– I co dalej? Opowiadaj! Musisz mówić bez przerwy.

– Legionerzy przychodzą także do wuja Luciusza – ja się tak strasznie boję. (Głos pacjentki staje się cichy i jękliwy).

– Sirenus zawsze stał na straży, ażeby nikt nie przeszkadzał, gdy ludzie znajdujący się w domu wuja otrzymywali chrzest. Wszystko to odbywało się potajemnie. Wuj Luciusz rzekomo wyprawiał ucztę i zapraszał na nią wielu ludzi. Aframus i ja bywaliśmy tam również, ale on nie powinien tam przychodzić, ponieważ jest żołnierzem – on nie może być chrześcijaninem. Okrutny cesarz zabronił tego surowo.

– Co było dalej? Kogo otrułaś?

.Hipnotyzer naprowadza znów rozmowę na temat, który wydaje mu się ważny. Ma przecież wyleczyć młodą pacjentkę z jej depresji i poczucia winy, z jej obaw i wybuchów nienawiści.

– Tak, ja wkładam truciznę do chleba, który piekę. Ja go tym zabiłam.

– Kogo zabiłaś?

– Sirenus zjadł ten chleb, musiał zjeść, ponieważ zdradził nas wszystkich, wszystkich chrześcijan tu w tej okolicy. Ale on nie zdradził, ja tylko tak myślałam.

– Kto to jest Sirenus, którego ty otrułaś?

Pacjentka zaczyna płakać. Nie może przez dłuższy czas wypowiedzieć ani słowa. Nagle wykrzykuje głośno:

– Sirenus jest moim bratem, tak, on jest moim bratem. Ja go otrułam. Muszę za to być ukarana, muszę wszystko wyznać przed trybunałem, a potem oni mnie ukrzyżują, ale nie z tego powodu, że jestem chrześcijanką, tylko dlatego, że jestem morderczynią, zwykłą trucicielką. Taurus powiedział mi, żebym zabiła Sirenusa. Trucizna pochodzi z owocu, który jest tak ciemny, jak drzewo hebanowe.

– Tak, to więc Taurus rozkazał ci... – Mówi Dethlefsen – Któż to jest ten Taurus?

– Taurus jest pisarzem u mojego wuja Luciusza. On powiedział, że jest chrześcijaninem, ale ja w to nie wierzę. Uplotłam koszyk z wikliny. W tym koszyku znajduje się chleb. Wręczam go Sirenusowi. On je ten chleb, teraz musi umrzeć. Patrzy na mnie pytająco i nic nie mówi, ma tylko takie pytające oczy. Co powinnam uczynić? Nie mogę złapać powietrza, nie mogę przełknąć śliny, to tak nie było, Sirenus nie zdradził nas.

– Dlaczego tak teraz myślisz?

– Ponieważ patrzył na mnie z takim zdumieniem i tak pytająco. Otrułam swego brata, a on był niewinny. Dlaczego zaufałam Taurusowi?

– I co się dalej z tobą stało? – pyta hipnotyzer.

– Stoję przed trybunałem. Znajduję się w sali, gdzie jest wielu mężczyzn, oni mają ogłosić wyrok. Jedno wiem, to nie są przyjaciele mojego ojca.

Mężczyźni pytają mnie, gdzie chrześcijanie odbywają swoje tajemnicze zebrania i co robią podczas tych zebrań?

Śmieją się i szydzą ze mnie. Mówią, że nie jestem żadną chrześcijanką, tylko pospolitą zbrodniarką, morderczynią swego brata. Mówią, że oprócz cesarza, nie ma żadnego innego Boga.

Powinnam wyrzec się, wyrzec się Chrystusa, ale ja tego nie robię. Muszę być ukarana. Idę do więzienia, prowadzą mnie tam i przykuwają do ściany.

Kowal przykuł moje ręce i nogi do ściany. Muszę czekać, aż mnie ukrzyżują. Bardzo się tego boję.

Dethlefsen mówi do niej: – Teraz jesteś zupełnie spokojna, nic nie będziesz czuła, będziesz tylko na to patrzeć. Opowiedz mi całkiem spokojnie, co się z tobą dzieje.

– Tutaj znajduje się dużo kobiet – mają długie włosy – teraz oni je spalą. Potem przywiążą nas do krzyża grubymi powrozami i podłożą ogień. Niebo zabarwia się na czerwono – chcę się modlić, ale nie mogę – zapominam słów – Boże, pomóż mi, ogień, ogień!

– Tylko to oglądasz, nie odczuwasz żadnego bólu – mówi sugestywnie hipnotyzer do swojej pacjentki, która w hipnozie przeżywa własną gwałtowną śmierć.

– Tak, ja tylko się przypatruję, a teraz oddalam się od siebie. Widzę swoje ciało, widzę płomienie – ale nic więcej nie czuję, jest pięknie, takie ślizganie się, unoszenie się, cudowne uczucie.

Erika Braeuer potrzebowała jeszcze kilku seansów u Dethlefsena, zanim zniknęły jej chorobliwe symptomy. Jednakże trzydziestodwuletnia gospodyni domowa została uwolniona od swoich strachów, depresji i poczucia winy. Była znowu w stanie poruszać się swobodnie, mogła znowu przebywać między ludźmi, sprowadzić do domu swoje dzieci oraz prowadzić gospodarstwo domowe.

* * *

Thorwald Dethlefsen jest całkowicie przekonany o tym, że wszyscy ludzie, wszyscy bez wyjątku rodzą się i umierają wielokrotnie. Mówi on: *„To wszystko, co przeżyłem w czasie moich eksperymentów, ale również wszystko to, co słyszałem i przeczytałem na temat reinkarnacji, umocniło we mnie tę pewność"*.

Obecnie ten naukowiec z Instytutu Szczególnej Psychologii w Monachium-Schwabing, pragnie nie tylko udowodnić, że reinkarnacja istnieje, ale chce on również pomóc ludziom chorym psychicznie.

W dzisiejszych czasach coraz więcej ludzi ogarniętych jest uczuciem strachu. Czasami jest to nieokreślona obawa o własne życie lub strach przed przyszłością. Czasami ten strach przybiera mocno określone formy.

Sybilla Steiner jest przepełniona strachem. Ma dwadzieścia sześć lat i od pięciu lat jest mężatką. Ma czteroletniego syna Olivera. Poprzednio Sybilla pracowała w wielkim sklepie z płytami, ale teraz już nie może pracować. Z trudnością porusza się po ożywionych ulicach, unika obcych ludzi. Po zakupy nie chodzi do pobliskiego domu towarowego, tylko dalej, do małego staromodnego sklepu kolonialnego, znajdującego się na rogu ulicy. Pani Steiner jest tutaj dobrze znana i, jak sądzi właścicielka sklepu, ma *„coś nie w porządku w głowie"*.

To mniemanie jest całkowicie błędne. Pani Steiner nie jest chora umysłowo. Odczuwa ona tylko strach, straszny strach, którego przyczyn nie można wyjaśnić. Poci się gwałtownie, gdy obcy ludzie na nią patrzą, przede wszystkim zaś, gdy mężczyźni interesują się nią, jako młodą, atrakcyjną kobietą.

W ciągu ostatnich lat rozwinęła się u niej gwałtowna niechęć do mężczyzn, na czym najbardziej cierpi jej własny mąż. Poprzednio zaś, gdy Sybilla była jeszcze sprzedawczynią, była dumna ze swej urody, ładnej figury i sukcesów u mężczyzn.

Sybilla należy do ludzi, którzy dają się łatwo hipnotyzować i szybko osiągają stan głębokiej hipnozy.

Biedna grzesznica pędzona nago wśród tłumu

Obecnie spoczywa ona w pokoju przyjęć młodego terapeuty. Normalny przebieg „powrotu w dawne wieki" ma ona już za sobą. Dethlefsen nie jest zainteresowany jej obecnym życiem, chce wpaść na trop przyczyn powodujących odczuwany przez nią strach.

W końcu Sybilla Steiner wypowiada te słowa:

– Za mną stoi człowiek, wykonuje takie ruchy, jakby mnie chciał powiesić.

Dethlefsen: – Ale on tego nie robi?

Pacjentka: – Nie, ale to wrażenie jest straszne. On zawiesza koniec sznura, jakby mnie chciał udusić.

– Ale on w rzeczywistości tego nie robi. Co się dzieje dalej? Przypatrz się temu dokładnie.

Sybilla Steiner zaczyna płakać. Szlochając mówi:

– Nie, ja nie chcę, ja nie mogę, proszę, nie, proszę, nie!

Pani Steiner oczywiście znalazła się w rozstrzygającym momencie poprzedniego życia. Gdzie to było? Kiedy się to jej poprzednie życie rozgrywało? – tego Dethlefsen jeszcze nie wie, ale czuje, że jest już na tropie. Dlatego pozostaje stanowczy, choć jego głos brzmi spokojnie.

– Co się dzieje dalej? – pyta hipnotyzer.

– Wielu ludzi – mruczy pacjentka – oni na mnie plują, gapią się na mnie, przeklinają mnie, krzyczą, że powinno się mnie powiesić. Byłoby lepiej, gdyby oni mnie rzeczywiście zabili, ale moja kara powinna wlec się za mną przez całe życie.

– Jaka kara?

– No, kara za ... nie mogę tego powiedzieć. Teraz ten człowiek bije mnie z tyłu, bije mnie końcem powroza po tylnej części ciała, raz za razem, krzyczę bardzo głośno, dwóch chłopów trzyma mnie mocno, mężczyna bije mnie w dalszym ciągu, a ludzie śmieją się z tego i krzyczą, że on powinien bić mocniej.

– Co dzieje się dalej?

– Na placu przed kościołem znajduje się wielu ludzi, jest wiosna, połowa maja. Jest rok 1496. Teraz mężczyzna bije mnie dłonią, a ja powinnam iść przodem wśród mnóstwa ludzi, którzy tworzą uliczkę, oni opluwają mnie, szczególnie stare kobiety.

– Gdzie się to wszystko dzieje? Jak nazywa się miejscowość? Co masz na sobie?

Pacjentka milczy chwilę. Potem mówi:

– Jest to Beaufort – miasto we Francji. Mam na sobie szkaradną sukienkę, wygląda ona jak worek. Teraz będę ukarana za moje grzechy. Zrobiłam coś, co było zakazane.

– Co zrobiłaś? Opowiedz wszystko dokładnie.

Psychoterapeuta nie zwalnia tempa, ponieważ musi dowiedzieć się całej prawdy, w przeciwnym razie nie mógłby wyleczyć pacjentki, ponieważ „uraz", jak to nazywają psychologowie, rany duchowe prześladowałyby ją w dalszym ciągu.

– Oni nas ciągle śledzili – mówi pacjentka, która leży w dalszym ciągu pogrążona w głębokiej hipnozie. – Oni nas prawdopodobnie obserwowali, mężczyznę i mnie.

– Jakiego mężczyznę?

– Był to mężczyzna, którego kochałam. Nie, ja jeszcze go kocham. To było w lesie, tam kochaliśmy się potajemnie, ponieważ on jest żonaty i ma pięcioro dzieci. Myśleliśmy, że jesteśmy całkowicie sami, ale oni nas z pewnością obserwowali – teraz krzyczą – *„ona jest nierządnicą, powiesić nierządnicę"* – ja nie mogę się bronić, patrzę tylko w ziemię, ludzie stoją przede mną i plują na mnie, a człowiek idący za mną bije mnie ustawicznie. Teraz ludzie ciągną mnie za włosy. Mam długie ciemne włosy, a oni chcą mi je wyrwać. Jeden człowiek zrywa ze mnie suknię, a stara kobieta rozrywa moją koszulę na dwie części. Biegnę teraz naga wśród tłumu ludzi, a oni ciągle mnie chwytają, opluwają mnie. O Boże, taka hańba, ja tego nie przeżyję! Gdyby mnie chociaż byli zabili.

– Czy znasz kogoś z tych ludzi, którzy cię znieważają – pyta Thorwald Dethlefsen.

– Naturalnie, że znam. Beaufort jest przecież małym miasteczkiem. Znam większość ludzi. Mojego ojca nie ma, zapewne siedzi w domu i płacze nade mną, nad hańbą, którą mu zgotowałam. Ale mężczyzna, którego kochałam, stoi z tyłu, trochę z boku.

– Co robi ten mężczyzna? Czy znieważa cię i krzyczy, jak inni ludzie?

– Nie, jest całkowicie spokojny, tylko usta ma wykrzywione. On tylko patrzy na mnie, nic nie mówiąc. To jest dla mnie takie straszne – pacjentka zaczyna płakać niepohamowanie – takie straszne. On widział mnie nagą w lesie, przed nim nigdy się nie wstydziłam, ale ci wszyscy ludzie? Jego spojrzenie jest takie bez wyrazu, żadnej miłości, żadnej nienawiści. Teraz odwraca się. Nie chcę go nigdy widzieć, nigdy!

Sybilla Steiner z Monachium, która opowiada w głębokim transie zdarzenia z 1496 roku, nie może z powodu płaczu przemówić przez dłuższy czas.

W końcu opowiada o tym, jak po godzinach upokorzeń, dowlokła się nad strumyk znajdujący się poza miastem. Była jeszcze ciągle naga. Zanurzyła w czystej wodzie swoje zmaltretowane, oplute i pobite ciało, umyła się i oczekiwała za krzakami, aż nadejdzie północ. Wreszcie wyczerpana, zasnęła. Nie mogła powrócić do Beaufort, ponieważ bramy miasta były zamknięte.

Następnego ranka zerwała parę gałęzi z gęstym listowiem i przykryła nimi swoją nagość tak, jak to tylko możliwe. Noc była chłodna. Dziewczyna zmarzła potwornie. Potem wśliznęła się do domu swojego ojca. Strażnicy przy bramach miasta śmieli się, gdy przemykała się chyłkiem. Ojciec był półżywy ze strachu, ale nie bił jej, był tylko bardzo smutny.

Dethlefsen nie chciał już nic więcej wiedzieć o dalszych losach tej francuskiej dziewczyny.

Wystarczyło mu to, co usłyszał.

Sybilla Steiner mogła teraz rozpocząć leczenie terapeutyczne. Skończyło się dla niej pomyślnie. Dzisiaj jest uleczona z dręczących ją strachów.

Redaguje zespół:
Mirosław Chrzanowski, Olga Eberhardt, Robert Ginalski, Tadeusz Kaczmarek
Bolesław K. Kowalski, Stefan Kozicki, Tadeusz Olszański, Anna Susicka

Opracowanie graficzne:
Mirosław Pokora

Opracowanie techniczne:
Stanisław Małecki

Ilustracje:
Andrzej Arcimowicz, Janusz Golik, Szymon Kobyliński,
Jerzy Piontek, Mirosław Pokora, Stanisław Rozwadowski,
Ludwik Suski, Janina Śpiewak

Fotografie:
CAF, KAW

Projekt gry:
Wojciech Pijanowski

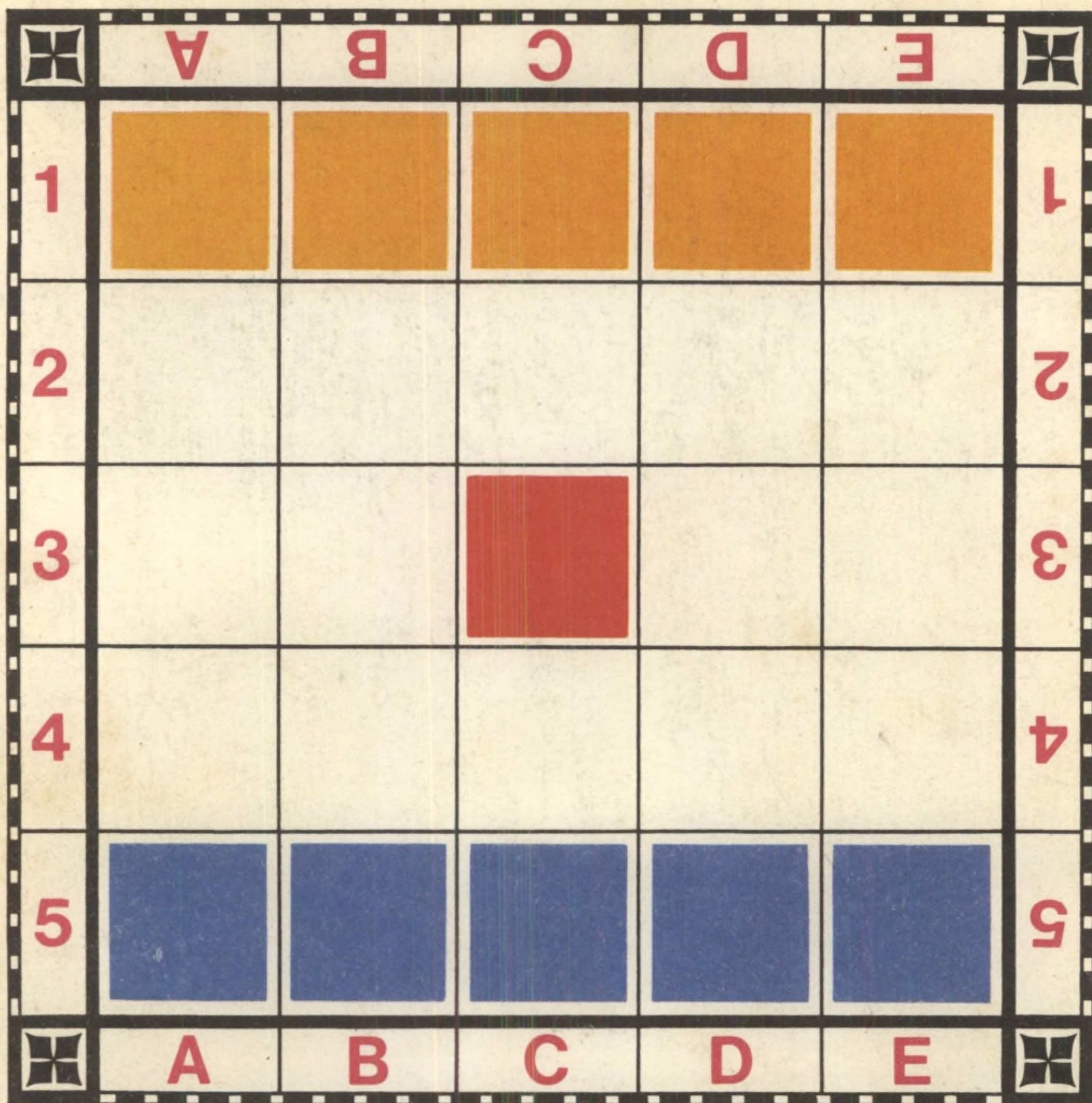
Korekta:
Małgorzata Lewandowska, Elżbieta Szyszkowska



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA, RSW „PRASA–KSIĄŻKA–RUCH", WARSZAWA 1984

Wydanie pierwsze. Nakład: 100.000+350 egz. Objętość: ark. wyd. 13,58, ark. druk. 10,25. Papier offset. kl. V, 70 g rola 61 cm. Nr prod. X-13/1168/82. Zam. 4831/11/83. T-67. Drukarnia im. Rewolucji Październikowej, Warszawa, ul. Mińska 65

ISBN 83-03-00505-7



NEUTRON – gra dla dwóch osób

Jest to gra abstrakcyjna, rozgrywana na prostej planszy składającej się z dwudziestu pięciu pól (kwadrat 5×5 pól). Do gry używa się pionków czarnych i białych (po pięć) oraz jednego specjalnego pionka np. czerwonego. Można także rozgrywać grę za pomocą drobnych monet (złotówki lub dwuzłotówki).

Każdy z graczy dysponuje podczas gry pięcioma własnymi pionkami w jednym kolorze lub rodzaju, jeżeli gracze zdecydowali się używać do gry monet, oraz, co szczególnie ważne, jednym specjalnym pionkiem zwanym NEUTRONEM.

Na początku rozgrywki pionki ustawia się na planszy. W rzędzie oznaczonym cyfrą 5 ustawia swe pionki gracz posługujący się czarnymi, w rzędzie oznaczonym cyfrą 1 gracz posługujący się pionkami białymi. NEUTRON znajduje się na polu środkowym (c3).

Grę rozpoczynają białe. W każdym ruchu gracz ma obowiązek: najpierw przesunąć pionek zwany NEUTRONEM, a następnie jeden, dowolnie przez siebie wybrany, własny pionek. Te dwa posunięcia stanowią w grze jeden ruch. Po jego wykonaniu swój ruch wykonuje przeciwnik, najpierw przesuwa NEUTRON, a następnie swój pionek. I tak dalej na przemian. NEUTRON, jak i pionki, wolno przesuwać w dowolnym kierunku (poziomo, pionowo lub ukośnie) o tyle pól, ile jest to możliwe. Innymi słowy, po wybraniu pionka i kierunku poruszania się nim, pionek musi być przesunięty tak daleko w danym kierunku, aż dojdzie do brzegu planszy lub zostanie zablokowany przez inny stojący na planszy pionek (przez pionki bowiem przeskakiwać nie wolno). Rozgrywkę można wygrać dwojako:

– stawiając NEUTRON na jednym ze swych pól startowych (gracz „czarny" na jednym z pól rzędu 5, gracz „biały" na jednym z pól rzędu 1) lub

– blokując przeciwnika, tzn. doprowadzając do sytuacji, w której przeciwnik nie będzie mógł przesunąć NEUTRON lub swego pionka, czyli nie będzie mógł wykonać przypadającego nań ruchu.

Gra, której proste zasady podałem Państwu powyżej, nie należy do łatwych. Ale warto spróbować w nią zagrać, tym bardziej, że nie wymaga specjalnych rekwizytów, a jedynie odrobiny wysiłku umysłowego. A tego nigdy sobie nie żałujmy. Przydaje się nie tylko przy grach.

ISBN 83-03-00505-7

Cena zł 95,–